

Tadeusz Kosteki

Veragua



BURZA

Nawałnica nie cichła ani na chwilę. Huragan miotał okrętami, sypchał je w kierunku lądu. Główny pilot armady, de Kadis, próbował naradzić się z kapitanem Tristanem. Bez skutku. Tristan wzruszał tylko bezradnie ramionami. - Wszystko jest w ręku Boga - mamrotał. Pachniało od niego mocno winem.

Kolumb leżał nieprzytomny w swej toldilli. Niespodziewany nawrót choroby zwałił go z nóg. Od wielu już dni odpowiedzialność za los armady spoczywała niemal wyłącznie na barkach de Kadisa. Ustawicznie sprawdzał igłę kompasu. Znowu odchyliła się na ćwierć na zachód. A na zachodzie ciągnęła się linia nieznanego brzegu. Za żadną cenę nie wolno dopuścić, by zniosło ku niemu okręty. Teraz, podczas burzy, tylko otwarte wody mogły dać jakieś szanse ocalenia. Ale jak manewrować karawelą pozbawioną żagli? Jak rozpiąć zapasowe płótna, by wiatr ich nie porwał, by nie połamał masztów?

Rudle sterów przestały być powolne rękoma. Okręty, miotane furią wichru, stały się bezwolnymi łupinami, oddanymi na igraszkę żywiołów.

Gdzieś wysoko nad pokładem zwiślał człowiek uwiązany linami do wąskiej platformki z bocianiego gniazda. Cierpiał jeszcze bardziej niż ci na dole. Przy każdym przechyle statku ciało jego zataczało w powietrzu nagły łuk, razem z masztem, do którego był przyczepiony. To leciał z impetem ku kipiącej topieli, to znów podlatywał ku zionącemu piorunami niebu. Rozpuchłe słońą wilgocią pęta wżerały się coraz głębiej w ciało. Gdy mocne uderzenia wiatru odrywały go od pnia, miał wrażenie, że jakaś piekielna maszyna kruszy mu wszystkie kości. Podobnych tortur nie zdołałaby wymyślić nawet Święta Inkwizycja. Gdy wiele dni temu, w chmurny poranek 9 maja 1502 roku, cztery niezbyt świetne karawele wyciągały kotwice w porcie Kadyksu, by wyruszyć na kolejną wyprawę, nikt nie łudził się nadmiernie olśniewającymi nadziejami. Zbyt wiele mówiono o niechęci króla, podstępne

knowania biskupa Fonseki, od którego zależało niemal wszystko, nie stanowiły dla nikogo tajemnicy, a zatrważające postępy choroby królowej Izabeli nie pozwalały zbytnio liczyć na jej opiekę i życzliwość okazywaną dotychczas Kolumbowi.

Na czele armady nie stał już wicekról i wielkorządca. Kolumba odarto z tytułów i władzy. Był już tylko - admirałem. Zaiste, nikt z uczestników wyprawy nie Uczył na zdobycie honorów i zaszczytów. W grę wchodziły jedynie złoto i perły... Teraz zaś me liczono już na nic. Nawet na ocalenie własnego życia.

De Kadis wielokroć zaglądał do toldilli Kolumba. Admirał wciąż leżał nieprzytomny. Z decyzją nie można już było zwlekać. Z każdą chwilą znosiło ich bliżej brzegu. De Kadis wpatrywał się weń martwymi oczami. Błysnęła mu myśl: skoro nie ma sposobu manewrowania okrętami, trzeba przynajmniej utrzymać je w miejscu.

- Kotwice wodne! - głos de Kadisa był ochrypli, tłumił go huk fal. - Pławy!

Musiał wielokroć powtórzyć rozkaz, zanim go wykonano. Wykonano przecież. Karawelę targnęło, jakby w rozpędzie została schwyтана na arkan. Po przesypaniu się piasku w ampollacie de Kadis zajrzał do skrzynki chroniącej kompas. Obliczył położenie statku. Po upływie godziny sprawdził raz jeszcze. Wreszcie przestało ich znosić ku nieznanym brzegom. Tak, pławy w tej sytuacji stanowiły jedyne wyjście. Pozostałe okręty powtórzyły manewr. Teraz wszystkie kołysały się na uwięzi.

Niebezpieczeństwo wyrzucenia na brzeg zostało chwilowo zażegnane. Ale chwiejba wzrosła jeszcze bardziej. Przeciągnięto liny od rufy aż do dziobu. Tylko nie odrywając od nich rąk, można się było poruszać na pokładzie.

Niebo wciąż płonęło ogniem błyskawic. Ogłuszający zgiełk burzy narastał bez przerwy. Porozumiewano się tylko gestami. Ludzi ogarniała ostateczna rozpacz. Morze porwało łodzie, zapasy żywności zamokły. Z toldy cuchnęło stęchlizną. Fala zmyła żelazny trójnóg, na którym warzono stawę. Pozostało wprawdzie ułożone z cegieł palenisko, ale próby rozpalenia ognia byłyby czystym szaleństwem. Woda przesiąkała przez rozluźnione deski poszycia kadłubów, zbierało się jej coraz więcej, choć naprawiane ustawicznie pompy pracowały bez przerwy. Nie było snu, nie było wytchnienia, nie było ciepłej stawy. Tylko skwaśniałe na ocet wino i zielone od pleśni suchary.

- Przedzionek piekła - pomstowano na cały głos. - Oko boskie tu nie dociera.

Nie wstydzili się już łez. Spływały jawnie po wynędzniałych twarzach. Potem nawet łez zabrakło.

De Kadis ledwo trzymał się na nogach. Gdy któregoś z tych strasznych dni spojrzął przypadkiem w zwierciadło, z trudem poznał własne odbicie. Jeszcze tak niedawno miał

włosy kruczoczarne, teraz przetykał je gęsty szron srebrnych nitek. Czoło przeorane głębokimi bruzdami zmarszczek, których tam przedtem nie było. Z lustra wyzierał sterany starzec.

*

Ferdynand tkwił kamieniem w toldilli, wpatrzony w ociekającą potem twarz ojca. Od początku jego choroby nie pozwalał sobie na prawdziwy sen. Gdy brakło sił na czuwanie, wówczas drzemał jak czujny zając z na wpół otwartymi oczyma. Inaczej nie mogło być. Ktoś musiał odwracać na czas ampolletę, ktoś musiał dbać, by lek został podany o oznaczonej porze. Nie miał go kto w tym zastąpić. Być może tylko te leki powstrzymują życie wyciekające niczym woda z nadtłuczonego dzbana.

Mendez zaglądał do nich, gdy tylko zdołał ułoić wolną chwilę. Coraz mniej było takich chwil. Ciężar swoich i cudzych obowiązków przygniatał barki. Załoga ustawicznie topniała. Nie było dnia, nie było niemal godziny, by nie znoszono poturbowanych do kasztelu. Leżeli tam na cuchnących barłogach, czekając zmiłowania boskiego. Na ludzkie nie mieli już co liczyć. Beczułka zatęchłej wody i stwardniałe na kamień suchary - na tym kończyła się pomoc i opieka. Leki, opatrunki, nastawianie zwichniętych stawów - kto miał się tym zająć? Płynący na flagowej karaweli w charakterze lekarza armady felczer Bernal nie interesował się zdrowiem hołoty. Gdy mu płacono złotem - rzecz inna. Ale jakiej zapłaty mógł oczekiwać od zagłodzonych oberwańców?

Klął na czym świat stoi, gdy go próbowano nagabywać. Wychodzić na pokład okrętu, który staje dęba, niczym szalejący rumak? To się po nim nie pokaże. Najbardziej zacisznie było w toldilli kapitana Tristana, przy gąsiorku tęgiego wina. Ale każdego dnia, równo w południe, z punktualnością piasku przesypującego się w ampollecie, zjawiał się u łóżka Kolumba. Admirala nie śmiał zlekceważyć. Mendez zresztą by do tego nie dopuścił. Gotów byłby go sprowadzić, przykładając sztych do gardła. Z Mendezem trzeba się było liczyć. Jeden z najbardziej oddanych Kolumbowi ludzi. Czujny i nieufny. Nie spuszczał ani na chwilę oczu z Bernala krzątającego się przy admirale. Zarówno podczas badania chorego, jak i podczas przyrządzania mikstury. I ta dłoń muskająca niby mimo woli rękojeść sztyletu. Bernal rozumiał dobrze znaczenie tego gestu. To była groźba. Przywoływał na pomoc całą swą wiedzę i doświadczenie, by odpowiednio dobrać leki. Gdyby Kolumb zmarł, los lekarza, który do tego dopuścił, byłby nie do pozazdroszczenia.

Mendez rzeczywiście nie żywił zbytniego zaufania do Bernala. Różnie powiadano o tym człowieku. Ponoć zbiegł na pokład karaweli w ucieczce przed stryczkiem grożącym za otrucie bogatego pacjenta.

Licho wie, co takiemu może strzelić do łba.

Oto teraz wlewa płyny z różnobarwnych ampuł do pucharka. Któż jest w stanie przewidzieć, czy któraś z tych ampuł nie zawiera śmiertelnośnego jadu? Gdyby się poważył, zginie jak pies. Ale to nie przywróciłoby życia admirałowi.

Mendez łyka ślinę obserwując, jak kościana kopystka rozwiera zaciśnięte zęby Kolumba. Ostro pachnąca mikstura wpływa powoli między zsiniałe wargi. Śmierć niesie czy życie? Palce zwierają się na główki wiszącego u pasa sztyletu... Spłynęła ostatnia kropla. Nikły oddech nie zmienia rytmu, ciało pozostaje, jak przedtem, bezwładne.

- Jako mu jest? - pyta ochryple Mendez.

Bernal zamyka powoli skórzane puzdro. - Chwalić Boga, wszystko na najlepszej drodze - oświadcza z przekonaniem.

Ferdynand wlepia oczy w drzwi, które zamknęły się za wychodzącym felczerem. - Jakże to tak - szepcze - toć jak był bez zmysłów, tak jest. I raczej do umarłego podobny niż do żywego.

„Umarły” - słowo zakolatało w mózgu Mendeza niczym odzew pogrzebowego dzwonu. Jeżeli admirał odejdzie, co się stanie z armadą, co się stanie z nimi wszystkimi? Odwraca wzrok, by Ferdynand nie wyczytał tych myśli. Już i tak widać było, że wyrostek goni resztkami sił.

- Ufajmy opatrności - odpowiada bezbarwnie. - Być może, w końcu leki postawią admirała na nogi. Bernal to biegły medyk.

Przez chwilę w toldilli panuje cisza. Mendez obserwuje spod oka Ferdynanda. Gdy podnosili kotwice w Kadyksie, chłopak tryskał zdrowiem. Teraz pozostał z niego nędzny cień. Tak bardzo zmarniał, że aż trudno uwierzyć.

- Bacz - przerywa wreszcie milczenie Mendez - aby ciebie samego nie zważyło z nóg. Bo wtedy...

- Nie zwali - chłopak potrząsa buntowniczo głową - wytrwam.

Z pokładu dobiegł skłócony gwar podnieconych głosów. Znowu coś się tam stało.

Mendez bezwiednym ruchem obciąga poły kubraka. - Muszę iść. Powrócę, jak tylko to będzie możliwe. - Złe przeczucie ścisza mu serce. Jeszcze raz obrzuca spojrzeniem bezwładne ciało, miotane po łożu przechyłami statku.

Ale okazało się, że racja była po stronie Bernala. Dziewiątego dnia wczesnym rankiem Kolumb otworzył oczy. I oczy te patrzyły zupełnie przytomnie.

- Pić - powiedział wyraźnie.

- Ojczel! - Ferdynand, nie dowierzając własnym uszom, przypadł do łoża. - Ojczel!

Ręce drżały mu z przejęcia, zatoczył się wskutek nagłego przechyłu statku, połowa zawartości kubka znalazła się na podłodze.

Wychudłe dłonie Kolumba spoczęły na głowie syna.

- Doglądasz mnie jak prawdziwy Samarytanin. - Wypił chciwie. - Woda?

- Lek, ojcze.

- Daj wina.

Chłopak popatrzył na ojca z wahaniem.

- Nie wiem, czy wolno.

- Daj.

Ferdynand wypadł przed toldillę i narobił wrzasku. Przybiegł Mendez, przygotowany na najgorsze. Ale czekała go radość, nie smutek.

- Ojciec odzyskał zmysły i żąda wina.

Mendez wpadł do toldilli, za nim biegł Bernal. Wystarczył mu jeden rzut oka.

- Mało który medyk potrafiłby tu tyle zdziałać, co ja. - Wsparty pod boki, był uosobieniem triumfu. - Omroczenie minęło, teraz admirał szybko odzyska siły.

- Wina! - Kolumb uniósł się z wysiłkiem na łokciach. - Czuję, że mnie wzmocni.

- Wino - roześmiał się Bernal - nigdy nie zaszkodzi. Szczególnie zacne.

Ferdynand otworzył sepet. Czerwony wosk zamykał glinianą gardziel gąsiorka.

- Święci Pańscy! - Bernal podniósł ramiona kaznodziejskim gestem - ani mi się w snach nie marzyło, że czegoś podobnego skosztuję na Antypodach.

Kolumb pił powoli. Bernal wychylił jednym haustem napełniony przez Ferdynanda kubek.

- Umarłego postawiłoby na nogi - sapnął ocierając usta. - Za kilka dni wasza miłość będzie mógł już opuszczać łóżce. Rzecz jasna, ostrożnie i z rozwagą.

Kolumb zasnął. Zbudził się około południa.

- Daj przyodziewek. Ferdynand zdrętwiał.

- Nie zamierzasz chyba wstać, ojcze?

- Wstanę.

Chciał wybiec, poradzić się Mendeza, sprowadzić felczera. Kolumb powstrzymał go stanowczym gestem.

- Sam wiem, co czynić. Jak długo tu leżę? Dziesięć dni? Święta Trójco! Armada na łasce losu!

Zwłókł się z pościeli. Ferdynand, chcąc nie chcąc, musiał mu pomóc przy ubieraniu się.

- Wyjdiesz na pokład? Burza wciąż szaleje.

- Burzę mnie nie strasz! - uśmiech ożywił wargi Kolumba. Wyprostował się, z trudem utrzymał równowagę. - Widzę, jak kołysze. Najwyższy czas, abym objął z powrotem dowództwo. Mnie powierzono tych ludzi i te okręty.

Podtrzymywany przez syna, wyszedł na platformę. Tuż za progiem poryw wiatru o mało nie zbił go z nóg.

- Prowadź do mojej baszty.

Szli z trudem, trzymając się lin. Gdy znaleźli się na miejscu, Kolumb oparł ręce na nie heblowanym parapecie. Przymknął oczy i oddychał ciężko, nie mogąc dobyć głosu. Wbiegł Mendez.

- Wasza miłość, nie można tak - zaczął gorączkowo. - Bernal powiedział...

Kolumb machnął ręką. - Przestań - zmarszczył brwi.

- Wasze zdrowie...

- Ważniejsza armada. Sprowadź kapitana Tristana i de Kadisa.

Tristan mrugał powiekami. Każde jego słowo pachniało winem.

- Admirale... Cud boski, że was tu znowu widzę...

- Kto kazał wyrzucić pławy?

- De Kadis.

Tristan stał na chwiejnych nogach, ciężko wsparty o ścianę nadbudówki. Gdyby nie ona, upadłby chyba na pokład. Kolumb patrzył na niego niechętnie.

Nadszedł de Kadis.

- Bogu dzięki...

- Kazaliście wyrzucić pławy?

- Tak. Statki zносиło na brzeg. Nie znamy go - być może skały, być może rafy. Nie widziałem innego wyjścia.

- Dziesięć dni na uwięzi w czas huraganu! - policzki Kolumba nabiegły krwią. - Powiadacie: cud, że tu wróciłem. Widzę większy cud w tym, że okręty nie poszły na dno.

De Kadis pogładził starganą wiatrem bródkę. - Żłem uczynił? Kolumb wzruszył tylko ramionami. Milczał przez chwilę.

- Nic nie wystoimy na miejscu - rzekł wreszcie. - Precz z pławami!

- A potem? - De Kadis nie ruszał się z miejsca.

- Naciągniemy nowe płachty.

- Przy takim huraganie? Zerwie je z miejsca.

- Może nie zerwie.

- Wtedy obali statki do góry dnem.

- Da Bóg, nie obali.

De Kadis wciąż się wahał. - Ryzyko...

- Ryzyko? - wybuchnął Kolumb. - O tym trzeba było pomyśleć, gdy wyciągali kotwie w Kadyksie. Powiadam wam, że stokroć bezpieczniej płynąć niż tkwić na uwięzi niczym kłody. - Strzepnął palcami. - Okręt pozbawiony zdolności manewrowania jest jak człowiek bez duszy. Pławy precz! - powtórzył twardo - przypilnujcie, by sprawnie rozpięto żagle. Nie wolno dopuścić, aby je znowu wiatr uniósł.

Główny pilot armady potrząsnął głową. - Wasz rozkaz, admirale.

- Mój.

Odszedł. Na pokładzie znowu wybuchło zamieszanie. Krzyki, bezładna bieganina. Gdy wynoszono płótna z toldy, wiatr o mało nie wyszarpnął ich z rąk. A cóż dopiero, gdy zaczęto mocować żagle na przekładzinach ^{*}..* przekładzina - reja. Obecne nazewnictwo morskie ukształtowało się dopiero w XVIII w., jest pochodzenia holendersko-angielskiego. Kilku marynarzy upadło ciężko na pokład. Odniesiono rozbitych do kasztelu. Szczęśliwym trafem nikt tym razem nie poniósł śmierci.

De Kadis wykrzykiwał wielkim głosem rozkazy. Jego wątpliwości nie gasły, choć starał się ich nie okazywać. „Nadludzkich trzeba sił - myślał - żeby taką rzecz doprowadzić do końca”. Tu zaś brakło nawet zwykłych. Cóż, rozkaz admirała. Jeżeli jednak jego umysł w czasie choroby uległ zaćmieniu? Zimny dreszcz przebiegł wzdłuż krzyża.

Tymczasem targane huraganem płachty trzepotały z ogłuszającym hukiem. Powoli zarysowywał się pewien ład w początkowym chaosie. Na wielkim żaglu zaczerniały ostrokanciaste ramiona maltańskiego krzyża.

Górny żagiel sprawiał najwięcej trudności. Ale i on został w końcu rozpięty i zamocowany na przekładzinach. Maszty okryły się płótnem. Okręt wyglądał teraz jak ptak rozwierający skrzydła do lotu.

De Kadis patrzył zdumiony. Ludzie ześlizgiwali się już na pokład. Huragan nie zerwał płócien, nie strzaskał masztów, nie przewrócił karaweli. Słuszność była po stronie Kolumba. De Kadis stał oparty o ścianę nadbudówki, pełen goryczy i niepokoju. Gdyby on sam przed dziesięcioma dniami odważył się rozpiąć żagle?

Kolumb rozłożył kartę na koślawym stoliku w nadbudówce.

- Płyniemy na zatokę Gordo - jego głos był krzepki i jasny - kurs południe, ćwierć zachód.

- Południe, ćwierć zachód - powtórzył Mendez biegnąc ku sternikowi.

- Południe, ćwierć zachód - powtórzył sternik.

Żagle wyduły się jak pierś człowieka, który głęboko zaczerpnął tchu. Pozostałe trzy karawele zajaśniały bielą wciągniętych płócien. Pchane wiatrem od rufy okręty pomknęły chyżo wzdłuż czerniejącej w dali linii brzegu.

Nawałnica wciąż wrzała z niezminiejszą siłą. Pioruny były bez ustanku. Ale w oczach ludzi uwięzionych na czterech niewielkich okrętach nie było już tępej rozpacz. Płynęli. Przestali czekać z beczynnymi założonymi rękoma na nieuchronną śmierć. To było wiele. To było niezmiernie wiele...

DROGA DO INDII

Sklecona naprędcie przez okrętowego cieślę buda trzeszczała we wszystkich wiązaniach. Deski jęczały i gięły się pod uderzeniami huraganu. Lada chwila cała ta wątła budowla rozsypie się w rumowisko niekształtnych drzazg. Deszcz zacinał, wpadając do wnętrza przez szerokie otwory okienne, wychodzące na wszystkie cztery strony świata.

Niewiele tu było zaciszniej niż na pokrytym odłamkami pokładzie. Ale przecież ściany osłaniały trochę przed wiatrem.

Kolumb niemal nie opuszczał swego posterunku. Musiał trwać. Któż, jeżeli nie on, zdoła przeprowadzić okręty przez bezmiar tych pełnych tajemnic mórz? On tylko posiadał skreślone własną ręką mapy; nie oddałby ich nikomu, chyba razem z własnym życiem. On tylko wiedział, jak należy żeglować, by osiągnąć brzegi złotodajnej Parii. Wiedział też, jak bardzo musi być ostrożny. Niebezpieczeństwo ze strony żywołów nie było jedynym, jakie mu w tej wyprawie groziło. Nie ono było największe.

Przymknął oczy. Myślał o ludziach, którzy niczym hieny czekali jeno sposobności, by go rozszarpać. Bracia de Porras. Diego, notariusz królewski, jakby oczy i ramię korony. Francesco - kapitan karaweli „Santiago de Palos”. Kapitan Diego Tristan, dowodzący właśnie tym okrętem, na którym przebywał Kolumb - karawelą „Kapitanowie” - stanowił niewiadomą. Może czekał na czyją stronę przeważy się szala.

Niewątpliwie otrzymali tajną instrukcję przed wyruszeniem na morze. Od biskupa Fonseki czy też nawet od samego arcykatolickiego króla Ferdynanda. Kolumb nie znał, rzecz jasna, treści tej instrukcji, ale nietrudno było się domyślić, że jest wymierzona przeciwko niemu. Wrogowie Kolumba nie byli osamotnieni. Mieli swoich ludzi na statkach armady. Kto wie, jak wielu. I gdyby posiadli mapy tych szlaków, gdyby wiedzieli, jak dotrzeć do brzegów Parii i w jaki sposób powrócić do Kastylia... Kto był silniejszy? Wrogowie czy sprzymierzeńcy?

Głowa Kolumba opadła na piersi.

Brat Bartholomeo, kartograf. Człowiek światły, w znojmym trudzie dążący do odkrycia tajemnic świata. Ale brak mu było siły charakteru, energii i sprytu. Nie, on nie potrafiłby stawić czoła królewskim szakalom. Z całą pewnością, nie.

Więc Diego Mendez? Odważny, silny i wierny. Więc...

Admirał uniósł się z trudem, wpił palce w szorstkie listwy parapetu. Zatoczył spojrzeniem po rozszalałym morzu. Tuż za „Kapitanami” sunęła karawela „Santiago de Palos”. Kapitan de Porras pewno, jak zawsze, raczy się winem. Co mu tam statek, co burza. „Dobry katolik i wierny sługa korony”. Oto sekret jego kapitańskiej godności. Dalej płynie „Galiegi”. Na wyżce barczysta sylwetka kapitana Pedro de Torreros.

Pedro... Długie lata wspólnej tułaczki po tajemniczych szlakach nieznanym mórz. Gdy jesienią 1492 roku wypływali z portu Las Palos na pierwszą wyprawę, Pedro był tylko rękodajnym Kolumba. Teraz jest kapitanem karaweli. Wierne, nieugięte serce. Ten będzie przy swoim admirale trwać do ostatka. Bez względu na to, jak się potoczą dalsze dzieje floty. Nie dlatego, że swą godność zawdzięcza Kolumbowi. Często powtarzał: „Wolałbym pozostać przy osobie waszej wielmożności, choćby i nadal jako sługa”. Nie były to puste słowa.

Wzrok Kolumba przesunął się z kolei na „Wiskajny”. Kadłub karaweli pstrzył się jaśniejszymi plamami świeżo nałożonych łat. Przewalała się ciężko z burty na burtę. Sporo widać zaczerpnęła już wody, pompy niechybnie znowu odmówiły posłuszeństwa. Liche okręty i jeszcze lichszy sprzęt. Biskup Fonseca, od którego zależało wyposażenie wyprawy, najmniej myślał o jej bezpieczeństwie i powodzeniu. Na szczęście kapitan „Wiskajny”, Bartholomeo Fresco, był doświadczonym żeglarzem. Przemierzył tysiące lig * bezdroży morskich. To nie Porras. Znał swój fach i dał tego dowody. [* liga (rzymska) - miara odległości; liga lądowa - 1481 m, liga morska - 5920 m (wielka).]

Kolumb opadł ciężko na zydeł, nie rozluźniając zacisku palców. Statek wspinał się na fale, zapadał w głąb, ryk wiatru nie słabł ani na chwilę. Mapy... Mapy znaczą przebytą drogę. Reszta jest tajemnicą. Czy dotrą do wschodnich brzegów Indii? Czy ujrzą wreszcie owe miasta o dachach ze szczerego złota, które widział Marco Polo? Tymczasem to, czym witał ich nieznaną kraj, było dziwne i... inne, niż być powinno. Wciąż jeszcze nie było żadnego przekonującego dowodu, który by potwierdzał tezy admirała. Morska droga do Indii...

Kronikarz z Barcelony, Pedro Martir, już po pierwszej wyprawie Kolumba pisał: „Niejaki Kolon dotarł do zachodnich Antypodów. Wierzy, że jest to brzeg Indii. Odkrył wiele wysp - sądzi się, iż są to te same wyspy, co do których kosmografowie twierdzili, że leżą u brzegów Indii za Oceanem Wschodnim. Nie posiadam dowodów, by te twierdzenia obalić.

Ale moim zdaniem wielkość kuli ziemskiej zdaje się prowadzić do całkiem odmiennych wniosków...”

Martir! Kimże był, aby zadawać kłam Kolumbowi? Uczonym geografem? Może sławnym żeglarzem? Nędzny skryba, zamknięty w czterech ścianach swej izdebki! Cóż mógł wiedzieć o tajemnicach świata!

Ale Amerigo Vespucci * to już uczony i żeglarz. - Mistrzu - powiedział, odwiedzając Kolumba po trzeciej wyprawie - dokonałeś oto wiekopomnego czynu. Odkryłeś wyspy i lądy, których istnienie było jeno domysłem najświatlejszych umysłów na przestrzeni dziesiątków wieków. Ale to nie są Indie. To jest zupełnie nowy, nieznan dotychczas świat. [^{1*} Amerigo Vespucci, od którego imienia

został nazwany kontynent Ameryki, w latach 1499-1504 dokonywał wypraw badawczych od Kolumbii do Brazylii południowej.]

Amerigo Vespucci miał za nic kanony geografii. Nie wierzył w obraz świata odmalowany przez Marcina Behaima na jego globusie. Nie wierzył mapom sporządzonym przez wielkiego uczonego Toscanellego. Nie wierzył Pliniuszowi. Wierzył tylko w swoje chimery. Czyż mógł istnieć kontynent, o którym od początku świata ludzie nie wiedzieliby nic? Morska droga do Indii...

Minęły już cztery lata od chwili, gdy okręty Portugalczyka Vasco da Gamy powróciły z wyprawy, naładowane po same burty bogatymi towarami. „Po opłynięciu południowego brzegu Afryki dotarłem do Indii!” A więc odkrył morski szlak do Indii!

Jakże często kluto Kolumba tym imieniem! „Jego wyprawa kosztowała grosze, przyniosła setki tysięcy zysku. Twoje zaś, Kolumbie... Co więcej, Portugalczyk odnalazł prawdziwą morską drogę do Indii”. Omal nie nazywano go w oczy kłamcą i oszustem.

A przecież te wyspy, na których, jako pierwszy z chrześcijan, postawił nogę, nie były kłamstwem. Ani złoto i perły. Ani drogocenne korzenie. Ani Indiosi. Złożył to wszystko u nóg królewskiej pary. „Patrzcie, com oto zdobył!” Krótka chwila triumfu. Wtedy był pierwszym po monarchach człowiekiem w Hiszpanii. Wicekrólem. Admiralem mórz i oceanów. Władcą wysp i lądu.

Droga do szczytu trwała długo. Piął się nią w mozole i cierpieniach. Upadek nastąpił z oszołamiającą szybkością. Powrót do Hiszpanii w żelazach i pod strażą. Przegniła słoma zatęchłej celi więziennej. Potem... tylko tytuł admirała, zakaz wstępu na Hiszpanię. A przecież to on wyrwał tę wyspę z nicości i podarował hiszpańskiej koronie! Zostały mu cztery liche statki i twarda wola dotarcia do celu. Raz jeszcze pozwolono mu wypłynąć w poszukiwaniu nieznanego brzegów. Być może chodziło o to, by dopłynął, ale nie powrócił.

Zatoczył się. Cisnęło nim o ścianę z desek.

Dziób karaweli zarył się w rozwartą przez fale przepaść. Rufa podbiegła gwałtownie ku górze. Okręt stanął dęba, jak znarowiony rumak. Krzyki, przekleństwa, jęki. Olbrzymia beczka przetoczyła się z grzechotem, rozbijając wszystko po drodze. Tuż za nią mknęła miękko, podskakując, bela tkaniny. Widać pękły wierzeje toldy. Potem rufa zniknęła gdzieś w głębi. I niemal natychmiast krótka, boczna fala położyła karawelę na prawą burtę. Na pokład runęło tysiące kwintali zbeltanej wody. Kolumb otarł czoło zroszone potem.

ZATOKA GORDO

Rollejo nigdy dotychczas nie miał nic wspólnego z morzem. Nie popełnił też żadnego przestępstwa, by szukać schronienia na okrętach Kolumba. Nikt go do tej podróży nie zachęcał.. Ludzie mówili: „Wiecie, co to jest »morze ciemności«? Każdy, kto wypłynie na jego przekłete wody, zginie bez ratunku! Nie ocali ni ciała, ni duszy. Czartowskie oceany, czartowskie ziemie. Nie dla uczciwych chrześcijan taka pławba!” Aż strach brał, gdy się słuchało.

Nadzieja jednak przeważała obawy. Bogactwo zwodnicza wprowadzie rzecz. Być może znajdą je po drugiej stronie nieznanych mórz, być może nie. Ale z górą sześć i pół setek miesięcznego żołdu otrzymają w każdym razie. Wyprawa potrwa co najmniej pół roku. W mieszkzu zabrzączy bez mała osiem sztuk złota. Ciężki grosz. Przez całe życie nie miał Rollejo tylu pieniędzy na raz.

Trzy miesiące oto już upłynęły. Dziewięć dziesiątków dni poniewierki, jakiej nie był sobie w stanie wyobrazić. Przychodziły chwile buntu, lecz zaciskał tylko zęby. Musi wytrzymać.

- Zwijać się! - wrzask bosmana przepłoszył zadumę. - Spicie przy tych pompach czy kie lichy? Wody, miast ubywać, jest coraz więcej!

Znowu mocniej zajęczała dźwignia. W pracy pomp nie mogło być najkrótszej nawet przerwy. Poziom wody w kadłubie rzeczywiście wzrastał niepokojąco.

Quintarro sprawdził węzeł lin, którymi był przywiązany da pnia masztu. Trzymały. Znowu podmuch o mało nie wyrzucił go z kosza gabii *.
.* [gabia (hiszp.) - bocianie gniazdo.] Spod powiek spływały wyciskane przez wiatr łzy. Przetarł nawilgłym rękawem oczy, wpatrując się z napięciem w niewyraźną linię brzegu. Bystry wzrok - oto przyczyna, dla której jego właśnie posyłano najczęściej na gabię. Nie protestował. Tu lub gdzie indziej - czyż to nie wszystko jedno? Trzeba coś zrobić, a ochotników na bocianie gniazdo nie było wielu.

Mercano bynajmniej nie uważał, że trzeba coś zrobić. Wręcz przeciwnie. Zaszyty w najciemniejszy kąt kasztelu, sewilski złodziejasek wylegiwał się na swym posłaniu.

- Noga - jęczał, gdy ktokolwiek wchodził - coraz ze mną gorzej.

Nikt zresztą nie zwracał na niego specjalnej uwagi. Wielu było poturbowanych i jęczących. Tylko że inni leżeli dzień i noc, on zaś aby do zmierzchu. Pod osłoną mroku wykradał się na pokład. Gdzie go tam w ciemnościach kto wypatrzy! Uważał zresztą, żeby nie wpaść w oko któremuś z bosmanów. Mendeza omijał szerokim łukiem. Tak więc powodziło mu się niezgorzej. Wieczorem dispensereros zwykle drzemali. Nietrudno, korzystając z okazji, wykraść cichcem to gąsiorek niezbyt podłego wina, to płat suszonego mięsiwa. Wszystko z zapasów przeznaczonych dla wielmożnych. Zwykłych marynarzy nie fetowano takimi specjałami. Wiele można by było zarzucić Mercano, nikt jednak nie odmówiłby mu zręczności palców. Kristobal był pełen podziwu.

- Ależ gładko ci idzie - szeptał, popijając wraz z nim skradzione wino w jakimś ciemnym zakamarku statku. - Choćbym ze skóry wylazł, nie potrafiłbym ci dorównać.

- Cóż... - uśmiechnął się skromnie Mercano - trzeba jakoś dawać sobie radę w życiu.

- Gdyby nie twoja noga... - zaczął z wahaniem Kristobal.

- No? - Mercano wyciągnął się jak długi na deskach, rozkładając szeroko ręce, aby przeciwstawić się nagłym przechyłom statku.

- Ktoś, kto potrafi zręcznie otwierać zamki, mógłby dużo zarobić.

- Noga? - ziewnął Mercano na całe gardło - nic jej niej brakuje. Po prostu nie lubię tyrać bez potrzeby. O co chodzi?

- O nowy gąsiorek wina?

- Gąsiorek! - prychnął wzgardliwie Kristobal. - Miałem na myśli coś lepszego. Nie chciałbyś nabić kabzy złotem?

- Kto nie miałby ochoty? - westchnął Mercano. - Ale głowa na własnym karku też ma swoją cenę - dodał ostrożnie. - Wyłowić sztukę złota z czyjejs sakiewki, ostatecznie czemu by nie? Ale co dalej? Zaczęto by szukać. A gdzie się tu skryć na tej parszywej łajbie? Chyba jeno w morzu. Nie, to nie dla mnie.

- Nie miałem na myśli kradzieży kastelianów.

- Powiedziałeś: złoto.

- Nie zawsze trzeba kraść złoto, by złotem nabijać kabzę. Pogadamy o tym innym razem. Pewne jest tylko jedno: tak zręczna palce, jak twoje, są w wielkiej cenie.

- Na naszej karaweli? - Mercano nic z tego wszystkiego nie pojmował.

- Tak.

Pomimo nalegań Kristobal nie powiedział już nic więcej.

- Później!

To było wszystko, co Mercano zdołał zeń wydobyć.

*

Znowu od wczesnego świtu na gabii. Wzlatywanie ku chmurom i upadki w przepaść. Wiatr siekący deszczem. Samotność. Skąpy na pochwały Mendez zdobył się na słowa uznania:

- Dzielny z ciebie człowiek, Quintarro. Wyjednam ci u admirała nagrodę. Patrz jeno bystro.

- Zbądźcie się obaw. Kiedy już będę na gabii, wypatrzę wszystko.

Wypatrzył rzeczywiście. Nie upłynęły nawet dwie godziny od rozpoczęcia wachty, gdy w ciemnym pasie lądu rozbłysło zwierciadło spokojnej wody. Zatoka. Była to z całą pewnością zatoka Gordo, w której raz już znaleźli schronienie podczas uciążliwej wędrówki. Quintarro wyplątał się ze sznurów i zsunął na dół po linowej drabince.

- Zatoka Gordo, wasza miłość - zaraportował stając przed admirałem - w odległości najwyżej trzech lig.

- Gordo - odetchnął z ulgą de Kadis - nareszcie!

- Gordo - kapitan Tristan pomimo wczesnej pory musiał już sporo łyknąć.

- Gordo - Kolumb wpatrywał się w mapę, osłaniając ją ramieniem przed spojrzeniem obecnych - więc cóż z tego? Byliśmy już tam...

- Toż to bezpieczna przystań. - De Kadisa zaczęło ogarniać zdumienie. Dlaczego admirał nie wydaje rozkazu zmiany kursu? Przy tej chyżości wiatru nietrudno przeskoczyć obok wejścia do zatoki. Nawracanie zaś podczas burzy to rzecz niezmiernie ryzykowna.

- Najbezpieczniej było w Kadyksie - uciął ostro Kolumb. Potem ochłódł: - Nie po to wypłynęliśmy na te wody, aby szukać zacisznych schronień. - Głos jego brzmiał teraz o wiele spokojniej. - Zatoka Gordo! Żadnej możliwości wpłynięcia w głąb lądu, nie jesteśmy przygotowani do podejmowania dalekich marszów. Musimy szukać ujścia wielkiej rzeki. Nawałnica słabnie...

- Nie nazbyt jednak - zaprotestował de Kadis.

- Słabnie. Nie sądzę, żeby jakieś doraźne niebezpieczeństwo groziło w tej chwili armadzie. Na tutejszych wodach ustawicznie zrywają się burze.

- Zrywają się? - mruknął Tristan - powiedzcie raczej: Twa ją bez przerwy. Przekłete wody!

- Słusznie - zgodził się Kolumb - tym mniej więc powodów do chowania się przed wiatrem.

De Kadis wcale nie uważał, by armadzie nie groziło niebezpieczeństwo. Nie wierzył również, by istniały morza, na których zaleją bezustanne burze. Przeczekanie nawałnicy w

osłoniętej przystani wydawało mu się najrozsądniejszym z możliwych posunięć. Nie powiedział jednak ani słowa.

- Trzymać więc dotychczasowy kurs? - silił się na okazanie obojętności.

- Trzymać - potwierdził Kolumb. - Mniemam, że w najbliższym czasie powinniśmy natrafić na rzekę. Oby tylko była dostatecznie szeroka.

Tristan wzruszył tylko ramionami.

- Południe ćwierć zachód - odrzyknął sternik. Quintarro powrócił na gabię. Wiatr rzeczywiście jakby nieco zelżał. Wkrótce zatoka Gordo przesunęła się za lewą burtą. Śledził ją tęsknym spojrzeniem. Kontury zacierały się. Wraz z zatoką znikła nadzieja wypoczynku. Quintarro westchnął ciężko. Kazali mu wypatrywać zatoki Gordo. Wypatrzył ją. Teraz szukają jakiejś rzeki. Czy w ogóle ją znajdują? Skąd pewność, że w ogóle istnieje? Morza tu niepodobne do żadnych innych. I lądy niepodobne. Ale niektórzy szeptali, że admirał wiedział.

Wiatr słabnął w dalszym ciągu. Jeszcze kilka pacierzy - i płachty zwisły miękko. Potem dmuchnęło nieoczekiwanie od dziobu. Przeciwny wiatr wzmagał się. Żagle przyłgnęły do pni. Maszty uginały się przy wtórze alarmujących trzasków. Okręty pchało do tyłu.

Kolumb zaciskał pięści. Policzki pałały mu gorączkowym rumieńcem. Z nadbudówki runęła istna lawina rozkazów. Pomimo zmiany kierunku wiatru admirał zamierzał płynąć dalej po wytyczonym kursie. Zmieniono kąt nastawienia płócien. Zwinęto górny żagiel. Dosznurowano bonetas *, by łąpać wiatr bokiem. Nie dało to nic. Armadę znosiło w dalszym ciągu do tyłu. „Santiago-de Palos” stanęła całą długością burty do kierunku wiatru i o mało nie nakryła się kilem. [* bonetas albo liselas - boczne żagle, dosznurowane do zasadniczych.]

De Kadis pilnował, by rozkazy Kolumba wykonywano dokładnie i szybko. Coraz krytyczniej jednak oceniał ich skuteczność. Budziło się w nim coś na kształt smętnego triumfu. Tym razem on miał rację.

Kolumb wciąż jeszcze nie zaprzestawał prób płynięcia pora wiatr. Być może w grę wchodziło marne parę dziesiątków lig. Być może tylko kilkanaście. Przeszkoda, która zatrzymuje tuż przed osiągnięciem celu, gnębi najsrożej.

Ale niekiedy nawet kilka lig stanowi odległość nie do pokonania. Tak właśnie było teraz. Mars wchodził w koniugację z Saturnem. O tej porze zmiana wiatru ma charakter stały. Wszystko sprzysięgło się przeciw admirałowi. Nie pozostawało mu nic poza rezygnacją.

Długo się przecież wahał, zanim wydał rozkaz zawinięcia do zatoki Gordo. Ale nawet to okazało się niełatwe. Wzdłuż brzegu parł silny prąd. Przy niesprzyjającym wietrze pokonanie go wymagało żmudnych manewrów.

Kolumb wpatrywał się posepnie w ciemną linię brzegu.

SPISEK

Dzień Bożego Narodzenia. O tej właśnie godzinie w kościołach chrześcijańskiego świata dzwonią na pasterkę. Świątecznie wystrojone tłumy zalegają ulice miast. W całej armadzie nie było chyba człowieka, którego myśli nie płynęłyby ku ojczystym stronom. Dom rodzinny, twarze najbliższych sercu... Gdzieś za wzburzonym oceanem, jakby na całkiem innym świecie.

Ferdynand drżącym ze wzruszenia głosem złożył ojcu życzenia. Potem aż do zmierzchu trwał przy burcie, wpatrzony niewidzącymi oczyma w skłębioną zieleń, porastającą brzeg. Matka... Tak bardzo płakała, gdy odchodził. Nie chciała go puścić. Nabrzmiałym łzami głosem mówiła do ojca: „Przed Diego droga usłana różami. Kierujesz go na księcia. A mój syn...”

I pełna mocy replika: „Jest także i moim. Pragnę, by - kiedy mnie już nie stanie - dociekał dalej tajemnic kuli ziemskiej. Wytyczanie szlaków na nieznanym morzach - czyż nie jest warte książęcej purpury?”

Matka była innego zdania. Jej słowa padały jednak w próżnię. Ojciec postawił na swoim. Nie wdawał się zresztą w zbyt długie rozmowy. „Ferdynand popłynie wraz ze mną” - rzekł stanowczo i bezapelacyjnie. Nigdy nie okazywał nadmiernej czułości matce Ferdynanda. Zrodziła mu syna, ale nie została jednak jego żoną Ferdynand nie osądzał jednak ojca. Istniały widać jakieś wyższe racje, nie pozwalające uświęcić tego związku sakramentem.

*

Załodze wydano po nadprogramowym kubku wina. Było skwaśniałe, cierpkie i pachniało nadbutwiałym drewnem beczek.

- Wygarbuje gardziele niczym skórę na kapturze - Rollejo przepił do Quintarra. - Ale prawdę mówiąc w domu i takie rzadko się pijało.

- W domu? - Quintarro pociągał wino drobnymi łykami żeby choć na chleb stało! A przecież w tym dniu dałbym wiele byle być z moimi.

- Któż by nie zechciał? Choćby i o pustym brzuchu, aby tyli ko pod własnym dachem. Mieć wszystkich przy sobie... Ale - otarł rękawem usta - cóż począć? Nie dla przyjemności świętu jemy w tym przeklętym kraju.

- Nie dla przyjemności - potwierdził w zamyśleniu Quintarro - wasza prawda.

Mercano opuścił kasztel w biały dzień. Tego dnia nikt nie gonił marynarzy do roboty. Dla wszelkiej pewności zresztą, ani na chwilę nie zapomniał o utykaniu. Również i on myślał

o swoim mieście. „Święto - wzdychał w rozmarzeniu - ludzie nie bardzo pilnują swych mieszkań. Pacholkiwie miejscy ani chybi zdążyli już zajrzeć do kufli. W odświętnie ustrojonej ciżbie najłatwiej o tłuste żniwo”. Pod połą kubraka skrzątnie skrywał uszczknięta nocą w toldzie gąsiorek. Kristobal już czekał za stosem juków rozłożonych do przeschnięcia u podstawy wielkiego masztu. Zaciszne miejsce, jak rzadko. Mercano jednak długo się rozglądał zanim sięgnął pod połą. Dopiero upewniwszy się, że nikt na nici nie patrzy, napełnił kubki, wciąż zresztą pod osłoną poły. Uczyni to zadziwiająco zręcznie.

- Ocet nie dla naszej braci - wetknął napełnione naczyni w ręce kamrata - pijmy, skoro los nam zesłał. - Dopiero po osuszeniu trzeciej kolejki powrócił do przerwanej rozmowy.

- Powiadałeś coś o nabijaniu kabzy złotem? - spytał od niechcienia.

Kristobal uśmiechnął się nieznacznie.

- Nalej. W gardzieli zaschło.

Mercano skwapliwie nachylił gąsiorek nad podstawionym kubkiem.

- Cykasz jak z łaski - schował z powrotem gąsiorek pod kubrak - nie chcesz, nie mów.

Mnie tam wszystko jedno.

Kristobal powoli smakował trunek.

- Powiadam, ile dozwolone.

- Przez kogo?

Tamten jakby nie dosłyszał. - Dziś w nocy... - zaczął rozglądając się nieufnie.

- A więc dziś w nocy? - ponaglił Mercano.

- Gdy dispensero wydzwoni czwartą wachtę - podjął szeptem Kristobal - ale nie zaraz.

Wyczekaj z pół ampollety.

- I co wtedy?

- Przyjdiesz tu.

- Tu?

- Tu - potwierdził Kristobal. - Bardzo stosowne miejsce do rozmowy.

- Rozmowy z tobą?

Parsknął śmiechem. Śmiech był cichy, ale przecież Kristobal obejrzał się, czy kogo nie zwabił.

- Rzecz jasna, że nie. Przyjdzie człowiek, który ci pomoże napełnić kabzę sztukami złota.

*

Kapitan Tristan leniwym krokiem szedł ku spuszczonej przez marynarzy łodzi. Nudził się na własnym okręcie. W toldilli „Santiago de Palos” czekali nań skorzy do pogawędki

bracia de Porras, wesołek Bernal, przede wszystkim zaś nigdy nie wysychające konwie. Wino na „Santiago” było najzaciejsze. Kapitan Francesco de Porras znał się na rzeczy.

Admirał stał przy burcie rozmawiając z bratem. Tristan udawał, że go nie dostrzega.

- Odbijając - wrzasnął na wiosłarzy, zanim jeszcze zdołał się usadowić w łodzi. - Zgniłki, niedojdy, połamańce - wybuchnął stekiem przekleństw. - Łyżką do gęby umiecie trafić, a wiosłem pomachać nie łaska?

Bartholomeo śledził w zamyśleniu podskakującą na falach łódź.

- Na pogawędkę z Porrasami?

- Na pogawędkę - potwierdził obojętnie Kolumb.

- Ciekawe byłoby posłuchać, o czym rozmawiają.

Kolumb odwrócił ku niemu powoli głowę. - Zbądź się obaw. Jeśli rozmowa będzie nader ciekawa, to się o niej dowiemy.

- Skąd masz tę pewność? - spytał Bartholomeo.

Kolumb rozejrzał się ukradkiem. Nikogo nie było w pobliżu.

- Życie stargało mnie jak łachman - rzekł poważnie - nauczyło jednak, że nie wolno pozostawać głuchym i ślepy tam, gdzie od bystrości zależy los i życie.

Adelantado milczał przez chwilę. Krzysztof nie o wszystkim mu opowiadał. Stawał się coraz bardziej skryty. Może zresztą i lepiej. Gra była trudna i wymagała doświadczenia, którego Bartholomeo nie posiadał.

- Masz swoich ludzi na wszystkich okrętach armady? - spytał jeszcze.

Wargi Kolumba drgnęły w pobłażliwym uśmiechu.

- Rzecz jasna, że na wszystkich. Inaczej niczego nie byłbym pewien. Naczynie o trzech ścianach nie utrzyma wody.

- To dobrze. Tak właśnie być powinno.

- Tak być musi - rzekł Kolumb. - Gdzie przechowujesz karty? - zapytał po chwili.

- W sepecie. Ale... - zawahał się.

- Ale co?

- Mam wrażenie, że ktoś usiłował otworzyć drzwi mojej toldilli.

Oczy admirała zwęziły się.

- Z czego to wnioskujesz?

- Zamek dotychczas chodził gładko, teraz zacina się. Ledwo zdołałem obrócić klucz.

- Kiedy to zauważyłeś?

- Wczoraj wieczorem. Kolumb zamyślił się.

- Czy złoczyńca dostał się do wnętrza? - podjął po krótkim milczeniu.

Don Bartholomeo potrząsnął przecząco głową.

- Nie. Zauważyłbym to niechybnie. Wszystko leżało na swoim miejscu. Karty, konotatki. W takim samym porządku, w jakim je pozostawiłem. Sepetu nie ruszano.

- Jesteś tego pewien?

- Sprawdziłem dokładnie. Obawiałem się, czy aby nie zabrano kart. Tyle mi w tej materii powiadałeś... To była pierwsza rzecz, o której pomyślałem.

- Ano, nie zasypiają gruszek w popiele. To było zresztą do przewidzenia - Kolumb zmarszczył brwi - ktoś spłoszył złodzieja albo też zamek wytrzymał jego zabiegi. Brak im mistrzów złodziejskiego fachu... Ale lepiej zbytnio na to nie liczyć. Od dzisiaj będziesz nosił mapy i notatki przy sobie. W całej armadzie jedynym bezpiecznym miejscem jest moja toldilla. Tu nikt się nie dostanie. Albo przebywam w toldilli, albo mam na nią oko. Poza tym Pedro, Ferdynand... Tutaj nie - powtórzył - ale na „Santiago” rzecz ma się całkiem odmiennie. Ludzie... Cóż, nie wszystkim możemy zaufać. Okazji również nie braknie. Nader często schodzisz ze swej karaweli.

- To przecież nieuniknione.

- Wiem. Pamiętaj jednak: okoliczność, że tylko my posiadamy mapy, stanowi nasz najpotężniejszy oręż.

- Tylko my jedni?

- Tak.

- Widziałem, że również i inni sporządzali szkice.

- Sporządzali! - Kolumb machnął lekceważąco ręką. - Owszem. Ale teraz nikt poza nami dwoma nie posiada nawet zątku mapy, na podstawie której można by było nakreślić kurs powrotnej pławby. Moi ludzie potrafią otwierać zamki - dorzucił po chwili.

- Zrobiłeś to? - don Bartholomeo jeszcze bardziej zniżył głos.

- Musiałem - odparł Kolumb krótko.

*

W toldilli na „Santiago de Palos” powietrze było ciężkie, przesycone kwaśnym odorem wina. Notariusz królewski, don Diego de Porras, nie znosił przewiewu. Jego brat, Francesco, oddychał z trudem, ale i on nie pozwolił otworzyć drzwi. Istniały pewne nader istotne powody, by pozostały zamknięte.

- Tu jednak jest złoto - kapitan gładził polerowane zwierciadło, zdobyte na Indiosach w Carambarze. - Wziąć choćby to cacko: szczyry kruszec. A przecież Indiosi mieli je za nic. Złoto - powtórzył - samorodne złoto, bo przecież te dzikusy nie potrafiłyby g° dobywać z

wnętrza skał. Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? - odłożył ostrożnie zwierciadło na stół. - On twierdzi, że w Parii znajdziemy „złote dno”.

- No cóż - notariusz ważył każde słowo, nim spłynęło na usta. Zawsze zresztą tak czynił. Nawet jeżeli rzecz była na pozór błaha. Nawet gdy rozmawiał z najbliższymi. - Czyż kiedykolwiek powiadał inaczej? I na Hispanioli szukał „złotego dna”, i na Juanie, i na Santa Marii. Każda najnędrniejsza wysepka była dlań skarbcem świata. Potem dopiero okazywało się, że ziemia jest tylko ziemią, a skały jałowymi głazami.

- Tak - przeciągnął kapitan Francesco - zaiste, taki był dotychczas porządek rzeczy, choć głązy nie wszędzie były całkiem jałowe. Ale teraz... - znowu ujął zwierciadło - tu, na tych ziemiach... Jeśli by rzeczywiście odnalazł „złote dno”...

- Jeśli by odnalazł - powtórzył niczym echo notariusz, podnosząc puchar do ust. Pił powoli, drobnymi łykami.

- Co wtedy? - niecierpliwił się kapitan - powiadaj, co wtedy?;

- Wtedy? - notariusz postawił cicho puchar na stole - wtedy my weźmiemy w garść Parię wraz z jej złotem.

- Władza jest przy nim - kapitan napełnił znowu puchary.

- Teraz jest przy nim. Ale... jutro nie zawsze jest podobnej do dnia dzisiejszego.

- A więc za dzień jutrzejszy - wzniosł toast kapitan. - Nie pijesz? - spojrzał ze zdziwieniem na brata.

- Dziś wolałbym zachować całkowitą jasność umysłu. Sprawy, które mamy do omówienia...

- Ze mną?

- Iz tobą, i z kapitanem Tristanem.

- Zaszło coś nowego?

- Można by to i tak nazwać. Wczorajszego wieczoru ktoś przetrząsnął papiery w moim sepecie.

Kapitan zerwał się porywczo, odsuwając z hałasem zydel. Położył dłoń na rękojęści szpady. - Kto?!- wrzasnął na całe gardło.

- Uważaj - syknął ostrzegawczo notariusz - nie tak głośno! Ściany mają uszy.

- Tu? Czyżbyś przypuszczał, że nawet w mojej własnej toldilli kryje się szpieg?

- Nie wiem - notariusz przechylił się przez całą szerokość stołu i szarpnął mocno brata za bufiasty rękaw kaftana. - Siadaj!

- Kto to zrobił? - kapitan poczerwieniał z wściekłości - powiedz tylko, kto się ośmielił?

- Ba, gdybym sam to wiedział.

- Kogo podejrzewasz?

- Wszystkich. W tym właśnie cały szkopuł, że brak podstaw, by kogoś wskazać palcem. Musimy mieć oczy szeroko otwarte. Zbliżamy się do progu wielkiej krainy Parii. Prawdopodobnie znajdziemy tam złoto. Niemal pewne, że również i perły. Admirał jest niezmiernie słaby. To widać od pierwszego wejrzenia. Gdyby go nie stało...

- Pozostanie jego brat. Wbrew rozkazom królewskim objął faktyczne dowodzenie moją karawelą.

Notariusz strzepnął z uwagą jakiś pyłek ze swego kaftana.

- Adelantado? To nieważne.

- Rozumiem - kapitan splótł dłonie na rękojeści szpady i oparł na nich podbródek. - A więc w czym rzecz?

- Gdyby - notariusz zniżył głos niemal do szeptu - gdyby Kolon zamknął oczy, potrafiłbyś doprowadzić armadę do Kastylii?

- Czy ja wiem - zawahał się. - Nie, szczerze mówiąc, raczej nie zdołałbym.

- Rozmawiałeś w tej kwestii z Juanem de Kadis?

- Rozmawiałem.

Notariusz poruszył się niespokojnie. Kapitan roześmiał się cicho.

- Nie obawiaj się. Zachowałem wszelkie możliwe ostrożności. - Podciągnął szpadę i oparł się na niej wygodniej. - Sam wiem, o jaką stawkę idzie gra.

- A rezultat?

Kapitan wzruszył ramionami:

- Żaden. Któż potrafi żeglować po nieznanym morzach bez kart i instrumentów? Kwadranty na wszystkich okrętach są uszkodzone. Nawet kompas zawodzi. Jak tu wytyczać kurs?

- Kwadranty uszkodzone - powtórzył cicho notariusz. - Czy to możliwe, aby uległy przypadkowemu uszkodzeniu na wszystkich okrętach floty?

Kapitan wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- I karty... Wprost nie do wiary, żeby de Kadis nie wykreślał drogi, którą przeszła armada.

- To do niego niepodobne - przyznał kapitan. - Ale nie; posiada żadnych kart. Może je zagubił...

- Może zginęły w inny sposób? - podsunął notariusz.

- Nie wiem. Nie chciał się wdawać w szczegóły.

- Nocni goście - szepnął jakby do siebie notariusz. - A więc nikt nie ma map tutejszych mórz?

- Nikt. Ani de Kadis, ani inni piloci, ani żaden maestre. Tylko Kolon. On jeden wie, którądy prowadzi droga powrotna do chrześcijańskiego świata. Zgodnie z twoim poleceniem zasięgnąłem języka wszędzie, gdzie się dało. Oczywiście w sposób jak najbardziej dyskretny.

- Tylko Kolon - notariusz wpadł w głęboką zadumę. - A kapitan Tristan? - uniósł powoli głowę - przecież cały czas pozostawał u jego boku.

- Przybędzie tu lada moment. Sam będziesz mógł go zapytać.

*

Gdy kapitan Tristan wszedł na pokład „Santiago”, spośród juków zwalonych u bocznej ściany toldilli strzeliło bystre spojrzenie. Juki. Nie było w tym nic dziwnego, że wyniesiono je z toldy. Po zniszczeniach dokonanych przez huragan na wszystkich okrętach panował zamęt, naprawiano uszkodzenia, przesuowano towar. Juki nie zwracały niczyjej uwagi. Na to też liczył człowiek ukryty pomiędzy ociekającymi wilgocią belami zaczynających już butwieć tkanin. Był przemyślny i wiedział, że ryzykuje głową. Kolumb umiał dobierać sobie współpracowników.

Ledwie drzwi toldilli zamknęły się za kapitanem Tristanem, człowiek admirała przyłgnął do wyświdrowanego w ścianie otworu.

- Czołem - Tristan wszedł do toldilli, otrząsnął się, krople wody zaperliły się na blacie stołu. Kapitan de Porras starł je połą swego kaftana, po czym wyjął z podręcznej szafki trzeci puchar i napelnił go po same brzegi.

- Zielona pieczęć? - Tristan z aprobatą przyjrzał się resztkom wosku na szyjce gąsiorka.

- Xeres, anno domini 1450 - zauważył skromnie kapitan de Porras. - Nie stałoby mi śmiałości zapraszać tak zanego kompana na cienkusa. W wasze godne ręce - podniósł puchar.

- I wasze - Tristan pił powoli, delektując się każdym łykiem. - Małmazja! - otarł wierzchem dłoni usta. - U nas całe wino skwaśniało bez reszty. Nie wiem, o czym myślą dispenseros. Przestali już widzieć różnicę pomiędzy grumetem a kapitanem.

Rozmowa początkowo toczyła się na obojętne tematy. Kapitan de Porras dbał pilnie, aby puchar Tristana ani przez chwilę nie pozostawał próżny. Dopiero gdy drugi z kolei gąsiorek zaczął pokazywać dno, oczy zaś Tristana powlokły się lekką mgłą, notariusz uznał, że można

przystąpić do sprawy, dla której go tu sprowadzili. Nawiązał zresztą do niej niezmiernie ostrożnie i nader okólną drogą.

- Jeśliby, nie daj Boże, coś się stało z flagową karawelą... - zaczął. - Wśród rozpasanych żywiołów trzeba być przecież przy gotowanym na wszystko. Albo nieszczęście z admirałem! Tak często słabuje w ostatnich czasach. Cóż, człowiek jest tylko człowiekiem. Wszyscyśmy, niestety, śmiertelni - rozłożył z ubolewaniem ręce. - Lecz co wtedy? Musielibyśmy pozostać tu na wieki, zagubieni na bezkresie nieznanych oceanów i lądów. Gdyby jakaś karta tutejszych stron! Choćby naszkicowana od ręki!

- Karta? - Tristan kołysał się miarowo na swym zydlu. - Owszem, wykreślałem kurs naszej armady. Wyspy, obok których płynęliśmy, lądy. Jakże by inaczej?

Notariusz ożywił się.

- Więc posiadacie kartę, kapitanie? - Upił tęgi łyk.

- Posiadałem. Karty, wyliczenia, wszystko. Przecież nie płynąłbym jak ślepy osesek.

Ale teraz...

Notariusz wymienił z bratem porozumiewawcze spojrzenie.

- Zaginęły wam?

- Zaginęły. Cóż, burza, huragan. Wiatr nieraz rozwałił drzwi mojej toldilli. Cóż dziwnego, że wszystkie konotatki diabli wzięli?

- Trzymaliście papiery na wierzchu?

- W sepecie. Ale, być może, akurat zapomniałem je schować. Mogłem zapomnieć. W tym piekle, które przebywaliśmy, człowiek niemal odchodził od zmysłów.

- Nocni goście - szepnął notariusz.

Tristan nie dosłyszał. - Powiadaliście coś? - przechylił się ku niemu.

- Nie, nic ważnego. Drzwi otworzyły się z takim trzaskiem, że notariusz drgnął, dłoń zaś kapitana Francesco zacisnęła się na głównej szpady. Tylko Tristan w dalszym ciągu trwał na zydlu, wpatrzony w swój pucharek.

Notariusz zwrócił pobladałą twarz ku wejściu. Ale nie było powodów do niepokoju. Na progu zaczerniała krępa sylwetka felczera Bernala. Często tu szukał schronienia przed nagabywaniami swych pacjentów.

- U waszych miłości niczym w raj - westchnął. - Ściągnął ociekającą wodą kapuzę i zwinąwszy byle jak rzucił w kąt Zaproszony gestem kapitana Porrasa, zajął miejsce na zydlu.

- O czym dyskurs, jeśli wolno wiedzieć?

- O aurze - odpowiedział szybko notariusz. Bernal skwapliwie sięgnął po napełniony puchar.

- Przednie wino - mlasnął soczyście językiem - najzacniejsza pod słońcem kompania i dach nad głową, czegoż można więcej wymagać od losu?

Notar bąknął ni to, ni owo, nachylając twarz nad stołem. Nie znosił towarzystwa ludzi podlejszej konduity. Bernal był jak zawsze rubaszny i bez umiaru. Człowiek z nizin, jak powiadano, łotrzyk spod ciemnej gwiazdy, który próbował bezskutecznie udawać szlachcica. Zachowanie się felczera nieraz mierziło go do głębi, nie dawał tego jednak po sobie poznać. Bernal mógł być cennym sprzymierzeńcem. Notariusz zaś potrafił ścierpieć niejedno, gdy uważał to za konieczne.

Kapitan Diego w milczeniu napełniał kruże. Bernal sięgnął do wypchanej pękato kieszeni kubraka.

- Co wasze miłości powiedzieliby na małą partyjkę? - spytał stawiając z grzechotem na stole kubek z kostkami.

Od samego początku oczekiwali tej propozycji. Bernal ani dnia nie potrafiłby przeżyć bez gry.

- Cóż - notariusz dotknął złotego krzyża na swej piersi - od tego nie przystoi się wymawiać.

Rozmowa z Tristanem nie dobiegła końca, ale dalszy jej ciąg wymagał przemyślenia.

UJŚCIE WIELKIEJ RZEKI

Pierwszy dzień świąt minął w spokoju. Ale już drugiego Kolumb kazał napędzić ludzi do roboty. Żagle, szczeliny w kadłubach statków, maszty, potrzaskane nadburcia, pompy - wszystko wymagało pilnych napraw. Admirał głuchy był na wszelkie protesty.

- Nie czas świętować - powtarzał. - Nie zapominajcie, po co tu przyплыliśmy. I jaka droga jeszcze przed nami. Milsza będzie Bogu pilność waszych rąk niż wyśpiewywanie kantyczek. Zresztą praca nie przeszkadza modlitwie. Bierzcie przykład ze świętego Józefa.

Święty Józef? Nie mieli aż tak wysokich aspiracji. Ale nietrudno było zrozumieć, że od sprawności okrętów zależy los wszystkich, którzy się na nich znajdują.

Przeciągle jęczały piły. Zaczęły padać pod ciosami toporów drzewa. Niektóre z nich miały twardość niemal żelaza. Nie spotykano podobnych w Kastylii.

Skoro tylko ustał deszcz, rozpalono na brzegu ogniska. Powiało znajomym zapachem wrzącej smoły. Po raz pierwszy od wielu dni warzono ciepłą strawę. Nikt nie wydziwiał nad sparciałymi jagłami. Odór stęchlizny przepływał mimo nosów. Ciepła strawa! Były dni, w których nie wierzyli, że jeszcze kiedykolwiek w życiu jej skosztują.

*

Sylwester. Nadchodził rok pański 1503. Gdzieś na świecie noc była gwarna i rojna. Huczały dzwony, grzmiała muzyka, okna jarzyły się światłem.

Tu mieli tylko wino. Zamiast muzyki - słyszeli gwizd wiatru, zamiast dzwonów - poszum gałęzi. Z głębi lądu napływało posępne wycie. Jakiś nieznany zwierz? A może... Byli tacy, którzy przysięgali, że o północy ponad ciemnymi koronami drzew gorzała piekielnym ogniem postać samego szatana.

W toldilli „Kapitanów” zgromadzili się wszyscy komendanci statków, ich zastępcy i piloci. Nie zabrakło żadnego z hidalgos. Ci, którym nie starczyło miejsca przy stole, stali oparci o ścianę. Gąsiorki krążyły gęsto. Rozprawiano o Kataju, Państwie Wielkiego Chana, targowiskach pełnych wszelakich towarów, domach pokrytych dachami ze szczerego złota. Złoto... - o nim mówiono najczęściej. Złoto, perły, bogactwa. Oczy gorzały, z czupryn kurzyło się coraz mocniej. Kolumb przeważnie milczał, pogrążony w niewesołych myślach, posępny i samotny pośród rozbawionej kompanii.

W pewnym momencie, gdy wspomniano o Tygrysie i Eufracie, rzucił w przestrzeń:

- Gdzieś w sercu tych ziem leży raj ziemski...

Nie patrzył na nikogo. Gwar już był taki, że większość słów tonęła w nim bez echa. Ci, do których dotarły słowa admirała, wzruszyli nieznacznie ramionami. Raj? Te strorty przypominały raczej przedśionek piekła.

Kolumb umoczył usta w winie. Rosło w nim zniecierpliwienie i poczucie własnej bezsilności. Czyż po to dotarł do drugiego krańca świata, by teraz tracić czas na pijackich biesiadach?

Tristan spełniał toast po toaście. Przy którymś z rzędu osunął się miękko pod stół.

- Duchota tu taka - zauważył pobłażliwie notariusz królewski, Diego de Porras - że każdego z nóg zetnie.

Kapitan Tristan łypał przekrwionymi oczyma i nie chciał się podnieść z zaśmieconej podłogi. Pachołkowie wynieśli go i ułożyli troskliwie na platformie, podścielając opończę. Na wietrze szybko przyjdzie do siebie.

Uczta trwała dalej. Oczy Kolumba stawały się puste. Nie widział ludzi, nie widział sprzętów, nie widział gąsiorków. „Upał rodzi złoto i perły - myślał. - Tam, gdzie promienie słońca grzeją najmocniej, kwitną ogrody Edenu. Tak piszą księgi ludzkie i boskie. Tu jest najgoręcej, tu musi być »złote dno« świata, w tych wodach muszą leżeć najbogatsze perłopławy, tu odnajdą ukryty dotychczas przed oczyma śmiertelnych raj na ziemi. Olbrzymie przestrzenie oceanu, szalejące bez przerwy nawałnice przez tysiące lat broniły przystępu do ziemi obiecanej. Ja dotarłem do niej pierwszy”.

W myślach plątały mu się ustępy Biblii, opisy Marco Polo, bajeczne wizje, wysnute przez Johna Mandeville'a. Barwna mgławica, olśniewająca błyskami nagłych światła.

Na chwiejnych nogach wyszedł jakiś hidalgo. Zaplątał się we własną szpadę któryś z kawalerów. Przez uchylone drzwi dobiegał szmer podnieconych głosów z pokładu. Despenseros otrzymali polecenie, by nie skąpić wina. Wycieńczeni do ostateczności ludzie upijali się pierwszymi kubkami. Było coraz gwarniej i weselej.

W ciemnościach szumiała licznymi głosami pełna ponurej tajemniczości puszcza.

*

Ledwie zaczęło świtać, Kolumb stanął na zasłanym uspionymi marynarzami pokładzie. Pierwsze spojrzenie admirała pobiegło, jak zawsze, ku trzepoczącej na wierzchołku głównego masztu fladze Kastylii.

U burty zachlupotała rozbijana wiosłami woda. Po sznurowej drabince wbiegł don Bartholomeo. Musiało zajść coś niezwykłego. Adelantado był wzburzony i zły. Odciągnął Kolumba na bok.

- Ktoś plądrował po mojej toldilli - oznajmił ledwo dosłyszalnym szeptem.

- Ach, tak - Kolumb ściągnął brwi - sepet otwarto?

- Tak, tym razem zdołali to uczynić. Wszystko poprzewracane.

- Karty i konotatki?

Don Bartholomeo dotknął kaftana na piersi.

- Mam tu. Tak, jak poleciłeś. Niedługo przyszło czekać na ziszczenie się twych obaw.

Kolumb zamyślił się.

- A więc otworzyli pomimo sekretnych zamków... - rzekł wolno.

- Otworzyli - powtórzył niczym echo don Bartholomeo.

- Zamki uszkodzone?

- Nie. Widać jakiś mistrz złodziejskiego kunsztu.

- Mistrz - dłoń Kolumba gładziła wyłóg delii - któremu za nic wszelkie zamknięcia.

Będziemy to mieli na uwadze.

Milczeli chwilę.

- Sprytnie obrali porę - podjął Kolumb. - Tej nocy ludzie wędrowali z okrętu na okręt, niby po odpuście. Ci, którzy mieli czuwać, zaglądali do pełnych kubków. - Machnął ręką: - Co tam! Patrz - wskazał targany wiatrem proporzec - pomyślny wiatr.

Don Bartholomeo zadarł głowę.

- Byle utrzymał się do jutra.

- Wypłyniemy dziś.

- Dziś? - zrobił wielkie oczy. - W dzień nowego roku?

- Nie wolno przesypiać okazji. Kto wie, kiedy się nowa nadarzy.

- Z głów jeszcze nie wywietrzało wino.

- Wypłyniemy. Wracaj na swój okręt. Rozwijamy żagle. Bacz, by wszystko poszło sprawnie. Nie żałuj ludzi. Trudno. Siebie też nie żałujemy.

Don Bartholomeo zawrócił bez słowa, kierując się ku wykrojowi burty. Znał swego brata, jakakolwiek dyskusja stanowiłaby teraz jeno próżną stratę czasu.

Mendez z trudem tłumił ziewanie.

- Postaw ludzi na nogi - rzekł twardo Kolumb. - Niech rozwiną wszystkie płachty! Armada wychodzi na pełne morze.

- Kapitan Tristan... - zaczął niepewnie Mendez. Widział go przed chwilą na platformie toldilli, chrapiącego i bezwładnego niczym bezduszną kłoda. - Trudno będzie go rozbudzić.

Powiedział: „trudno”, myślał: „nie sposób”.

- Zostaw go w spokoju. Przywołaj de Kadisa. Weź się do bosmanów! Za pół ampollety wszystko musi już być w ruchu.

De Kadis nie oponował. Wiatr rzeczywiście był pomyślny. Święto? Na takie rzeczy nie bardzo zwracano uwagę w czasie pływby.

Pół ampollety... Mendez nie był cudotwórcą. Choć zdzierał gardło, piasek trzykrotnie przesypał się w klepsydrze, zanim na masztach zatrzepotały płótna. Okręty wypływały jeden za drugim. Na czele, jak zawsze, flagowa karawela „Kapitanowie”. Kolumb przesunął niechętnym wzrokiem po aż nazbyt znanym zarysie brzegu zatoki. Chyba nie będą zmuszeni powracać tu po raz trzeci.

*

Znowu walka z przeciwnymi prądami. Płynęli na południe, zносиło ich na północ. Nie pozostawało im nic innego, jak iść zakosami. Ustawiczne manewry wysysały z ludzi resztki sił. Dopiero co uszczelnione kadłuby znowu zaczęły przepuszczać wodę. Pompy pracowały bez przerwy. De Kadis kłął w żywy kamień.

- Płynąć w zgniłych korytach ku Antypodom? Jego wielbność liczyła widać na cud! - Biskup Fonseka był w tych dniach najmniej popularną osobistością w armadzie.

Ferdynand wodził trwożnym spojrzeniem za ojcem. Admirał nie wyglądał dobrze. Oczy miał zamglone, policzki pałające ciemnym rumieńcem gorączki. Cały dzień tkwił bez przerwy w nadbudówce, dopiero gdy zapadał mrok, schodził do swej toldilli. Spał niespokojnie, czujnie i lekko, gotów każdej chwili zerwać się na nogi. „Chory, słaby, do cna opadnie z sił - myślał Ferdynand. - Cóż pomogą leki Bernala?”

Felczer zresztą oświadczył stanowczo: - Spoczynek dla waszej miłości - rzecz najważniejsza. Łoże, łoże i jeszcze raz łoże. Natura ma swoje prawa. Nie wolno ich lekceważyć.

Kolumb odganiał go jak natrętną muchę: - Nie straszcie po próżnicy. Jakoś wytrzymam.

Gdy tylko zaczynało szarzeć, zwlekał się ociężałe z pościeli. Z rulonami kart pod pachą dążył do nadbudówki. Po drodze sprawdzał naciągnięcie żagli, zatrzymywał się przy sterniku, badał drgania kompasowej igły.

Ferdynand składał błagalnie ręce:

- Znowu choroba zwali was z nóg! Wtórował mu Mendez:

- Jaki los spotka armadę, gdy wasza miłość nie będzie w stanie jej prowadzić?

Kolumb wzruszał tylko ramionami. Los? Któż ze śmiertelnych mógł go przewidzieć?

*

Rollejo pracował przy pompach. Z czoła spływał mu gęsty pot, chwilami miał wrażenie, że runie na pokład i nic nie będzie w stanie ruszyć go z miejsca. Nie zdarzało się, by zmiana nadeszła w porę. Brakło ludzi. Kasztel pełen był chorych i potłuczonych.:

Quintarro nie odrywał oczu od mglistego zarysu lądu. Ujście „wielkiej rzeki? Być może, taka rzeka istnieje naprawdę. Być może, natrafią wreszcie na wymarzone ziemie, płynące mlekiem, i miodem. A choćby tylko rodzące chleb powszedni. Byle pod dostatkiem. „Ziemia - wpatrywał się w dal, spowity w oploty lin - pulchna, czarna i żyzna”. Nie schodziła mu z oczu ni we śnie, ni na jawie.

Mercano zaczął jeszcze bardziej utykać na nogę. Był mroczny jak chmurna noc. Kristobal wyprowadził go w pole. Trudna robota, groźba utraty głowy i ani złamanego grosza? Mercano nie znosił, gdy go oszukiwano.

- Powiadałeś o kabzie pełnej złota. Zrobiłem, ca żądano - nalegał w czasie potajemnych spotkań. - Któż inny potrafiłby otworzyć zamki z sekretem? Należy mi się chyba kilka sztuk złota?

- Nie wiem - Kristobal rozkładał ręce - oni uważają, że nie należy ci się nic. Nie zdobyłeś ani kart, ani konotetek.

Mercano był bezradny. Wtedy, w nocy, nie dojrzał twarzy tajemniczego rozmówcy. Gdyby wiedział, kim jest, mógłby upomnieć się o należną zapłatę. Nie wiedział jednak. Nawet się nie domyślał. Rondo kapelusza opuszczone nisko na twarz, przytłumiony, niewyraźny głos. Rozmowa trwała krótko. Rozeszli się - i znów pozostał tylko Kristobal, jego niedomówienia, rozkładanie rąk, tajemnicze szepty.

- Nie było żadnych kart ani papierów - podjął Mercano masując kostkę nogi. Od ciągłego utykania mięśnie chwilami drętwiały, jakby je rzeczywiście nadwerężył.

- Oni powiadają, że musiały tam być, tylkoś nie znalazł. Gdy pójdziesz następnym razem...

Mercano odął wargi: - Niech sobie szukają głupszego.

- Być może, dadzą sztukę złota jako zaliczkę.

- W takim razie - ożywił się - możemy pogadać. Kiedy mam iść?

- Gdy będzie można dostać się na „Santiago”. Sami oznajmią porę.

Następnego dnia padło z gabii: „Widzę ujście rzeki”. Kolumb natychmiast nakazał zmianę kursu. Zaczęto ujmować żagli. Wkrótce dojrzano rzekę również i z pokładu. Była szeroka i sprawiała wrażenie spławnej.

Kolumb przyglądał się jej długo, w milczeniu, oceniając oczy dłonią. - Mniemam, że korytem tej rzeki zdołamy wpłynąć w głąb łądu - rzekł wreszcie.

Zwinięto resztę żagli. Wiatr był słaby. Okręty kołysały się zgodnie na niskiej fali. Od „Kapitanów” odbiła łódź wioząca pilota. Jedyne łódź, jaka pozostała w całej armadzie. Ołowianka raz po raz zanurzała się w wodę, mierząc głębokość. Pilot wrócił zasępiiony.

- W miejscu, gdzie rzeka wpada do morza - oznajmił - nie więcej niż dziesięć piędzi.

Kolumb zmarszczył brwi. Dla bezpiecznego wejścia statków potrzeba co najmniej pięć war. De Kadis wzruszył ramionami.

- Będziemy kilem szurać po dnie. I jeśli pilot omylił się choćby o pół piędzi...

Nie dokończył. Sytuacja była i tak aż nazbyt jasna. Najmniejszy błąd spowoduje osadzenie okrętu na mieliźnie. A na tych morzach, gdzie burze szaleją całymi miesiącami, mogłoby to oznaczać ostateczną zagładę. Trwało pełne napięcia milczenie. Czekano na decyzję Kolumba.

- Płyniemy - rzekł wreszcie.

Podniesiono tylko część płócien. Sternik naprężył mięśnie. Nie wolno dopuścić do zbieczności z kursu choćby na jotę. Kil szurał po piasku. Coraz częściej i coraz głośniejsze. Nasłuchiowano z niepokojem.

I nagle kil przestał ocierać się o dno. Pilot nie popełnił omyłki.

Kolumb nieznacznym ruchem otarł pot obficie zraszający czoło. To były ciężkie chwile. Wpłynęli przecież. Pod kadłubem pluskał ciemny, błotnisty nurt rzeki.

Teraz zaczęły wchodzić pozostałe okręty. Kolumb obserwował je ze skupioną twarzą. Jeden po drugim przepływały ponad niebezpiecznym progiem.

- Zarzucić kotwie! - głos Kolumba brzmiał triumfem.

Z dziesiątków piersi wypłynęło westchnienie ulgi. Oto po długim błędzeniu po nieznanych morzach zawinęli wreszcie do bezpiecznego portu. Zaskrzypiały kołowroty. Ciężkie kotwice wpadły z pluskiem do wody. Ostro kowane pazury worały się głęboko w muliste dno. Łańcuchy naprężyły się, potem zelżały.

Na pokładach wybuchł radosny zgiełk. Jedni mamrotali dziękczynne modlitwy. Inni przywarli do burty, pożerając oczy ma zieloną gęstwę. Dziwaczne rośliny, nieznane drzewa. Niemniej jednak była to prawdziwa zieleń i prawdziwe drzewa. Zmierzchało już. Kolumb nie pozwolił opuszczać okrętów.

- Nie wolno o zmroku wychodzić na ląd, o którym nic nie wiemy.

Wieczór i noc minęły w rozleniwiającym spokoju.

- Te ziemie - oznajmił Kolumb - są najbogatsze ze wszystkich na całym świecie.

Notariusz królewski uśmiechnął się sceptycznie.

- Być może. Tymczasem jednak nic tego bogactwa nie zapowiada.

Potem, gdy znaleźli się z bratem na osobności, szepnął, rozejrzawszy się uprzednio na wszystkie strony:

- Licho wie. Może i naprawdę dotarliśmy do wrót Kataju. Da Gama z jednej strony, a my z drugiej. -

Kapitan Francesco de Porras pokiwał w zamyśleniu głową.

- W każdym razie wszystko wskazuje, że jest to kontynent, nie wyspa. Jakż może być kontynent poza Azją?

- Najwyższy czas działać. Czyż nigdy nie zdobędziemy tych przeklętych kart? - palce notariusza targaly nawilgłą kryzę kołnierza. - Oto Kolumb ma nowe powody do roszczeń wobec Korony. Dopóki tylko on będzie znał powrotną drogę do Kastylji, nie uczynimy mu nic.

- Ten człowiek przeszukał wszystko.

- Widać źle szukał.

- A jeśli Kolon przechowuje karty tylko w swej własnej toldilli? Tam nie ma dostępu. Strzegą jej dzień i noc.

- Nie wierzę, żeby wszystkie karty trzymał u siebie. W razie jakiejś katastrofy „Kapitanów” zamknąłby sobie drogę do powrotu. Jest na to za ostrożny. Nie wierzę - powtórzył z przekonaniem. - Takich rzeczy nie da się utrwalić w pamięci. Jego brat niewątpliwie posiada duplikaty. Musimy szukać, aż znajdziemy.

- Ten człowiek spróbuje jeszcze raz.

- Pewny człowiek?

Kapitan Francesco pogładził bufiasty rękaw swego kaftana.

- Pewny? - przeciągnął. - Łotrzyk spod ciemnej gwiazdy. Za sztukę złota zarznąłby rodzoną matkę. Jenó że zręczny jak diabeł. Złote palce, daj je katu. Wszystkie zamki stoją przed nim otworem.

Notariusz nie potrafił ukryć nagłego niepokoju.

- Jeśliby puścił parę z ust... Wiesz, czym to grozi.

- Zbądź się obaw. Niech tylko spróbuje słówko pisnąć. Zresztą nie wie nic.

- Sam z nim rozmawiałeś? Nie zapominaj, że sprawa gardłowa. On nie liczy się z urodzeniem ani urzędem.

- Pamiętam. Ale ten złodziejasek ani się domyśla, z kim rozmawiał. Cóż więc może wyznać, choćby go wzięli nawet na męki?

Notariusz chrząknął aprobująco: - To dobrze... Ale czas nagli - szepnął po chwili. - Jutro, gdy załogi zejną na brzeg...

Wszyscy z niecierpliwością oczekiwali nadejścia dnia. Ale ten dzień nie przyniósł upragnionego odpoczynku. Już o świcie rozpoczęła się ogłuszająca palba gromów. Piasek nie zdążył przesypać się w ampollecie, gdy zrozumieli, jak złudne było przepelniające ich od wczoraj poczucie bezpieczeństwa. Jęk spojeń, trzask przekładzin masztów, huk piorunów, ryk nawałnicy - jakże dobrze znali tę muzykę! Nie było tu lepiej niż na otwartych wodach. Bodaj czy nawet nie gorzej. Z obu stron twarde bariery brzegu. Czarne chmury bluzgały potokami deszczu. Wszyscy przemokli w jednej chwili do suchej nitki. W popłochu szukano schronienia. Kasztel zapełnił się, w ciemnościach deptano po leżących na barłogach kamratach. Jęki, przekleństwa, wrzaski. Tylko zielonkawy odbłask piorunów wpadał przez drzwi, których nie dało się zamknąć.

Jazgotały kotwiczne łańcuchy. Kolumb, nie bacząc na ulewę, wychylał się przez burtę. Pękną? W mgnieniu oka wichura wyrzuciłaby okręty ria brzeg. Trzymały jednak.

Ociekając wodą powrócił do toldilli. Nie wydał żadnych rozkazów. Wszystko zależało teraz od wytrzymałości łańcuchów.

Nawałnica trwała.

Upłynęły już dwadzieścia trzy dni od opuszczenia zatoki Gordo. Ludzie zapadali na nieznaną chorobę. Dziaśła puchły i pokrywały się wrzodami. Bernal nie zadawał sobie trudu, by odwiedzać cierpiących.

- Tu tylko świeże warzywa a owoce - mówił. - Dużo i jak najbardziej cierpkich. Nic innego nie przyniesie im ulgi.

Wreszcie burza zaczęła cichnąć.

- Jutro o wschodzie słońca schodzimy na brzeg - obwieścił Kolumb.

Jego słowa przyjęto z powątpiewaniem. Wtedy też mówił: „jutro”. I stało się tak samo.

Zanim zdołano spuścić łódź, na okręty runął huragan. Woda w korycie rzeki wydęła się, jakby podniesiona olbrzymią siłą. Łańcuchy kotwiczne pękły niczym pajęcze nici. W jednej i tej samej chwili na wszystkich okrętach.

- Zapasowe kotwie! - grzmiał Kolumb biegnąc po pokładzie. - Migiem! Komu życie miłe!

Ciężkie, kowane z żelaza kotwice przechowywano na samym dnie ładowni. Niełatwo było wynieść je na pokład po rozchwianych szczeblach drabin, jeszcze trudniej umocować do łańcuchów. Zdawało się, że upłynęła wieczność, zanim znalazły się za burtą.

Brzeg był coraz bliżej. Kotwice wlokły się w mule nie zatrzymując okrętów. Czyżby wyrzucono je za późno? Ludzie drętwieli w śmiertelnym lęku. Zaraz usłyszą trzask pękającego drewna i...

W momencie, gdy zguba wydawała się już nieuchronna, ostrze kotwicznego pazura zaczepiło się o dno. Karawelą targnęło, potem zakręciła się wokół łańcucha. Ale ni dziób, ni rufa nie uderzyły o brzeg. Obok „Kapitanów” zatrzymała się „Galiegi”. Dalej „Santiago de Palos” i „Wiskajny”.

Cztery karawele kołysały się na uwięzi. Kolumb odetchnął z ulgą. Byli ocaleni - raz jeszcze.

SKARB AURIRY

Nasze oczy widziały wielkie skrzydlate kanoe - oznajmili zwiadowcy wysłani przez Kibiana do ujścia rzeki Iebro - i niepojęte istoty.

Na szyjach wysłańców połyskiwały naszyjniki z dziwnych kulek, przezroczystych i twardych, podobnych do kropel wody, w których utrwaliła się purpura zachodzącego słońca i błękit niebios.

- Takich rzeczy nie ma nikt - puszyli się. Kibian zawezwał czarownika.

- Jaki to czar? Zły czy dobry?

Czarownik długo kołysał niezdecydowanie głową, przebierając palcami zęby świętego naszyjnika na swej piersi.

Od początku swych dni nie widział niczego podobnego. Ale wiele księżyców minęło od chwili, gdy po raz pierwszy ukrył twarz za wieszczą maską. Czarownikowi nie wolno popełnić omyłki. Zwlekał więc z odpowiedzią, by zyskać na czasie i rzecz wszechstronnie rozważyć. „Jeśli naczynie z morską wodą - myślał - postawi się na słońcu, na dnie pozostają

tylko rzeczy twarde, przezroczyste i słone. Przezroczysty jest również kruchy kamień, błyskający wśród skał. Rzecz nieznaną nie zawsze zawiera część nieziemskiej mocy”.

Nie wypowiedział jeszcze swego sądu, kiedy zwiadowcy pokazali coś znacznie dziwniejszego: kule wykonane z nieznanego materiału, przypominające małe pataty, Gdy się nimi potrząsnęło, słychać było ostry stukot - tuk, tuk - jakby wewnątrz siedziała żywa istota.

- Wielki czar - wołano z podziwem.

- Jaki czar? - Kibian znowu zwrócił się do czarownika.

Ten wciąż jeszcze milczał. Dźwięk był tajemniczy i nie przypominał żadnego ze znanych dźwięków. Ale jeśli do wyschniętej tykwy nasypie się małych kamyczków i potem potrząśnie się nią? Też zagrzechocze: tuk, tuk. Inaczej, bardziej głucho, ale przecież podobnie.

- Czar jest obcy - zawyrokował wreszcie. - Aby nie przyniósł zła, tylko dobro, należy złożyć opiekuńczym duchom plemienia ofiary.

Plemię było bogate. Czarownik nie widział powodu, dla którego część dobytku jego współplemieńców nie miałaby się znaleźć w Domu Tajemnic.

Myśli posiadaczy przezroczystych naszyjników nie były już tak promienne, jak przed chwilą. Czarownik przy każdej sposobności żądał ofiary. A któż woli dawać niż brać? Skoro jednak tyle tylko należy uczynić, by - zamiast zła - obca rzecz darzyła dobrem... nie warto żałować wiązki ryb czy złowionego ptaka. Lepiej nie narażać się na gniew wszechpotężnych duchów.

- Czego żądają istoty przybyłe na Wielkich Skrzydła tych Kanoe? - dopytywał Kibian.

- Czego żądają? - zawtórowali członkowie Rady.

- Żądają Kamienia, Którego Świeci Nie Grzejąc - odpowiedzieli zwiadowcy. - Chcą mieć go dużo i jeszcze więcej. Szukają miejsc, gdzie skała rodzi te kamienie.

Kamień, który świeci nie grzejąc? W tym właśnie momencie Kibian przypomniał sobie o ciężkim naszyjniku, który włożył na piersi wyruszający wraz z innymi Cha-ne-scoo.

Rozejrzył się. - Dlaczego oczy nasze nie widzą Cha-ne-scoo?

Nie umieli odpowiedzieć. Szedł z nimi w tamtą stronę, nie było go, gdy wracali z powrotem. Widok niezwykłych rzeczy u ujścia rzeki olśnił ich do tego stopnia, że nie byli w stanie myśleć o niczym poza obcymi czarami.

- Odszedł - Que-quo-ro potarł z zastanowieniem czubek nosa - odszedł w zarośla.

- Po co odszedł? - nastawał Kibian. Ale Que-quo-ro tego nie wiedział.

- Nie odszedł sam - powiedział po głębokim namyśle So-tiac. - Była z nim biała istota w lśniącej skorupie. Miał otrzymać od niej wiele dobrych i jeszcze lepszych czarów.

- Nie wyszedł z tych zarośli?

- Nie.

- Nie wyszedł - potwierdzili wszyscy zwiadowcy jednogłośnie.

Teraz, gdy zaczęli się zastanawiać nad zniknięciem Cha-ne-scoo, doszli do wniosku, że istotnie było w tym coś niepokojącego.

- Pozostał w zaroślach i nie wrócił - rozważał na głos Kibian - kiedy więc powróci?

Nie powrócił już nigdy.

Długo w noc płonęły szczapy aloesu na świętej czarze. Pod niskim dachem Chaty Narad snuły się gęste pasma wonnego dymu.

- Skrzydlate kanoe - zagaił Kibian - zwinęły skrzydła i kołyszą się na wodach naszej rzeki Iebro. Białe istoty mają lśniące skorupy na ciałach. Mają czarodziejskie rzeczy, które plują ogniem. Nieduże, które trzymają w rękach, i inne, wielkie, niczym wydrążone kłody drewna, tylko do drewna niepodobne; toczą je na czymś okrągłym. Zioną one ogniem straszniejszym od tego, co spada z niebios. Naszych wojowników obaliło twarzą na ziemię, choć ogień nie był skierowany na ich ciała. A w piersiach tych ludzi nie biją małe serca. Białe istoty noszą też z sobą ostrza połyskujące niczym woda w strumieniu. Jednym ruchem ścinają grube na ludzką dłoń rośliny. Tak samo łatwo mogą odciąć głowę od karku... Oto co mówią ci, którzy wyruszyli do ujścia rzeki. Nie ma powodów, by im nie wierzyć. Nietrudno zresztą sprawdzić ich słowa.

Umilkł.

Palce czarownika gładziły naszyjnik.

- Za lasem leżą góry, których wierzchołki pokryte są bielą odbijającą promienie - zaczął cichym głosem.

Ku-ceiba-paity roześmiał się chropowato.

- Każdy widzi te góry i ich wierzchołki w pogodny dzień.

- Każdy - potwierdził spokojnie czarownik - ale mało i jeszcze mniej przeszło na tamtą stronę.

- Nikt tego nie zdołał uczynić - szepnął Ku-ceiba-paity. Widać było, że jest stropiony.

- A jednak byli tacy - rzekł czarownik.

- Tacy, którzy przeszli przez góry i wrócili? - zapytał niedowierzająco Kibian.

- Przeszli i wrócili. Za tymi górami pokrytymi bielą, co parzy w podeszwy, choć jest zimniejsza od wód skalnego strumienia, leżą jeszcze inne. Za nimi zaś mieszkają ludzie w twardych skorupach na piersiach i na głowie. I oni mają gładkie ostrza, które jednym ciosem odrąbują głowy od ramion. Ci, co widzieli, opowiadają o słońcu zamkniętym w chatach

wzniesionych z kamienia. Chatach tak ogromnych, że myśl nie jest w stanie pojąć, jak mogły je zbudować ludzkie ręce. Długo trwało milczenie.

- Po stronie przeciwnej również wznoszą się góry - ciągnął dalej czarownik - a za nimi jeszcze inne. I tam mieszka potężny lud w wielkich, kamiennych chatach. Widzieli to ludzie, którzy mówili prawdę.

- Za jedną górą i za drugą - szepnął Patian - być może tam, gdzie niebiosa stykają się z ziemią?

- Ci ludzie nie mieszkają w niebiosach - zaprzeczył czarownik - mieszkają na skałach i wśród skał. A także na nizinach, które leżą poza nimi.

- Czy są to ludzie śmiertelni? - spytał Ku-ceiba-paity.

- Z ciał ich spływała krew i umierali tak jak wszyscy. Kibian wpatrywał się w czerwone zarzewie na świętej czarze.

- Gdzie jest człowiek, który przeszedł przez dwie góry i powrócił?

- Dawno już odszedł tam, gdzie świeci wieczne słońce.

- Czy opowiadał również o rzeczach okrągłych, na których toczą się ciężary?

- Opowiadał o rzeczach jeszcze dziwniejszych: o łodziach, które chodziły na wielu npiągach po ziemi, jak zwierzęta, choć zwierzętami nie były i wykonały je ludzkie ręce.

- Czy tamci ludzie w twardych skorupach mieli czarodziejski ogień? - indagował Kibian.

- Ten, który powrócił, nie opowiadał o czarodziejskim ogniu.

- Czy skóra na ich ciałach jest biała?

- Nie jest biała.

- A więc to nie oni przyплыnęli do nas na Wielkich Skrzydlatych Kanoe.

Zebrani kiwali potakująco głowami.

Kibian skrzyżował ramiona na piersiach, pociągając cierpki dym z glinianego cybuszka. „Na ostrze można odpowiedzieć ostrzem - myślał. - Cóż z tego, że nasze są mniej lśniące i nie tak sprawnie przecinają ciała, jak ostrza białych istot? Ludów Veragui jest tyle, ile ziarenek piasku nad brzegiem Wielkiej Słonej Wody. Ale czym odpowiedzieć, na czarodziejski ogień, niszczący wszystko, co napotyka po drodze?”- Byłoby źle, gdyby przywieziony przez białe istoty ogień spopielił ludzi naszego plemienia - ubrał swą myśl w słowa.

- Źle - powtórzyli wszyscy.

Wyblakłe oczy Kiu-Lechuzy zajaśniały w półmroku. Sięgnął po omacku po gliniane naczynie, napełnione napojem, który daje jasność - myślom. Kilka takich naczyń stało na

twardo ubitym klepisku Chaty Narad. Przytknąwszy długi, wąski dziobek do starczych warg, pił chciwie.

- Pragną kamienia, który świeci nie grzejąc - mruknął Ku-ceiba-paity - jeżeli im nie damy, spalą nas swoim ogniem.

- Więc dajmy białym istotom świecący kamień - głos Kiu-Lechuzy drżał. Nikt nie wiedział, czy powodem tego była jego starość, czy też trwoga kurcząca serce. - Świecący kamień cieszy oczy i mięknie w ogniu. Ale nie można nim napęcznieć brzuchów, gdy wołają o pożywienie. Zbyt jest miękki, by wykuć rzecz, która kraje. Istoty o białych twarzach pragną tego kamienia. Niech go otrzymają i pozostawią nas w spokoju.

Umilkł zmęczony. Myśli starca raz po raz tonęły w miękkiej mgie nadchodzącego snu. Sięgnął po fajkę. Wygasła. Ssał wystygły cybuszek. Ciężkie powieki same opadały mu na oczy.

- Niech wezmą, niech odejdą, niech pozostawią nas w spokoju - rozpoczął Kibian. - Kiu-Lechuza nie potrafi patrzeć dalej niż zmierzch jednego dnia i świt następnego, bo każdy dzień i każda noc może być dla niego ostatnia. Ale my chcemy przeżyć jeszcze wiele nocy i wiele dni. Należy rozważyć wszystko. Białe istoty pragną mieć dużo kamienia, który świeci nie grzejąc. Jeśli damy im dużo, zażądają jeszcze więcej. I jeszcze. Gdy ktoś czegoś bardzo pożąda, trudno go zaspokoić. Pokazać białym istotom skały, które rodzą świecące kamienie? Cóż łatwiejszego? Ale wtedy nie odejdą stąd już nigdy. Do końca wszystkich dni ludziom Veragui będzie zagrażał czarodziejski ogień. Dopóki słońce nie zgaśnie na niebiosach, dopóki nie zniknie srebrna tarcza księżyca, trzeba będzie spełniać wszystkie żądania obcych przybyszów. Kto wie, czego zażądają. Być może żon, być może dzieci, być może krwi z żył...

Baonacri wypluł na wół zżute liście.

- Mężne serce nie ulęknie się najgroźniejszych czarów - rzekł.

- Serce - westchnął Kibian - ale ramiona?

I wtedy w jego głowie zaświtała zbawcza myśl.

- Istoty o białej skórze szukają miejsca, w którym skała rodzi świecący kamień - mówił powoli. - Jeżeli znajdą je na naszych ziemiach, pozostaną tu długo i jeszcze dłużej. Jeśli jednak znajdą to miejsce na ziemiach Auriry?

Twarze zebranych rozjaśniły się.

- Twoje słowa zrodziła mądra myśl - oznajmił Baonacri.

- Oby się stało, jak powiedział ten, który nosi włócznie wodza wodzów - zawołał w podnieceniu Ku-ceiba-paity.

- Oby - zawtórowano ze wszystkich stron.

Nawet Kiu-Lechuza wyprostował głowę. - Niech spalą ludzi Auriry czarodziejskim ogniem - wymamrotał bezzębnymi ustami.

Smutek i przerażenie opuściły Chatę Narad. Dym to-ba-co smakował lepiej, płonący aloes wydzieliał bardziej orzeźwiający woń, brunatny napój mocniej rozjaśniał myśli.

Włócznia wojny pomiędzy Veragua a Aurirą została wykopana już dawno. Jeżeli wraz z istotami, które przybyły na Wielkich Skrzydlatych Kanoë, nadeszło również zło, to cóż sprawiedliwszego, niż żeby poraziło ono ludzi plemion Auriry?

NA NIEZNANYM BRZEGU

Ustały grzmoty, wiatr ucichł, tylko deszcz padał dalej bez przerwy. Brzuchate chmury przewalały się tuż nad masztami okrętów.

Poziom wody powinien się podnieść. Kolumb nie zapominał ani przez chwilę o piaszczystej zastawie, tamującej wyjście na morze. Wysłał pilota. Ten po powrocie zameldował: „Wody jeszcze mniej. Niespełna siedem piędzi”.

- Siedem? - wykrzyknął Kolumb z pasją. - Niepodobna. Gdzież się podziewają te masy dżdżu spadające z chmur?

Na siedmiu piędziach nie można przeprowadzić żadnej karaweli. Choćby nawet pozbawiono ją całego obciążenia.

De Kadis postanowił osobiście sprawdzić meldunek pilota. Długo krążył łodzią nad mielizną, zarzucając ołowiankę w błotnisty nurt rzeki. Skrupulatnie wymierzał mokry sznur.

Kolumb nie mógł się doczekać jego powrotu. Przypadł ku niemu, ledwie zdążył postawić nogę na pokładzie. - I co? - rozpierała go niecierpliwość. - Jak z przejściem?

Mroczna twarz głównego pilota armady zapowiadała złą nowinę.

- Wody ubywa z godziny na godzinę - powiedział. - Teraz w najgłębszym miejscu nie ma nawet sześciu piędzi. Niedługo i łodzią się nie przepłynie.

- Deszcz przecie pada!

- To prawda - potwierdził głucho - ale wody w korycie coraz mniej. Dziwny kraj, dziwna rzeka, wszystko tu dziwne i trudne do pojęcia.

Kolumb poruszał bezdźwięcznie wargami.

- Wszędzie, zawsze to samo! - szepnął wreszcie, wzdychając z rezygnacją. - Nie pozostaje nam nim innego, jak czekać na przybór. Tylko kiedy on nastąpi?

- Kiedy? - sarknął gniewnie de Kadis. Ciężko żeglarzowi pogodzić się ze świadomością, że został odcięty od morza. - Może za dzień, może za miesiąc, może za godzinę. A jeśli przyjdzie czekać całe lata?

- Wpłynęliśmy przecież! - uśmiechnął się blado Kolumb.

- Tak - mruknął głucho pilot - wylądowaliśmy. Tylko w tym sęk, czy zdołamy wypłynąć z powrotem.

*

Kapitan Tristan przeliczył pozostałe gąsiorki.

- Skąpo. Ale jeżeli to Kataj, prędzej czy później dotrzemy do targowisk, gdzie można będzie uzupełnić zapasy.

- Jeżeli Kataj! - notariusz królewski Diego de Porrás wzruszył ramionami.

- A cóż by innego? - Tristan spojrzął na niego spod oka.

- Powiadaliście, że to kontynent.

- Powiadałem - potwierdził notariusz. - Ale w Azji też nie brak pustynnych ziem i dzikich ludów. Mało mieliśmy tego dowodów? Choćby Carrambara. Łacniej tam o grot strzały w piersiach niż o łyk wina.

- A Hispaniola? - zabrał głos milczący dotychczas kapitan Francesco de Porrás. - Admirał także powiadał: „Kataj”. Potem: „Sipango”. I omylił się. Sam czart chyba tylko wie, dokąd zabrnęliśmy.

*

Załoga zaczęła zjeżdżać na ląd. Kristobal wkręcił się do pierwszej partii, choć skóra mu cierpiała na karku. Niektórzy szeptali: „Tam na brzegu grudek szczerzego kruszcu niczym piasku!” Przesadzali. Jeżeli jednak była w tym choć odrobina prawdy, ci, którzy pójdą pierwsi, będą mieli okazję do napychania mieszkwów.. Dlaczego miałby poniechać tej okazji? Mercano na wszelki wypadek przywarował w najciemniejszym kącie kasztelu. Gdy tylko otwierały się drzwi, wybuchał głośnymi jękami. Nie był tak łatwowierny, jak Kristobal. Nie lubił też nadstawiać łba pa próżnicy.

Quintarro stanął przed Mendezem. - Zezwólcie na ląd. Mendez powitał go przyjaznym uśmiechem. -Pilno rozprostować kości, amigo?

- To także. Ale, widzicie, pragnąłbym osiąść na stałe gdzieś na Antypodach. Chcę się więc rozejrzeć.

Mendez zmrużył oczy. Osiąść tu na stałe? Widać bieda tego mu dopiekła w ojczystych stronach. Poklepał go po ramieniu.

- Jedź i rozejrzyj się.

Dla Rollejo też się znalazło miejsce w łodzi. Wkrótce pierwsza partia wylądowała na brzegu.

„Ziemia musi tu być nad podziw żyzna. Na lichej nie pieniałaby się tak bujnie roślinność” - pomyślał Quintarro.

Gdy stawiali pierwsze kroki, pełni jeszcze byli lęku. Obcy ład, wszystko obce. Co tu zastaną? Szli w pełnej gotowości bojowej.

Kurki arkebuzów odciągnięte, świeży proch na panewkach. Berdysze gotowe do cięcia. Szpady świeciły stałą obnażonych kling. Ale nie działo się nic złego.

Owoce obciążały gałęzie drzew. Sięgali z wahaniem. Jeśli jadowite?

Nie widywali dotychczas takich. Trwoga ich ogarniała, gdy cierpki sok spływał po wargach. Obawy - jednak okazały się płonne. Ani bóleści, ani kurczów, ani nic, co by wskazywało na zatrucie. Tym skwapliwiej miażdżyli zębami soczysty miąższ. Po cuchnącej stęchlizną strawie nieznanne owoce wydawały im się iście rajskim pożywieniem.

Uszli jeszcze kawałek. Napotkali cudaczne drzewo o liściach długich, szerokich, wygiętych środkiem. Na pniu czerniały podłużne pręgi.

Quintarro podszedł, przyjrzał się. Ciekawiło go, co ta ziemia rodzi.

- To wcale nie pień - krzyknął zdumiony. Wybuchnęli śmiechem. - Jakże nie?

- Sami obaczcie. Liście, jeno że mocno zwarte. Rollejo podrapał się za uchem.

- Niby kapusta, a duże jak drzewo.

Ale to nie było wcale podobne do kapusty. I owoce... Długie na pół piędzi, czworograniaste, jakby zeszyte na kantach, wygięte na kształt sierpa. Obrastały gałąź trzema ciasnymi wieńcami. Te, które rosły od spodu, były jeszcze zielonkawe, wierzchnie żółte, a więc chyba dojrzałe.

Quintarro oderwał jeden i wsadził do ust. Rollejo poszedł w jego ślady. Wypluł jednak.

- Dla psa takie żarcie. Smakuje jak garbowany rzemień. Ale Quintarro doszedł już, w czym rzecz. Twarde i mdłe było jeno skorupą. Nadłamał, zdarł skórę, zeszła lekko. Zatopił zęby w białym miąższu, żując przez chwilę w milczeniu. Nieznany smak od razu przypadł mu do gustu.

- Pyszności - bąknął zapchanymi ustami.

- Nie wierz skórze, nim spróbujesz, co w niej - Rollejo śmiechem pokrywał konfuzję.

Teraz już wszyscy obstąpili drzewo, które nie było drzewem, zajadając się jego owocami bez żadnego umiaru. Wkrótce z ogołoconej do cna gałęzi pozostał tylko nagi kikut.

- Życ nie umierać - Rollejo masował spęczniały brzuch.

- Błogosławiona ziemia, która takie plody rodzi - słowa Quintarra zabrzmiały niemal uroczyście.

Wędrowali dalej, przystając co chwila. Niemal każda z roślin budziła zdumienie, była niepodobna do tych, które spotykali w Kastylii.

Znowu dziwaczne drzewo. To wprawdzie miało zwyczajny pień - Quintarro dla pewności ostukał go ze wszystkich stron - za to liście i owoce wyrastały nie, jak przystało, z gałęzi, ale wprost z pnia." Płód był owalny, czerwonej barwy. Na drzewkach, zacienionych przez inne, wyrastały małe, ni to brązowe, ni to czerwone kwiaty - również z pnia.

Rollejo, chcąc się zrehabilitować w oczach kamratów, ściągnął z owocu skórę i wsadził cały do ust. Żuł i żuł, lecz nie mógł przełknąć. Bał się wypluć, by znów go nie wyśmiano, więc ruszał pracowicie szczękami, aż z czoła zaczęły mu spływać krople potu.

Quintarro przyglądał mu się z rozbawieniem. - Smakuje? - zapytał wreszcie.

Rollejo wypluł z takim impetem, że aż się zakrztusił. - Diabła tam! - wciąż jeszcze odpluwał. - Nikt mi nie wmówi, że to żarcie dla uczciwych chrześcijan. Tfu!

- Cóż - Quintarro roześmiał się cicho - w Hiszpanii też nie wszystko, co rośnie, można jeść.

Już szli dalej.

Rollejo maszerował, nie przestając pracować zuchwami. Miąższ zdołał już wypluć, ale w tym miąższu tkwiło całe mnóstwo drobnych pestek. Przypadkowo rozgryzł jedną.

- Stójcie - zatrzymał się nagle. Zaniepokoił się.

- Strułeś się tym czerwonym?

- Nie. Tylko że pestki...

- No?

- Taka, wiecie, w środku goryczka, że całkiem przyjemny ma smak. I tłuszczu ile! Kto wie, może dałoby się z takich ziaren wytłaczać oliwę.

Zawrócili. Pierwszy rozgryzł pestkę Quintarro.

- Zaiste.

Rollejo popatrzył na niego z triumfem.

- Jeden obłupuje skorupę, inny znajdzie treść w pestce - rzekł z dumą.

Nałuskali pełne garście, napełnili kieszenie. I znów szli dalej. Rozglądali się z ciekawością, strach słabł z każdym krokiem. W tym, co spotkali na wstępie, nie było nic przerażającego. Żadnych dzikich bestii, żadnych krwiożerczych dzikusów. Zieleń, spokój.

Nagle gruchnął strzał. Zamarli w miejscu, chwytając za broń. Kristobal przypadł ku ziemi, wrzeszcząc przeraźliwie: - Święci Pańscy, reta!

De Garcia opuścił dymiący muszkiet. Na jego rozpromienionej twarzy nie było ani śladu trwogi.

- Tam - wskazał zarośla u podstawy pobliskiego drzewa - niech mnie czart porwie, jeśli to nie była dzika świnia.

Nie mylił się. W krzakach leżała dzika świnia. Niewielka, za to dobrze obrośla słoniną. Trochę inna niż w Europie. Nogi cienkie, wysokie. Buchnęły głośnie wiwaty. Nie zabraknie pieczystego!

- Widać sporo tu zwierzyny, skoro podchodzi pod sam kraj lasu - zauważył Rollejo.

- Chyba tak - potaknął Quintarro. - Żyzny grunt, zwierzyna i ptactwo - dodał po chwili. - Czegóż można żądać więcej od losu?

Zadarli głowy. Ptaki. Przelatywały nisko, ze skrzekiem i ćwierkaniem. Nie nazbyt lękliwie. Duże, mniejsze i całkiem malutkie, niczym motyle. A barwne, aż się w oczach mieniło.

- Można tu żyć - westchnął Rollejo. - Starczy rozeń z patyka i lada jakie ognisko. Reszta sama w ręce wpadnie.

Potakiwali chętnie. Smakowali już w myślach rumiane, chrupiące w zębach piecyste. Nabierali ducha. Żeby jeszcze znaleźć sposobną do picia wodę.

Znaleźli w odległości niespełna ligi. Strumyk przezroczysty jak kryształ. Woda jak lód, aż dziaśła drętwiąły. Zimna i klarowna.

Nie napotkali już żadnego czworonoga. Pewno spłoszone hukiem skryły się w gęstwinę. Ustrzelili za to kilka dużych ptaków. Wracali w triumfie. Kamraci obiegli ich ciasno.

- Jak tu jest?

- Niezgorzej.

Obmacywano myśliwskie trofea.

- Niech się kuchta obwiesi ze swą sparciałą jagłą - wykrzykiwali. - Żyć nie umierać. Jakieś krwiożercze bestie?

- Nie napotkaliśmy. Może w głębi lasu.

- Da Pan Bóg, że i tam nie.

Potem długo dziwowano się przyniesionym owocom.

- Próbowaliście? Klepali się po brzuchach.

- Jeszcze jak.

- I co?

- Sami widzicie: żyjemy jakoś i żaden sobie nie krzywduje.

*

Mercano wypełził ukradkiem z kasztelu, przywołując Kristobala nieznacznym gestem.

- I co? - sapał z niecierpliwości - jak z kruszczem? Kristobal odpowiedział grubym przekleństwem. Sam był gorzko rozczarowany. Owoce, dziczyzna, nie po to przecież przepłynął morza-oceany...

- Szkoda, żeś nie poszedł z nami. Ty byś na pewno wypatrzył - ciął zjadliwie. Potem się zreflektował. Po kiego licha z nim zadzierać? Był mu potrzebny. Wtedy, po nocnej wyprawie sztuka złota znalazła się przecież i w mieszkaniu Kristobala. Tajemniczy mocodawcy nie byli tak skąpi, jak twierdził.

- Więc cóż - dorzucił całkiem już przyjaznym tonem - prędzej czy później znajdzie się i kruszec. Każdemu wiadomo, że gorąc rodzi złoto i perły. A tu żaru nie brak.

*

Chat przybywało z dnia na dzień. Coraz to któryś zbierał manatki i wychodził na brzeg. Budowa nie wymagała wielkiego trudu ani specjalnych umiejętności. Parę kołków wbitych w ziemię, ściany z plecionej byle jak słomy, szerokie liście palmy na pokrycie dachu - i dom gotowy. Naręcze trawy starczało za wszelkie sprzęty. Liche to było wszystko, czasem woda ciekła na łeb, niekiedy w nocy przez szpary wpęła do wnętrza oślizgły gad, ale i tak czuli się tu o całe niebo lepiej niż w przykłej duchocie kasztelu.

Admirał patrzył przychylnym okiem na rozrastające się osiedle. „Pierwszy chrześcijański gród na tych ziemiach”.

„Słomiany gród słomianego króla” - pokpiwali Porrasowie, bacząc jednak, by słowa te nie dotarły do uszu Kolumba. Grali o zbyt wielką stawkę, by ryzykować wstępne potyczki.

Na brzeg przeniosło się już ponad sto osób. W deszczowy poranek dzwony okrętowe zwoływały ludzi na wydeptany nad brzegiem rzeki majdan. Kolumb wystąpił z całą paradą. Otaczała go gromada nie mniej strojnie odzianych oficerów i hidalgów.

- Jak niegdyś wśród żydowskich krain wzeszło słońce chrześcijaństwa - zaczął uroczystym, drżącym nieco z przejęcia głosem - tak i tu, na tych pogańskich ziemiach, dokąd od początku wieków nie dotarł promień świętej wiary, zapłonie jej ożywcze światło. Niech nam będzie wolno nadać tej pierwszej siedzibie chrześcijaństwa miano kolebki naszego Pana Jezusa Chrystusa. Okażmy się w pokorze ducha godni jego świętości... - Przemawiał jeszcze długo i wzniosie. Na zakończenie pobłogosławił złotym krzyżem słomiane chaty:

- Chrzcę cię imieniem Betleem.

Huknęły okrętowe działa. Salut wypadł zresztą raczej mizernie. Lepiej nie szafować zbyt prochem, nie wiadomo, na jak długo muszą starczyć jego zapasy. Kilku krzyknęło „wiwat”, większość jednak milczała. Uroczysta przemowa nie trafiła słuchaczom do przekonania. Żaden nie wypłynął na nieznane morza w celu krzewienia wiary. Przybyli tu po

fortunę. Stali jeszcze chwilę, przestępując ociężale z nogi na nogę, potem rozeszli się w milczeniu. Strugi deszczu spływały za kołnierze. Przekleństwo z tym deszczem, lał bez przerwy. Niewesoło człowiekowi na duszy, gdy wszystko, co ma na sobie, jest mokre, jakby dopiero co wyjęte z wody. W dzień parno jak w rozprażonej łaźni, nocą przenikliwy chłód ciągnął od ziemi. Dreszcz wstrząsał ciałem, zęby podzwaniały w gorączce. Kolumb nieraz wspominał o rajach na ziemi, ale gdziekolwiek ten raj się znajdował, to w każdym razie nie tu. Raczej przedsionek piekła.

Słabość waliła z nóg jednego po drugim. Leżeli na mokrych barłogach, otulając się w przewilgłe na wskroś dery. - Mór - zaczęto poszeptywać - wytraci nas do ostatniego.

Kolumb wziął się ostro do Bernala. - Nie po to jesteście w armadzie, by trwonić czas na kości i wino. Tyle dbacie o zdrowie załogi, co pies o piątą nogę.

- A cóż ja - felczer rozkładał bezradnie ręce. - Aura paskudna. Miast powietrzem oddycha się wilgocią. Nawet tur by nie wytrzymał, a cóż dopiero mdły człowiek.

W końcu przecież ponaglany przez admirała, zdecydował się zbadać kilku chorych.

- Febris - orzekł lakonicznie. - Gdy deszcze ustaną, słońce samo wyciągnie słabość z kości.

- Ale do tego czasu?

- To już w rękę Boga. - Myślał tylko o tym, żeby jak najprędzej powrócić do zacisza toldilli.

Kolumb jednak nie miał zamiaru rezygnować. Nie pozwoli przecież, by mu połowa załogi wyginęła marnie:

- Musicie ich leczyć.

Śmiech felczera zabrzmiał ochryple.

- Muszę, powiadacie. Ależ czyż na mój rozkaz słońce zapłonie i chmury odpłyną precz? Nie jestem cudotwórcą.

- Macie leki. Zdacie sprawę, jeżeli ci ludzie poumierają bez pomocy. Od tego tu jesteście, byleczyć.

Bernal potarł grzbietem ręki podbródek. Lepiej nie przeciągać struny. Surowy grymas na twarzy Kolumba nie zapowiadał niczego dobrego.

- Prawda, admirale - przyznał potulnie - mam leki. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby przynieść ulgę cierpiącym. Nie wińcie mnie jednak, jeżeli moje starania pójdą na marne. Jestem tylko lekarzem. Moc czynienia cudów nie została mi dana.

- Nikt nie wymaga od was cudów. Ale będę dawał pilne baczenie, byście uczynili dla chorych wszystko, co w waszej mocy. Będę pilnie baczył - powtórzył z naciskiem Kolumb.

Od tej chwili Bernal zaczął warzyć całe kotły dekoktów. Sam zresztą jedynie wiedział, co wchodziło w ich skład. Skwapliwie łykano gorzkawy napój o mocno aromatycznym zapachu. Wprawdzie niewiele przynosił ulgi, ale już sama świadomość, że ktoś dba o zdrowie, podnosiła ludzi na duchu.

Deszcz padał bez przerwy. Ludzie stali się podobni do własnych cieni. Nadzieja gasła z każdym mijającym dniem. Było coraz ciężej.

WYPRAWA PO ZŁOTO

Obcy, tajemniczy kraj. Nie wiadomo, jacy ludzie tu żyją, nie wiadomo, jakie bestie czyhają ukryte w gęstwie. Przy świetle dziennym widać było przynajmniej, że drzewo jest drzewem, a krzak krzakiem. Ale mrok nadawał wszystkiemu dookoła kształty dziwne i groźne. Ciemność przynosiła ze sobą strach, któremu niewielu potrafiło się oprzeć. Co mogli wiedzieć o ziemiach położonych gdzieś na końcu świata? Nikt z chrześcijan nie dotarł tu przed nimi. Nie było świątyń, nie było krzyży, nie było kapłanów. Być może, królestwo samego szatana. Gałęzie zamieniały się w morderczo wyciągnięte macki apokaliptycznych potworów. Szelest liści wydawał się odgłosem kroków atakujących dzikusów lub szmerem pełzania nieznanych potworów.

Kolumb, choć często wspominał o rajach ziemskich, nie rozmyślał o tworach pozaziemskich. Natomiast pragnął się zabezpieczyć przed niespodziewanym atakiem ludzi zamieszkujących te ziemie. Indios, podobni do tych, którzy żyją na wyspach, czy też wojownicy Wielkiego Chana mogli się okazać bardzo niebezpieczni dla nieproszonych przybyszów. Załoga armady stanowiła małą garstkę steranych chorobami, mało wyćwiczonych we władaniu bronią marynarzy. Prawdziwych żołnierzy, świadomych wojennego rzemiosła, można było policzyć na palcach. Oddzieleni od ojczyzny bezmiarem wzburzonych mórz, nie mogli liczyć na żadną pomoc. Byli zdani na własne siły. Każdy nieopatrzny krok mógł pociągnąć za sobą ostateczną zagładę. W ojczyźnie nie dowiedziano by się nigdy, w jaki sposób i na którym lądzie czy morzu znaleźli śmierć... Jako admirał ponosił odpowiedzialność za los armady. Nie wolno mu niczego zaniedbać.

Wydał polecenie, by uzbrojone ronty czuwały nad bezpieczeństwem osady od wczesnego zmięzchu.

Łatwo było rozkazać, znacznie trudniej ten rozkaz wykonać. Osada zajmowała spory szmat gruntu, brakło ludzi, by okrążyć go łańcuchem czat. Dispenseros i oficerowie wychodzili z siebie, żeby to jakoś zorganizować. Nikt by za Boga nie poszedł w ciemność, nie mając po obu stronach uzbrojonych kamratów. Wyganiano więc na nocną służbę każdego bez różnicy. Zdrowy, chory, każdy musiał iść. Aby tylko zdołał ustać na nogach, udźwignąć

ciężar arkebuza. Do pociągnięcia za cyngiel nie trzeba wiele siły. Chyba że ktoś, zwleczonej przemocą z barłogu, walił się nań z powrotem niczym kłoda. Tylko takim dawano spokój. Niektórzy zresztą udawali bezwład, nie chcąc iść w dyszący grozą mrok. Słomiane ściany chaty wydawały się bezpieczniejsze. Ale i ci, którzy w ten sposób zdołali zmylić czujność despatcheros, spali jak płochliwe zajęce, z bronią gotową do użycia pod ręką. Każdy hałas zrywał ich na nogi - starczyła gałąź strącona wiatrem, starczył głos wyruszającego na nocne łowy zwierzęcia. Wszystko tu było nieznane, wszystko tajemnicze i straszne. Godziny nocy były jak dławiący piersi koszmar.

Quintarro nie szukał wykrętów ani wybiegów. Nie trzeba było wywlekać go siłą z chaty, przypominać, że pora iść na ront. Sam przychodził na miejsce zbiórki tak punktualnie, jakby nie wypuszczał z ręki ampollety. Szedł na służbę, gdy wypadała na niego kolej, szedł na nią również i wtedy, gdy widział, że brakło ludzi.

Mendez nie szczędził mu słów uznania:

- Krzepki z was chłop, nad podziw.

Quintarro uśmiechał się tylko półgębkiem. Cóż, był rzeczywiście silny. I co ważniejsze, czuł się zdrowy. Febris jakoś się go nie miała. Czuwał więc za siebie i za innych. Chodziło także i o jego własne gardło.

Tej nocy wypadły mu aż dwie straże: o zmierzchu i ta najgorsza - przed samym świtem. Na okrętach nazywano służbę o tej porze „psią wachtą”. Okręt to było coś jakby własny dom. Na tym obcym lądzie zaś ogarniał strach i zmęczenie, i senność zlepiająca powieki. A każda chwila nieuwagi mogła być łatwo ostatnią w życiu.

Pięćdziesiąt kroków w jedną stronę, pięćdziesiąt w drugą. W zaroślach znowu jakiś szelest. Być może ktoś czy coś pręży się do morderczego skoku. Wytężone oczy zaczęły spływać łzami. W kościach ciężar ołowiu. Narastał dur sennego otumanienia. Dwie straże w ciągu nocy to za wiele nawet jak na jego siły.

Monotonny chlupot spływającego bezustannie deszczu potęgował jeszcze bardziej otumanienie. Quintarro przygryzał wargi. Miał wrażenie, że zaśnie na stojąco. Nie da się przecieżyć! Na Boga, nie! Już niedługo wstanie światło dnia. Już chyba niedługo. Musi wytrwać. Ale wciąż trwała noc, jakby nigdy nie miała dobiec kresu. Powoli dogasały rozpalone na skraju osady ogniska. Widać ci, którym przypadło podsycanie ognia, ulegli znużeniu. Mrok gęstniał.

Prochy na panewce arkebuza wilgły ustawicznie. Quintarro raz po raz je zmieniał, osłaniając naoliwioną kapuzą. Nie bardzo wierzył, by to mogło pomóc. W tej przeklętej

wilgoci nie ma sposobu utrzymania broni w gotowości do strzału. A cóż wart arkebuz z mokrą podsypką? Nie więcej niż używana przez dzikusów maczuga.

Wreszcie zaczęło szarzeć. Swit z trudem przedzierał się przez brzuchate chmury, zawisłe jakby tuż ponad wierzchołkami drzew.

Wodnistoołowiana poświata mętnie zarysowywała kontury otaczających przedmiotów. Jedna po drugiej gasły zawieszane na masztach latarnie. Z okrętów dobiegł metaliczny głos wybijanych przez dispenserów półgodzin. Quintarro usiłował się zorientować jaką godzinę wydzwanianą. Dał jednak za wygraną. Pod czaszką czuł jakby sypki piasek. Nie zaśnie przecież, nie wolno zasnąć.

Stał przez chwilę na chwiejnych nogach, borykając się z niemocą. - Co tam - splunął - jakoś przetrwam. Podjął znowu wędrówkę. Pięćdziesiąt kroków w jedną stronę, pięćdziesiąt w drugą. Kiedy wreszcie przyjdzie zmiana? Jakoś im nie spieszo. Nigdy nie było spieszo. Cóż, wszyscy już gonią ostatkami sił.

Nagle drgnął. Senność odleciała w mgnieniu oka. W pobliskich zaroślach coś się poruszyło. I tym razem nie był to na pewno wiatr. Quintarro gwałtownym ruchem wycelował lufę arkebuz w kierunku podejrzanych odgłosów. Szczęknął pospiesznie odwodzony kurek. Licho wie, czy iskra zapali ładunek, ale na to nie było już rady.

- Kto? - zawołał ochryple.

Ktoś rozchyłał gałęzie ostrożnie i bez pośpiechu.

- Kto!? - powtórzył nagląco Quintarro. Ręce zaciskały kurczowo arkebuz. Co się wyłoni z gęstwy? I jeżeli broń w decydującym momencie zawiedzie?

Ciemna twarz, wymalowana w jaskrawe ornamenty. Goły tors, pokryty zygzakami farby. Pióropusz nad brunatnym czołem. W rękach ozdobiona pękiem piór włócznia. Indios!

Quintarro nie spuszczał oczu z zarośli. Ilu ich jeszcze stamtąd wyjdzie? Wyłonił się jeden, potem dwóch razem, więcej nie pokazał się nikt. Ale skąd pewność, że gdzieś w pobliżu nie zalegają całe zastępy gotowych do ataku wojowników?

Przybysze nie zdradzali wrogich zamiarów. Ten, który wyszedł pierwszy, stał teraz przed samym wylotem lufy arkebuz, przyglądając się broni z zaciekawieniem, ale bez strachu. Chyba po raz pierwszy w życiu widział broń palną. Zaczął coś wywodzić przy wtórze ożywionej gestykulacji. Quintarro wzruszył ramionami. Diabeł by pojął, o co mu chodzi.

- Hola! - podniósł nieco głos - bywajcie!

Przybiegł Rollejo, który trzymał straż na sąsiednim odcinku. Ujrawszy gości, wrzasnął na całe gardło:

- Indiosi!

Zaczęto się zbiegać ze wszystkich stron. Ludzie z chat podpierali się ciężko kolbami. Żdźbła słomy przylegały gęsto do odzieży i włosów. Quintarro ogarnął ich zatroskanym spojrzeniem. W niczym nie przypominali żołnierzy, raczej strachy na wróble. Żalodne niedobitki. Gdyby przyszło do starcia wręcz, większość z nich nie wykazałaby żadnej sprawności bojowej.

Jeszcze kilku Indiosów wyszło spomiędzy zarośli. Teraz była ich już cała gromadka.

Nadszedł zawiadomiony przez kogoś admirał. Twarz jego nie wyrażała żadnych uczuć, ale myśli były ponure i ciężkie. To nie byli ludzie Wielkiego Chana, to nie byli wysłannicy miast o dachach krytych szczerym złotem.

Znacznie później nadszła szlachta i starszyzna. Ziewali wszyscy. Chyba po raz pierwszy zbudzono ich o tak wczesnej porze.

- Dzikusy - sarknął kapitan Francesco de Porras, bynajmniej nie zniżając głosu - znowu tylko nędzne dzikusy. Jak na wyspach, jak zawsze, jak wszędzie tu, na tych ziemiach.

Mimo ostrzegawczych spojrzeń notariusza kapitan w dalszym ciągu sypał zjadliwymi uwagami. Notariusz zesnurował wargi. Brat był znowu podchmielony, pewnie łyknął sobie tego przed zejściem na ląd. Niedobrze, gdy uczestnik tego rodzaju rozgrywki zagłębia zbyt głęboko do kubka. Trzeba będzie przemówić mu do rozumu. Po pijanemu człowiek nie panuje nad językiem, w tej zaś sytuacji każde nieopatrznie wypowiedziane słówko mogło spowodować katastrofę.

Kolumb podszedł bliżej ku Indiosom. Zdołał się już otrząsnąć z pierwszego wrażenia. Może dopiero w głębi tych ziem żyją ludy cywilizowane i bogate? Cóż z tego, że ci są niemal nadzy. Hołoty nigdzie nie brak. Zdarzało się, że i kastylski chłop chodził w łachmanach, a za całą broń miał palicę.

Posługując się kilkoma zapamiętanymi słowami indiańskiej mowy, próbował zagadnąć przybyszów. Nic z tego jednak nie wyszło.

Sprowadzono Indiosów zabranych swego czasu z Hispanioli. Przeszli stosowną naukę w Kastylii, mieli służyć za tłumaczy. Teraz jednak częściej używali rąk niż języka. Widać było, że tutejsza mowa daleko odbiega od ich rodzimej.

Otworzono skrzynię z darami. Dziecinne grzechotki, naszyjniki ze szklanych paciorków, liche i nędzne, tyle tylko, że barwione na różne kolory, lada jakie noże i toporki. Biskup Fonseca umiał dbać o interesy koronnego skarbcza.

Mercano wyśliznął się chyłkiem z kasztelu. Nie starał się nawet utykać na nogę. Kto by tam zwracał na niego uwagę w całej tej ciżbie. Wypatrzył Indiosa, na którego piersiach

połyskiwał złoty naszyjnik. Ukryty za drzewem, potrząsnął zachęcająco pękiem grzechotek i lśnącymi paciorkami ze szkła. Tylko jemu było wiadomo, w jaki sposób to wszystko zdobył.

Oczy Indiosa zajarzyły się pożądliwie. Dał się wywabić w gęstwę. Mercano przytknął grzechotkę do brunatnego ucha. Zasluchany Indios wpadł jakby w narkotyczny sen. Szedł za Mercano coraz dalej, w głąb zarośli.

Mercano nie miał szpady, tylko ostry sztylet. Umiał nim władać. Indios osunął się na miękką trawę bez jęku. Ciężki naszyjnik znalazł się w woreczku zawieszonym na piersi bandyty.

Mercano ukrył ciało w splątanej gęstwie zarośli. Wracał ostrożnie jak kluczący lis. Ominął szerokim łukiem stojących na brzegu, dopłynął do okrętu oblepiony mulistym błotem. Wyczekawszy, aż dispensero odwróci się plecami, przemknął bezszelestnie do kasztelu. Legł na swoim worku, przykrywając się aż po brodę łachmanami i dotknął mieszka ugniatającego pierś. Bogactwo! Cóż dopiero, gdy zdobędzie wreszcie karty, których żądał nieznajomy...

*

- Złoto - ponaglał notariusz tłumaczy - zapytajcie, czy mają tutaj złoto.

Wydobył bryłkę kruszcu, podsunął ją pod nos Indianom. Zagdakali coś w podnieceniu. Tłumacze oznajmili:

- Mówią, że na tych ziemiach jest dużo złota.

Kolumb patrzył niewidzącymi oczyma przed siebie. Złoto... Zgodnie z instrukcją każda uncja miała być zapisana w księgach notariusza. Admirał był dowódcą armady i jednocześnie nim nie był. Już treść jawnej instrukcji królewskiej zawierała całą masę ograniczeń. O czym zaś mówiła tajna, którą najprawdopodobniej otrzymał notariusz i która jest motorem wszystkich jego poczynań?

Rozmowa z przybyszami trwała nadal. Obdarzeni błyskotkami, ośmielili się, mówili dużo i chętnie. Nikt nie zauważył zniknięcia Indianina, który nosił naszyjnik ze złota.

- Te ziemie należą do plemienia, na którego czele stoi wielki wódz Kibian - mówili tłumacze.

- Gdzie mają złoto? - niecierpliwił się notariusz.

- Tam - ale niemal każde z brunatnych ramion wskazywało inną stronę świata.

Notariusz zmarszczył brwi.

- Chcą nas wprowadzić w błąd. Kapitan de Porras zaklął sążnięcie.

- Niech połknę własną szpadę, jeśli w końcu nie wyplują całej prawdy.

- Tylko bez gwałtów - ręka notariusza legła na jego ramieniu - to mogłoby ich spłoszyć przedwcześnie. - Zwrócił się do tłumaczy: - Jak liczne jest plemię Kibiana?

Jazgotali długą chwilę, machając rękoma jak wiatraki.

- Dużo plemion - odpowiedzieli w końcu - a w każdym ludzi ile gwiazd na niebie i kropel w morzu.

Kapitan Francesco de Porras parsknął szydlwym śmiechem.

- Łżą! - burknął. Ale przecież ochłonał, odjął rękę od szpady i więcej już jej nie tykał.

- Warto by było spenetrować te ziemie - zauważył notariusz.

- Warto - ożywił się Kolumb. Zamarzył mu się pochód odkrywczy w głąb tajemniczego lądu. Indiosi, ci tutaj, mieli ciemną skórę. Ale tylko to jedno zgadzało się z opisami mieszkańców Indii. Ani bogatych szat, ani kunsztownej broni, ani złożonych lektyk. „Dzikusy” zawołał przed chwilą kapitan Francesco. Dzikusy - temu nie można było zaprzeczyć. Żadnej odzieży poza diademem z piór, broń prymitywna, pokryte malunkami ciała.

Ale w każdym kraju można znaleźć odległe zakątki, w których ludność żyje w sposób pierwotny. Choćby nawet w Kastylii. Wygląd tych ludzi o niczym jeszcze nie świadczył. Może w głębi tego kraju wznoszą się ludne miasta o wspaniałych budowlach?

Iść! Nawiązać przyjazne stosunki z mieszkańcami lub - jeśli nadarzy się sposobność - objąć te ziemie we władanie.

Iść...

A jednak... Czyż mógł opuścić armadę, pozostawić załogę na łasce losu, dać de Porrasom i ich zausznikom okazję do swobodniejszych poczynań! Wtedy, być może, nie byłoby już powrotu.

- Niech powiedzą swemu wodzowi, że wkrótce go odwiedzimy - zwrócił się do tłumaczy. - I on, i jego lud zostaną suto obdarowani rzeczami, jakich nigdy jeszcze nie oglądali. - Obserwował ukradkiem notariusza. - Wyprawę poprowadzi mój brat - dorzucił od niechcenia.

Omali nie roześmiał się, widząc nagłą zmianę wyrazu twarzy notara. Niczym lis, któremu tuż sprzed nosa umyka tłusta gąska.

- Trzeba, aby poznali naszą moc - powiedział, zniżając nie wiadomo po co głos, notariusz.

- Słusznie.

Kolumb zarządził pokazową palbę z arkebuzów. Twarze Indiosów spopielaly, włócznie w ich rękach dygotały jak liście targane wichurą, zaden przecież nie rzucił się do ucieczki.

Gruchnęły okrętowe działa. Teraz padli twarzą na ziemię. Powstali jednak, gdy rozwiął się dym, i trwali nieruchomo, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami.

Notariusz nie był zadowolony. Indiosi okazywali zbyt małą trwogę. Jeżeli rzeczywiście są tak Uczni, w razie jakiejś zbrojnej rozprawy armada nie miałaby łatwego zadania, pomimo dział i muszkietów.

- Obdarzmy ich - mruknął spieszenie. Przyniesiono nowe grzechotki i paciorki.

- Niech powiedzą Kibianowi, aby przysłał ludzi, którzy nas zaprowadzą do krainy złota.

Twarze tłumaczy spłynęły potem, zanim rozmowa dobiegła końca.

- Zrozumieli?

- Tak.

Indiosci odeszli. Czy powrócą? A jeśli nadejdą wraz z nimi chmary wojowników, by wypędzić obcych przybyszów?

Wzmociono czujność. Puszkarze trwali przy działach. Spiżowe gardziele zwrócone były w kierunku lądu. Piramidki zapasowych kul leżały w pobliżu lawet. Otwarte beczki z prochami tkwiły tuż za progiem toldy.

Działa jednak milczały. Minął dzień i noc. Indiosci nie nadchodzili. Don Bartholomeo formował oddział. Miało iść siedem dziesiątków zbrojnych pod bezpośrednim dowództwem Mendeza. To było samo przez się zrozumiałe. Don Bartholomeo nie znał się zbyt na rycerskim rzemiośle. Umiejętność rytowania kart niewiele pomaga, gdy przyjdzie prowadzić ludzi w bój.

Oddział został skompletowany, nie mógł jednak wyruszyć. Indiańscy przewodnicy nie zgłaszali się. Jeżeli nie przyjdą nigdy? Kolumb niecierpliwił się coraz bardziej. Utknęli oto na samym brzegu i nie ruszają się z miejsca. Wysłanie oddziału, aby spenetrował kraj na własną rękę, było ryzykowne. Ale właściwie nie pozostawało nic innego.

W momencie, gdy admirał już był niemal zdecydowany dać bratu rozkaz wymarszu, przyszli Indiosci. Ci sami? Inni? Mendez przyglądał się im badawczo.

- Oto wojownicy Kibiana, którzy wiedzą, gdzie rodzi się złoto - przetłumaczyli z trudem słowa Indian ludzkie z Kispianioli.

- Malunki na ich ciałach są odmienne - zauważył Mendez - czy to nie barwy wojny?

- Oni powiadają, że nie - wyjaśnili tłumacze - my zaś nie wiemy. Obyczaje naszych plemion są inne.

Mendez wskazywał na jednego z przybyszów. Wyróżniał się strojem, postawą, barwą farb i ich wzorem. Nawet tkwiąca w jego ręku włócznia była inna.

- Kto zacz?

- Wódz.

- Kibian? - zainteresował się adelantado. Nawet Kolumb podszedł z pośpiechem.

- Nie. Kibian to wódz wodzów. A to jeden z pomniejszych. Don Bartholomeo pogładził w zamyśleniu rękojeść szpady.

- Ludy liczne jak gwiazdy na niebiosach - mruknął przez zęby, - Cóż... Nie traćmy czasu po próżnicy. Opatrzyc broń i wyruszamy!

- Gotowe, wasza miłość - zameldował Mendez.

- Niech was Święta Trójca ma w swojej opiece - powiedział wzruszonym głosem Kolumb.

Don Bartholomeo uchylił kapelusza.

- Zapewne nader będziemy tej opieki potrzebować.

Deszcz lał bez przerwy. Zachlupotało pod ciężkimi podeszwami. Ten i ów obejrzał się ukradkiem na okręty. Może widzi je po raz ostatni? Któż jest w stanie przewidzieć, co ich czeka w tym nieznanym kraju.

Szli przez las, potem po otwartej przestrzeni. Don Bartholomeo starał się utrwalić w pamięci wszystkie szczegóły mijanej okolicy. Bodaj czy nie byłby w stanie nakreślić od ręki karty tych ziem. Tu skała wyłaniająca się niespodziewanie spośród bujnej zieleni, tam kikut drzewa osmalonego piorunem. I przede wszystkim koryto rzeki. Ale po paru godzinach marszu przewodnicy skręcili ostro na zachód. Adelantado nie był tym zachwycony. Rzeka jest najpewniejszym drogowskazem.

- Baczyć tam - ostrzegał zniżonym głosem - licho nie śpi. Pomaćcano proch na panewkach, sprawdzono krzemienie w kurkach. Napotkali resztki spalonych chat. Mendez rozglądał się uważnie. „Wojna przeszła po tych ziemiach - myślał. - Kto tu z kim walczył i o co?”

Polecił tłumaczom zapytać.

- Powiadają, że jedno plemię napadło na drugie. To było dawno. - Mendez roztrzącił końcem buta zgliszczą. Przewodnicy kłamali. Dlaczego? Te chaty spłonęły niedawno, w przeciwnym razie dżungla już by je pochłonęła.

W ogóle zachowanie się przewodników stawało się coraz dziwniejsze. Strzelali na wszystkie strony nieufnymi spojrzzeniami. Zaciskali mocno włócznie w rękach. Wyglądali jak ludzie gotowi w każdej chwili do rozpaczliwej walki albo panicznej ucieczki. Mendez podszedł do adelantado.

- Nie podobają mi się ludzie Kibiana. Don Bartholomeo pokiwał głową:

- Mnie także nie.

- Jeśli wiodą nas prosto w jakąś zasadzkę? - szepnął Mendez. Zasadzka? Adelantado zasepił się. Mogło tak być. Odeszli już daleko od okrętów. Ani głos nie doleci, ani nawet palba muszkietów. W razie czego nikt nie przybiegnie z pomocą. Działa nie wesprą w walce. Siedem dziesiątków ludzi! Do tego więcej niż połowa zżarta przez febris. Ledwo broń mogą utrzymać w garści. Gdyby przyszło do starcia z przeważającą liczbą dzikusów...

Szli jednak dalej, nie zwalniając kroku. Tam, gdzie chodziło o złoża samorodnego złota, nie mogło być mowy o odwrocie.

Przy prymitywnej budowli, wzniesionej z nie ociosanych kamieni i otwartej od wschodu, przewodnicy zatrzymali się z oznakami nabożnej czci.

- Grobowiec wielkiego wodza - oznajmili tłumacze.

Z wnętrza bił mdły odór. Ciało, pokryte ornamentem jaskrawych barw, było nad podziw dobrze zakonserwowane. Czyżby Indianie znali tajemnicę balsamowania? Bardziej jednak zainteresowały Hiszpanów pasma naszyjników i dziwaczna maska, zakrywająca twarz zmarłego. Złote kulki, bogata inkrustacja. Rzecz jasna, nie dotknięto kruszcu. Mogłoby to zbyt drogo kosztować. W tej chwili zatarg z Indianami byłby istnym szaleństwem. Poszli więc dalej.

Droga wiodła teraz wśród skał. Czujny wzrok Mendeza myszkował pomiędzy głazami. Zbliżało się południe. Wreszcie przewodnicy zatrzymali się.

- Tu - gest brunatnych dłoni nietrudno było pojąć nawet bez pomocy tłumaczy.

Mendez rozstawił dookoła strażę. Poszły w ruch oskardy i motyki. Ale, pożał się Boże, jaka to była robotą. Żaden z ludzi Mendeza nie znał górniczego rzemiosła. Mało który widział na oczy złoto. A jednak nie pracowali na darmo. Znajdowali dużo lśniącej miki, ale tu i ówdzie także prawdziwy kruszec. Wyznaczeni przez notariusza kontrolerzy pilnie baczyli, by złoto trafiało do ich mieszka. Odbierano każdą, najmniejszą nawet grudkę.

Po upływie niespełna czterech godzin miszek wypełnił się pękato.

- Czas wracać - powiedział Mendez. - I tak, nim dotrzemy do obozu, zapadnie zmierzch.

Adelantado jeszcze zwlekał. Złóże było bogate. Teraz niemal po każdym uderzeniu żelaznego ostrza lśnił kruszec.

Dał przecież rozkaz powrotu. Wyprawa miała na celu raczej zdobycie dowodów, że ta ziemia rodzi złoto, niż przyniesienie na okręty wielkich jego ilości. I tak wszystko bez reszty spocznie w srogo okutych sepetach kapitana Francesco de Porras. Każda uncja zostanie opisana przez notariusza. Kiedyś, w bliżej nieokreślonej przyszłości, Kolumb miał otrzymać

dziesiątą część zgromadzonych przez wyprawę bogactw. Ale zarówno admirał, jak i jego brat znali już wartość królewskich obietnic.

- Niech wiedzą, że tu jest złoto - powiedział Kolumb, gdy rozmawiali o tym poprzedniego dnia. - Niewiele zdołaliśmy zbudować na przywilejach, choć zostały podpisane królewską ręką. Być może łącznie przyjdzie wzniesć zręby naszego losu na opoce kruszcu. Przywieziemy z sobą dowody bogactwa tego kraju - i karty, bez których nikt do niego nie dotrze.

To były mądre słowa. Don Bartholomeo przyznawał bratu rację bez żadnych zastrzeżeń. Słowa królów zawodzą, zawodzą pergaminy opatrzone wielkimi pieczęciami korony. Za to złoto nie zawiedzie nigdy. Po cóż więc oddawać je w cudze ręce?

Indianin, nazwany przez tłumacza wodzem, wspiął się na wyniosły stożek skały. Wyciągnął ramię na północny zachód. Z ust jego runął grad gardłowych dźwięków.

- Co on powiada? - Don Bartholomeo nachylił się wyczekująco ku tłumaczowi.

Ten pocierał podbródek, słuchał, potem kilkakrotnie o coś zagadnął wodza. Widać nie od razu zdołał pojąć treść jego słów.

- Tam - wyciągnął rękę - za dwoma pasmami wysokich gór znajdują się ludne miasta o wspaniałych budynkach. I złoto, całe mnóstwo złota. Nawet na ścianach domów. Nawet na ich dachach.

Don Bartholomeo słuchał z rosnącym podnieceniem. „Domy o złotych dachach? - myślał. - Czyżby jednak, pomimo wszystko, Państwo Wielkiego Chana?”

- Zapytaj, jak się zwie ten kraj - przerwał tłumaczowi.

- Maya.

Polecił powtórzyć pytanie i sam wsłuchiwał się w szczekliwy głos wodza. Tak, to brzmiało właśnie: „Maya”, Maya, Kataj - te nazwy brzmiały podobnie.

- Czy długo trzeba iść, by zobaczyć ten kraj?

- Powiada, że nader długo. Droga jest ciężka i trudna. Ale byli tacy, co doszli i powrócili.

- Maya - notował w pamięci adelantado - lud, który mieszka w miastach.

Podczas drogi powrotnej deszcz lał z niezminiejszą gwałtownością. Ale mimo zmęczenia maszerowali raźniej. Zgarbione plecy prostowały się odruchowo. Wiedzieli, gdzie jest złoto.

Quintarro otulał zamek swego muszkietu kapuzą uszytą z żaglowego płótna.

- Można tu żyć niezgorzej - powiedział.

- Złoto - mruknął idący obok niego Rollejo.

- Ziemia - zaprzeczył - ziemia karmi ludzi, nie kruszec. Złoto odejmą ręce złoczyńcy. Odejmie jaśnie wielmożny. Odejmie każdy, kto ma więcej siły. Nawet wraz z życiem. A ziemia zawsze zostanie. Da chleb, odzienie i wreszcie, gdy przyjdzie czas, ostatnie schronienie dla steranych kości.

- Chyba nie zamierzacie żyć wśród tego pogaństwa? - Rollejo przyjrzał mu się spod oka.

Ale Quintarro potrząsał tylko głową i przez resztę drogi nie odezwał się już ani słowem.

*

- Złoto!

Adelantado rzucił z hałasem na stół skórzany mieszek. Notariusz rozsypał ostrożnie węzły.

- Zaiste, złoto - szepnął. Oczy mu zalsniły. - I jest go tam więcej? - spytał z niedowierzaniem.

Don Bartholomeo ujął się pod boki.

- Ile dusza zapagnie.

Notariusz opanował się.

- Opatrzność zesłała więc naszym królom szczodry dar - rzekł z namaszczeniem.

Kolumb wzruszył nieznacznie ramionami. Opatrzność! W tej chwili postanowił, że nikt więcej nie pójdzie do złóż kruszcu. Nikt nie ujrzy ich do chwili, w której on zostanie panem tych ziem. Nietrudno znaleźć jakiś sensowny pretekst zakazu. Choćby niebezpieczeństwo grożące ze strony Indiosów. Istniało przecież. Temu nawet notariusz przy całej swej chytrności nie zdoła zaprzeczyć.

Z wielkim zaciekawieniem wysłuchał relacji brata o kraju leżącym poza dwoma pasmami pokrytych śnieżną pokrywą gór. „Maya” - zaiste, w ten sposób mogli wymawiać nazwę Kataju. - Dwa pasma gór - wodził palcem po powierzchni globusu Behaima. Nie rozstawał się z nim od pierwszej wyprawy, choć rzeczywistość zdawała się przeczyć wszystkim ustaleniom słynnego kartografa. - Zgadza się. Góry Tartarii*. Spójrzcie! Dalej już Kataj i Indie. [* Tartaria - ówczesna nazwa Mongolii.]

Notariusz, chcąc nie chcąc, nachylił się nad globusem.

- Może - mruknął półgębkiem.

Potem długo odważał w skupieniu grudki kruszcu. Z brzękiem padały na dno okutego sepetu. Na koniec zanurzył ostro zaciosane pióro w ampule z inkaustem, wpisał wszystkie do

wielkiej, oprawnej w cielejącą skórę księgi, złożył zamaszty podpis, opatrując go wszelkimi posiadanymi tytułami.

Zadzwoił kowany rygiel, potem zgrzytnął przekręcany w kłódce klucz.

- Biorę obecnych za świadków, że kruszec wpisany został do rejestru - oświadczył notariusz.

Kolumb odwrócił się i wyszedł z toldilli.

KREW I GŁÓD

Indianie ośmielali się z dnia na dzień. Nadciągali z lasu i od strony skał. Przyplływali z góry rzeki. Łodzie mieli takie same, jakie ludzie Kolumba widzieli na Hiszpanioli: wyrzezane z jednego pnia kanoe.

Niekiedy plac u skraju osady przypominał gwarne targowisko. Indianie przywozili świeże owoce o cierpkim smaku, pataty, których nie można było jeść na surowo. Dopiero po rozgotowaniu stawały się miękkie i kruche. Ich smak był nieznan, ale przecież całkiem przyjemny. Znoszono też ptactwo upolowane strzałami z łuku, rzadziej dzikie świnię.

Hiszpanie płacili za wszystko lichymi błyskotkami, w które zaopatrzył armadę biskup Fonseca. Grzechotki miały największe powodzenie.

- Tuk-tuk - żądali Indianie - daj tuk-tuk.

Szły również szklane paciorki. Szły noże i toporki lada jakiej kowalskiej roboty.

Gdy nie było akurat pod ręką wymiennego towaru - nie każdy potrafił wycygnąć go od dispensero bądź ukraść ze skrzyni - dawano Indianom bezwartościowe śmiecie. To zardzewiała blaszka od aguchetty *, to pogięty gwóźdź, to nawet odłamek stłuczonej misy. .

aguchetta (hiszp.) - pasek skórzany z metalową skuwką, nabijany metalowymi płytkami, niekiedy pokryty ornamentacją.

Niekiedy w dłoni któregoś z Indian błysnęła bryłka czystego złota. Jeżeli otrzymał grzechotkę, odchodził zachwycony, nie odejmując jej od ucha. Jeśli nie było grzechotki, brał co innego.

Kristobal za sprzączkę od starego paska zdobył grudkę kruszcu wartą parę kastelianów.

Złoto! Notariusz czuł, że przepływa gdzieś koło niego. Handlowali wszyscy. Grumeci, marineros, żołnierze. Ale i szlachetnie urodzeni nie gardzili okazją. Czuli, wiedzieli, a przecież nie zdołał złapać nikogo za rękę. Wreszcie odwiedził Kolumba.

- Nie wolno do tego dopuścić, admirale - rzekł gniewnie. - Instrukcja królewska jest wyraźna.

Jeszcze tego samego wieczoru ogłoszono zgromadzonej na wieczornej modlitwie załodze podpisany przez admirała rozkaz: „Wszelakie złoto otrzymane od Indiosów należy

bez żadnej zwłoki zdawać królewskiemu notariuszowi don Diego de Porras albo wyznaczonym przez mego oficjałom. Pod karą gardła”.

Jak było do przewidzenia, rozkaz nie odniósł skutku. Wszystko szło dalej poprzednim trybem. Tyle że teraz baczniej pilnowano.

De Porrasa ogarniała bezsilna wściekłość. Cóż mógł zrobić, zdany na własne siły? Francesco całe dni spędzał przy gąsiorku wina. Co mu tam instrukcja, co mu tam dobro koronnego skarbcza!

Zaprzysięgano coraz to nowych oficjałów. Ale oficjałowie sami tylko patrzyli, jak by co uszczknąć dla siebie. Wśród załogi rosło podniecenie, chciwość rozżarzała umysły. Ludzie byli różni. Nie brakło łotrzyków, którzy na pokładach armady szukali ucieczki przed szubienicą. Ci nie cofali się przed niczym.

Dobrze jeszcze, gdy Indianin przynosił kruszec i żądał w zamian „tuk-tuk”. Gorzej, gdy ofiarowywał rybę, a na jego piersi błyskał złociście naszyjnik. Naszyjniki były dla Indian rzeczą świętą i kuszenie cackami nie dawało nic.

Jedni rezygnowali, u innych przeważała żądza złota. Gasły wszelkie ludzkie uczucia. Na uboczu rozgrywały się błyskawiczne tragedie. Jeden morderczy cios, krótki urywany krzyk. Ci, którzy go usłyszeli, udawali głuchych. Straże biegły w inną stronę, gdzie akurat nie działo się nic. Po co zaprzętać sobie głowę po próżnicy? Zbyttnia spostrzegawczość groziła mitręgą i kłopotami. Admirał zapowiedział: „Nie wolno krzywdzić Indiosów. Za zabójstwo będę karać gardłem”. Zbójcka solidarność zapanowała w Betleem. Nieliczni, którzy jej nie ulegli, byli bezsilni. Domyślali się wszystkiego, udowodnić nie mogli nic. Wystrzegano się ich równie pilnie, jak admirała i starszyzny.

Nikt więc nic nie wiedział, nikt nic nie słyszał. Trupy zakopywano płytko, zacierając o ile możliwości ślady. A potem, w któryś szary, przesiąknięty deszczem dzień znowu wśród zarośli gasł jęk ugodzonego śmiertelnie człowieka.

Obozowisko odwiedzały też kobiety w towarzystwie swych mężów czy braci. Ciekawość brała w nich górę nad trwogą. Wieści o dziwnych istotach zza Wielkiej Słonej Wody i ich niezwykłych cudach zataczały coraz szersze kręgi.

Chciały zobaczyć na własne oczy, chciały podziwiać, ale nie chciały niczego więcej. Nagabywane przez Hiszpanów, stawiały zacieklej opór. Mężczyźni chwyтали w ich obronie za swą nędzną broń. Znowu lała się krew. I była to z reguły” krew ciemnoskórych. Niezdarna włócznia niewiele znaczyła wobec toledańskiej stali.

Straże pozostawały głuche i nieme. Dziś on, jutro ja... Odwracali oczy.

Santerro był jednym z największych zabijaków w całej armadzie. Któregoś dnia wypatrzył na rzece kanoe. Nieruchomy, jakby świątek z drewna, Indios i młoda niewiasta. Potrząsnął grzechotką. Błysnął klingą noża. Podpłynęli. Ale gdy dotknął ramienia ciemnoskórej dziewczyny, odskoczyła ruchem spłoszonego zwierzątka. Indianin, belkocząc gniewnie, nastawił ostrze swej włóczni. Uderzenie kolbą arkebuza rozciągnęło go na ziemi. Niewiasta umykała ku zarośłom. Santerro dopadł jej paroma susami. Krzyknęła. Zacisnął jej usta ręką i sam omal z kolei nie wrzasnął, czując ostre zęby, zatapiające się w ciele. Znów krzyk Indianki. Przeraził się. Straż nie uczyni mu nic, ale jeśli znajdzie się w pobliżu któryś z ludzi admirała? Był przecież jasny dzień. Błyskawicznym ruchem wyciągnął nóż zza pasa.

Gdy wrócił do łodzi, stanął osłupiały. Indianina nie było. Na zgniecionej trawie leżało tylko pióro z diademu, który nosił na głowie. Cios kolbą nie zabił go więc, lecz tylko ogłuszył. Santerro, wściekły, wrócił do osiedla.

Następnej nocy pełnił straż. Zmiana warty nie znalazła go na wyznaczonym posterunku. Mendez zacisnął pięści. Nie znosił braku subordynacji. Ale Santerra nie było w chacie, nie było go nigdzie.

Przyszedł dzień. Mendez zarządził poszukiwania. Początkowo nie dały wyniku. Dopiero koło południa ktoś zauważył pancierz błyszczący w zaroślach. Gdy podszedł bliżej, narobił wrzasku na cały obóz.

Zbiegli się wszyscy. Otoczyli w milczeniu ciało Santerra leżące w kałuży krwi. Było pozbawione głowy. Wąski trop biegł w kierunku lasu.

Mendez pospieszył do admirała.

- Indios zamordowali jednego z naszych ludzi - rzekł - odcięli mu głowę.

- Indios?

Palce admirała objęły złoty krzyż, połyskujący na jedwabiu kaftana.

- Oni - potwierdził Mendez. - To nie baranki z Hispanioli, Dość im w oczy zajrzeć.

Tymczasem niby to chowają pazury, ale gdy przyjdzie co do czego...

- Zamordowali w ciemnościach, odjęli głowę - szepnął Kolumb.

- W Kastylji też niekiedy odejmują głowy - mruknął cicho Mendez.

Kolumb spojrział na niego zaskoczony. Nie dosłyszał albo nie pojął. Mendez powtórzył.

- Wasza prawda. Ale tu? Zły to znak.

- Zły.

- Co radzicie?

Mendez milczał przez długą chwilę.

- Przyjdzie trwać w stałym pogotowiu bojowym - rzekł wreszcie. - Jeszcze bardziej wzmocnić straż. Nie tylko zresztą przeciw Indiosom... - zawiesił głos.

- Nie tylko? - zdziwił się Kolumb.

- Nie. Musimy unikać wszystkiego, co mogłoby rozdrażnić tutejsze plemiona. Gdy runą na nas niezliczonymi hordami, nie pomogą arkebuzy ni działa. Tymczasem nasi ludzie... Cóż, krzywda, gwałty, mordy.

- Jak powiadacie? - Kolumb zerwał się raptownie z zydła” - Zamordowali jakiegoś Indiosa?

- Wielu pomordowano.

- Wielu - powtórzył admirał ukrywając twarz w dłoniach. Mendez popatrzył nań z nieukrywaniem zdumieniem. Myślał o nieszczęśnikach, których na Hispanioli rozrywały tresowane psy. O tych, którzy służyli za żywe cele uzbrojonym w muszkiety chrześcijanom. O tych, którzy spłonęli w ogniu podpalonych chat. Trupy znaczyły każdy krok białych zdobywców na tych ziemiach. Czyżby admirał o tym nie pamiętał? Znajdował się przecież na Hispanioli, gdy mordowano jej mieszkańców. Dzierżył najwyższe prawo łaski i miecza. Dlaczego więc nie położył kresu rozlewowi krwi? Skąd w nim ta nagła przemiana?

- Morderstwa - Kolumb uniósł ramiona. - Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział? Winni dadzą gardło!

Mendez utkwiał wzrok w ciemnym kącie toldilli.

- Nie ma świadków, nie ma dowodów. A jednak najwyższy już czas, aby położyć kres gwałtom. Musimy zaskarbić sobie przyjaźń Indiosów. Przynajmniej dopóki jest tu nas tylko szczupła garstka - dorzucił po krótkiej pauzie.

- Nigdy! - Kolumb przechadzał się nerwowo po toldilli. Potrzącał o sprzęty niczym ślepiec. - Nigdy. Nie może się to zdarzyć już nigdy więcej.

- Nie powinno - powtórzył chłodno Mendez.

„Któż, jeśli nie Kolumb, uczynił ze swych karawel okręty niewolnicze - myślał - załadowując je Indiosami, których zamierzał sprzedać na rynkach Kastylii jako rabów. Czyż to nie on właśnie pragnął zakuć w żelaza całą ludność Hispanioli i wysp, by otrzymać za nią brzęczącą monetę? O królowej Izabeli powiadają różnie. Jedni, że święta, inni, że pełna świętoszkowatej obłudy. Ale to ona kazała uwolnić przywiezionych przez Kolumba Indiosów. Tych, którzy jeszcze nie zmarli. Ona, nie Kolumb. Skąd więc to oburzenie? A może admirał gra komedię przed samym sobą?”

Mendez przetarł oczy.

- Wzmocnimy więc strażę - podjął rzeczowo. - Niech pilnują porządku i spokoju także za dnia. Wasza miłość zapowie im surowo, by zapobiegali wszelkim gwałtom wobec Indiosów.

- Bo to raz zapowiadałem!

- Trzeba zagrozić, że sami dadzą głowy, jeśli coś się zdarzy. Nie będą wtedy pokrywać cudzych win. Przypilnuję zresztą. I ja, i Escobar. Gdy zobaczą, iż im się patrzy na ręce, nabiorą moresu. Nie będę karał, jeśli ktoś w zamian za grzechotkę otrzyma złoto. Nie dopuszczę jednak, żeby je zdobywał rabunkiem i mordem.

- Uważaj! - Kolumb zerknął nieufnie ku drzwiom, potem przeniósł wzrok na okienko.

- Notar!

- To jego rzecz. I oficjałów - wargi Mendeza wykrzywił pełen dezaprobaty uśmiech. - Nie przysiągłbym, czy na ich rękach również nie ma krwi.

*

Mendez zreorganizował zupełnie system straży. Przede wszystkim powyznaczał stałych dowódców. Mniej przy tym zważał na doświadczenie w żołnierskim rzemiośle, więcej na uczciwość. Zapowiedział krótko:

- Jeżeli jakiegoś Indiosa spotka krzywda na terenie obozu, was zakuję w żelaza. Może i przyjdzie dać gardło.

Przestraszyli się. Próbowali protestować.

- Człek nie da rady wszystkiego dopatrzeć.

- Mus, a jak tego dokonacie, to już wasza sprawa. Pomnijcie: nie możemy sobie pozwolić na żadne gwałty. Nas tylko dziesiątki, ich dziesiątki tysięcy. Nie wolno zapominać o losie, który spotkał Santerra.

Sytuacja z miejsca uległa radykalnej zmianie. Strażnicy potrząsali groźnie bronią.

- Nie, kamraci - mówili - teraz ręce przy sobie. Nie będziemy cierpieć za cudze winy.

Nawet najwięksi zabijacy przycichli. Okazało się jednak nagle, że właściwie nie ma czego pilnować. Indianie przychodzili teraz tylko zwartymi grupami. Nie rozpraszali się po obozie. Nie przynosili złota. Nie przynosili żywności. Nie przynosili nic. Wyciągali puste dłonie: - Daj tuk-tuk.

Dispenseros wściekali się. Dawać za nic? Ale admirał kazał dawać.

- Może podarki ich udobruchają - rzekł. Tłumacze powtarzali:

- Przynieście owoce, przynieście ptactwo, dostaniecie dużo i jeszcze więcej wspaniałych rzeczy.

Słowa ich padały jak kamienie w wodę. Podarki również. Indianie przychodzili każdego dnia. Ci sami? Inni? Któżby ich potrafił rozpoznać! Ale przychodzili po to tylko, by brać.

Zaczynało brakować świeżych produktów. Despenseros znowu rozsypali worki ze sparciałymi jagłami. Nikt nie był w stanie ich przelknąć. Człowiek nie potrafi żywić się zgnilizną. Tu zresztą wszystko było zgniłe: ziemia, powietrze, roślinność.

Dopóki mieli świeże owoce, mięswo, bulwy, nie opuszczała ich wiara w powodzenie wyprawy. Teraz tego wszystkiego nagle zabrakło. Zwierzyna stała się czujna i lękliwa. Ptaki odlatywały przy najmniejszym szeleście. Jeśli nawet komuś udało się podejść na odległość strzału, najczęściej iskra gasła na zawilgłych prochach.

Drzewa rosnące w pobliżu obozu do cna ogołoco z owoców. Nie było już ani ptaków, ani ache, ani niczego, co dałoby się zjeść. Ten i ów wyprawił się na łowy głębiej w las. Nie wrócił żaden. Nikt się nie dowiedział, jaki ich spotkał los. Ale nietrudno było się domyślić.

Na rozkaz admirała strażę przestały wypuszczać ludzi z obozu. Zorganizowano wyprawę zwartym oddziałem. Ale gromada - to znaczy hałas. Nie spotkali żadnego czworonoga. Widocznie spłoszone skryły się w gęstwie. Ptaki zrywały się z łomotem skrzydeł, zanim zdolali się do nich zbliżyć. Ustrzelono przecież kilka, co jednak wobec potrzeb załogi było kroplą w morzu.

Wrócili jeszcze bardziej przygnębieni.

Dzień płynął za dniem, dni wiązały się w tygodnie. Nic nie zapowiadało zmiany na lepsze. Głód zaglądał coraz głębiej w oczy, febra zbierała obfite żniwo.

Okręty kolebały się leniwie na błotnistym nurcie. Żagle butwiały, ciemnozielony mech porastał kadłuby, coraz to nowe warstwy skorupiaków oblepiały drewno poniżej linii zanurzenia.

Mielizna zamykająca wyjście na morze zółciła się z daleka. Armada była uwięziona.

De Kadisa przymusowa bezczynność doprowadzała do rozpacz.

- Zanim ten przeklęty próg pokryje woda, wszystkie okręty rozsypią się w próchno - mówił. Zaczął szukać pociechy w winie. Kapitan Tristan przyjął nowego kompana z otwartymi ramionami.

- Niechybnie się rozsypią - basował. - Więcej tu błota niż wody. I ślimaki. Nie powinniśmy byli włączyć do tej pułapki.

- Któż mógł przewidzieć, że wody ubędzie?

- Ktoś powinien był przewidzieć.

Zabrzmiało to jednoznacznie. I właściwie de Kadis nie mógł odmówić Tristanowi pewnej racji. Wprowadzenie statków na rzekę zamkniętą piaszczystą ławicą było niewątpliwym błędem. Ani mowy o wpłynięciu w głąb łądu, ani mowy o wyjściu na morze. Wszystko to należało zbadać przed wejściem armady w błotniste koryto.

Wzruszył jednak tylko ramionami. Omyłki - ludzka rzecz. A Kolumb był tylko człowiekiem.

Zajrzał do nich kapitan Francesco. Przyszedł notariusz królewski, don Diego de Porras. De Kadis nie lubił tych ludzi. Szczególnie notara. Ale po paru kruzach pełnych wina wszyscy wydają się szczerzy i mili.

- Złoto - prawil ponuro notar - cóż z niego? Nie wywieźć go z tych pogańskich ziem. Przyjdzie nam tu pozostać na wieczność. Ciężko umierać z dala od swoich.

- Pewnie i głos trąb wzywających na Sąd Ostateczny tu nie dotrze - wtórował Francesco.

- Admirał twierdzi, że za dwoma pasmami gór leży Kataj, dalej Indie - ciągnął notar. - Nie zaprzeczam, że tak wynika z globusu. Dwa pasma górskie - opuścił głowę - niebotyczne granie, urwiska, przepaście, szczyty tak wysokie, że nawet tu, w tym piekielnym upale, pokrywają je wieczyste śniegi. Lita skała. Żadnych dróg czy choćby najlichszych ścieżek. Pytam, komu wystarczy siły, by dotrzeć do kraju, który leży po tamtej stronie?

De Kadis milczał, wpatrując się we wnętrze swego pucharu.

Notariusz był ostrożny w doborze słów. Potępił admirała i jednocześnie jakby go usprawiedliwiał. Widać było, że w ten sposób chce zbadać grunt. De Kadis jednak nie dał się wciągnąć w dyskusję na temat Kolumba. Gdy wypadało zabrać głos, mówił o czym innym. Wciąż jeszcze wierzył w admirała. Wierzył pomimo wszystko.

- Twarda sztuka - mruknął po jego wyjściu kapitan Francesco.

Notariusz gładził wyłogi swego kaftana.

- Czasu nam niestety nie zabraknie - rzekł spokojnie. - Pamiętaj, że krople wody spadające niezmiennie w to samo miejsce potrafią wydrążyć nawet skałę.

OSADNICY

Quintarro siedział bezwładnie na pniu z wyciągniętymi przed siebie nogami. W nocy pełnił straż, potem leżał długo na posłaniu, ale sen nie nadchodził. Wyszedł więc na skraj lasu. Nie wyglądał okazale. Cizmy poszczepiał, jak umiał, dratwą, pończochy świeciły dziurami. Pludry miał przetarte, bielizna rozlażiła się w palcach.

Trzy miesiące minęły już od chwili, gdy okręty uwięzione zostały na mulistych wodach rzeki. „Nie popłynęliśmy rzeką w głąb kraju - myślał Quintarro - nie znamy nawet jej

imienia”. Indianie bowiem nazywali ją różnie - to „Iebro”, to „Irebra”. Niektórzy jeszcze inaczej: „Gikure”. Podobnie było z nazwą kraju. Mówili „Veragua”, mówili „Aurira”, „Cobrava”, „Kancziete”, „Kuriana” i „Almaya”.

Od dawna nie padał już deszcz. Słońce wyglądało niekiedy spoza ciężkiej pokrywy chmur. Wtedy paliło żywym ogniem.

Powietrze było parne, nieruchome. Myśli Quintarra płynęły leniwie, tak leniwie, jak błotniste nurty rzeki, na którą patrzył. Wspominał bliskich, którzy byli tak niezmiernie daleko, nędzę, w której ich zostawił. Nie zdawał sobie sprawy, jak długo tak trwał, pogrążony w zadumie. Jakby przez sen słyszał wydzwaniane na okrętach półgodziny.

Nagle drgnął. Ktoś dotknął jego ramienia. Odwrócił z wysiłkiem głowę. Rollejo. Przypominał raczej bezcielesną marę niż żywego człowieka.

- Marzysz?

- Tak - wypłuł na wpół zżuty liść - marzę.

- Żujesz badyle - Rollejo przysiadł obok pnia - jak tutejsze dzikusy.

Quintarro włożył kilka nowych liści do ust. Jego równe, mocne zęby wciąż lśniły białością śniegu. Trudno było pojąć, w jaki sposób zdołał je uchronić. Tu psuły się łatwo i prędko.

- Przejmujesz obyczaje pogan? - nalegał Rollejo. Szczęki Quintarra poruszały się miarowo.

- Oni najlepiej wiedzą, co w tym klimacie zapewnia zdrowie - rzekł po chwili.

- Niedługo pewnie zaczniesz kurzyć ich diabelskie ziele? Wypuszczać dym ustami i nosem, niczym bestia z Apokalipsy?

Istotnie, kiedyś na ustroniu Quintarro próbował zaciągnąć się dymem z wziętego od Indiosa naczynia, w którym żarzyło się wonne ziele. Długo potem kaszlał i spluwał. Ale to nie znaczyło” że już nigdy nie ponowi próby.

- Pragnąłbym mieć choć cząstkę tych sił, jakimi natura obdarzyła Indiosów - powiedział wymijająco.

Rollejo wyjął usta.

- Ba! Jadła mają w bród, a my zdychamy z głodu.

- Sami sobie zdobywają pożywienie. Zapadło milczenie.

- Niedobrze tak wpatrywać się w rzekę - podjął Rollejo po chwili.

- Niedobrze - zwiesił głowę Quintarro. - Jakby się patrzyło na gościnniec wiodący do rodzinnego domu. Tylko, że po tym gościńcu jeno oczom wolno biec.

- Gościńiec - Rollejo uśmiechnął się krzywo - ale u wylotu zastawa. Jak bramy w naszych miastach. Dopóki nie otworzą, ani wejść, ani wyjść.

- Powiadają, że wody jakby zaczęło przybywać - zauważył Quintarro.

- Łże, kto tak powiada. Słyszałem, jak de Kadis wczoraj meldował admirałowi, że nawet łódź szoruje po dnie stępką. Na wieki przyjdzie nam tu pozostać.

- Na wieki! - parsknął Quintarro. - Też ruszył konceptem. Tyle tylko, że pora roku niesposobna. Jak przyjdzie czas, to i wody przybędzie, i aura stanie się znośniejsza.

- Nim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje - mruknął Rollejo.

- Ponoć admirał zamierza tu wznieść fortalicję? - zapytał po chwili.

- Wszyscy o tym mówią. Pedro z „Kapitanów” słyszał rozmowę admirała z notarem. To król przykazał, aby na nowych ziemiach zostawiać załogi.

- Ale dlaczego akurat w Betleem? - Admirał twierdzi, że to ład stały, nie wyspa. Jakaś nieznaną część Azji. Zostanie siedem dziesiątków ludzi pod wodzą adelantado. I działa, i amunicja, i zapasy. Wszystko, co potrzebne, aby przetrwać do przybycia następnej wyprawy.

- Siedem dziesiątków ludzi! Spokój wieczny racz dać ich duszom, Panie.

Quintarro poruszył się niespokojnie.

- Cóż tak z góry wszystkich grzebiesz?

- Pamiętasz Navidad? Tam też zostawił załogę. Cztery dziesiątki ludzi, fortalicja, działa. Cóż znaleziono, gdy okręty przyplłynęły po raz drugi z Kastylii? Kilka zgniłych trupów. Reszta rozplynęła się niczym mgła. I nikt się nigdy nie dowie, jak ponieśli śmierć. Z Hiszpanioli zaś, jak by nie było, o dobrych kilkaset lig bliżej do chrześcijańskiego świata.

Quintarro przymusił się do uśmiechu.

- Dzięki za pomyślną wróżbę. Ja właśnie tu zostaję.

- Wyznaczyli cię? - zaniepokoił się szczerze Rollejo.

- Z własnej woli zostaję.

- To przecież - zakrztusił się Rollejo - jakbyś kładł głowę w paszczę samego diabła!

- A jednak pozostanę - rzekł Quintarro - do końca mego życia. Do końca życia moich dzieci. Do końca życia moich wnuków, jeśli mi ich Bóg ześle. Na wieczny czas. Pytasz: dlaczego? Nie pytałbyś, gdybyś wiedział coś o życiu kastylskiego chłopca. Znasz je? - zajrzał Rollejowi w oczy.

- Po prawdzie tyle co nic. Od urodzenia żyłem w mieście. Takie to zresztą miasto. Mała, nędzna mieścina. Huelwo. U ujścia rzeki Odiel. Tyle, że na prawie miejskim i należy do świętej Hermandad.

- Zawsze miasto. Mieszczuchowi o ile lżej! Choćby i najędzniejszemu. Cechy, municipium, venticuatro. Wiesz przynajmniej, u kogo upomnieć się o swoje. A ze ranie, widzisz” zwykły kastylski chłop. W chacie czworo dzieci. Wszystko drobiazg. Były i starsze, ale Bóg zabrał do swej chwały. Żarłeś kiedy w życiu słomę? - oparł podbródek na wysoko podciągniętych kolanach. - Niezbyt posilna strawa, możesz mi wierzyć na słowo. Wychodziliśmy w pole jeszcze po ciemku, wracaliśmy o zmroku. Nawet nie stało czasu, by wyprostować grzbiet choć: na chwilę. Spróbuj wyżyć ze skrawka kamienistej ziemi. Wiesz, jak to jest, gdy dzieci nikną w oczach? Z dnia na dzień, bodaj czy nie z godziny na godzinę. Dwoje starszych odnieśliśmy na. Święte Pole. Pleban za pokropek wydarł z gardzieli ostatnią garść ziarna.

- Na jaką słabość pomarli? - zapytał bardzo cicho Rollejo.

- Na zwyczajną. Z głodu. Kastylski chłop karmi wszystkich, dla swoich nie pozostaje mu już nic. Wójt, potem merin, correchidir, alguasil, dziesiątki innych. Wszyscy znają tylko jedno słowo: „daj”. Gdzieś wysoko, tuż poniżej samego Pana Boga, suveren. A na co dzień urzędnicy - i hufce zbrojnych. Od miasta stronią, bo tam trudniej grabić. Ale wiesz? Któż się za nią ujmie? Ludzie, konie, maszyny wojenne. Ciągną na Maurów lub wracają spod Grenady. Myślisz, że jak ją w końcu zdobyto, stało się lżej? Ani trochę. Suveren wadzi się z suverenem, święta Hermandad ćwiczy swych zaciężników, król zbiera wojska. A to przeciw Francji, a to przeciw Italii, a to jeszcze przeciw komuś. Prostemu człowiekowi ani się w głowie pomieścić może, kto na kogo i z jakiego powodu. Wie tylko, że żołdackie podeszwy depczą jego pola, że maszyny niszczą jego plony, że bydłeta zżerają ostatnie ziarno, którym miał żywić siebie i swoich. Zostanie ci jaka koprowina, pleban bieży w te pędy. „Dziesięcina na święty kościół!” I siedzisz nad pustą misą, do której nie ma co włożyć...

Urwał zmęczony. Na czole perlily mu się grube krople potu. Trwało ciężkie milczenie.

- Nie - Quiritarro podparł się rękoma o pień i wstał - nie chcę, żeby pozostała przy życiu czwórka poszła w ślad za rodzeństwem. Przyziemny ze mnie człek i więcej przywykłem patrzeć w to, co pod moimi nogami, niż w niebiosa. Tam nic, poza śmiercią, tu zaś...

Ostro szarpnął kępkę trawy, wygrzebując spod niej mokre grudki ziemi.

- Zobacz, jaka pulchna - szepnął - miękka i czarna. Może inna niż nasza. Może rodzi inaczej i co innego. Ale to, co rodzi, jest chlebem powszednim. Gdy armada powróci z Kastylii, na pokładzie przyplyną moi. Z początku czworo rąk do pracy. To też niemało. Potrafimy znieść więcej niż juczny muł. Wypruję wszystkie żyły z ciała, ale zmuszę tę ziemię, aby nas wykarmiła do syta. Nie jesteśmy jeszcze starzy. Zaczniemy oddychać pełną

piersią. Ludzkie pijawki pozostaną w Kastylii. Któż miałby nas tu gnębić? Adelantado? Prości ludzie się na niego nie skarżą. Dla nich ni dobry, ni zły. Nijaki. Mówią, że wadzi się z jaśnie wielmożnymi. Niech się wadzi. Co nam do tego?

Kontadorem ma zostać Mendez. Od niego będzie wszystko zależało. Ludzki to człek. Sprawiedliwy jak rzadko. Inni? Cóż, gruntu dla wszystkich starczy. A jeśli by nawet było źle, nietrudno rzucić wszystko i pójść, dokąd oczy poniosą. Nową chatę postawimy w niespełna dzień. Taką jak te - wskazał ruchem głowy obozowisko - parę kołków, oplecione ściany, dach pokryty liśćmi.

- Antypody - Rollejo wzruszył ramionami - kraniec świata, przedsionek piekła. - Słowa Quintarra wzruszyły go do głębi, ale nie potrafiły bynajmniej przekonać.

Rozległy się ciężkie kroki przy wtórze hałaśliwego brzęku. Podszedł Garcia. W półpancerzu, z długą jak rozeń szpadą. Spod hełmu wyzierała trupio blada twarz. Głęboko zapadnięte oczy lśniły niezdrowym blaskiem. Kości policzkowe rysowały się ostro pod wiotką skórą.

- Że też chce się wam dźwigać całe to żelastwo - mruknął ze zdziwieniem Rollejo.

- Straż - przysiadł obok nich - właśnie z niej wracam. Niech diabeł porwie tego, co wymyślił tę udrekę.

Zaczął rozpinąć sprzączki półpancerza, potem wyciągnął się na trawie.

- A wy tu co? Niczym na brzegu Gwadalkiwiru w Sewilli?

- Sewilla - westchnął tęsknie Rollejo - gdzie ona?

- Daleko. Piekielnie daleko.

Zdjąwszy hełm, Garcia otarł spotniałe czoło, po czym zaczął zrywać trawę, podścielając ją sobie pod głowę.

- Quintarro zamierza ostać tu na stałe - oznajmił Rollejo. Był pewny, że zadziwi Garcie ponad wszelką miarę. Rozczarował się jednak.

- Cóż - burknął Garcia - wcale niegłupi pomysł. Ja również zostaję.

- Wy? - wytrzeszczył oczy.

- Ja. Dlaczego by nie?

- Będziecie uprawiać tu ziemię?

Garcie wstrząsnął śmiech. Aż sprzączki zadzwoniły cienko o metal półpancerza.

- Ziemię? Co wy też. Jeszcze tak nisko nie upadłem, by ciągnąć sochę niczym jakie bydło. Bo wołu tu nie uświadczysz, nawet z pochodnią. Ni konia. Ani muła, ani osła, ani żadnej rzeczy, która jego jest - dokończył wciąż roześmianym głosem.

- Cóż więc was tu trzyma?

- Złoto - mruknął Garcia leniwie.

- Złoto?

- Właśnie. Nie brak go na tych ziemiach. Widzieliśmy własnymi oczyma.

- I cóż z tego? Złoża, ani chybi, obstawiają strażą. Nikogo nie dopuszczają.

Garcia wydał wargi.

- Złoża! Czyż jestem gwarkiem, by kuć skałę? Ani umiejętności, ani siły, ani chęci.

- W takim razie na co liczycie? Z nieba przecie złoto nie spadnie.

- Znam takich, co go mają pod dostatkiem.

- Kto to taki?

- Indiosi. Rollejo zdumiał się.

- Nie chcą przecież teraz wymieniać. Nie przynoszą. Zresztą każdy kawałek kruszcu należy zdawać na ręce notara i...

- Głupstwa powiadacie - przerwał bezceremonialnie Garcia. - Notar powróci do Kastylii, a ja pozostanę.

- Więc cóż z tego, kiedy nie chcą wymieniać?

- Nie chcą? Już ja znajdę sposób, żeby ich do tego skłonić. Pogłaskał rękojeść szpady.

- Odbierzecie przemocą?

- Skoro nie oddadzą po dobrej woli? Co takim dzikusom po szlachetnym kruszcu? Nie znają nawet jego wartości.

- Zapominacie o rozkazie admirała. Pod groźbą gardła zakazał...

- O niczym nie zapominam. Gdy armada odpłynie, strażę będą miały co innego do roboty. Zdobędę złoto - walnął z rozmachem pięścią w trawę. - Muszę je zdobyć. Za wszelką cenę. Złoto to pępek świata. Złoto to wszystko. Czegóż więcej trzeba człowiekowi? Złoto otwiera wszelkie wrota. Nawet te, które wiodą do raju. Któż odmówi odpustu, gdy brzęknę garścią kastelialów? Sam Ojciec Święty także nie.

Rollejo targał skołtunioną bródkę, w której ostatnio pojawiło się wiele srebrnych nitek, i milczał.

- Potrafilibyście ułożyć poemat o złocie - mruknął z dezaprobatą Quintarro - ale myśleć porządnie nie umiecie.

Garcia łypnął na niego okiem.

- Nie umiecie - powtórzył Quintarro. - Rabować Indiosów, kłuć, ścinać! I co dalej? Rozdrażnieni, pojrzą nas na surowo. To nie jagnięta, krzywdzić się nie pozwolą. Pomnijcie na los Sanerra. Gdy armada odpłynie i przestaną nas wspierać jej działa, lepiej będzie dla nas i dla innych nie drażnić Indiosów. Jedyne wyjście to żyć z nimi jak z sąsiadami.

Garcia przyjrzał mu się spod przymrużonych powiek. - itrach was obleciał? - spytał zaczepnie.

Quintarro nie przejął się ani jego tonem, ani wyrazem twarzy. - Chciałbym żyć. To wszystko. I żyć właśnie tutaj.

- Złoto rzecz dobra. - Rollejo uznał, że czas wziąć na siebie rolę rozjemcy - ale temu, co powiada Quintarro, też trudno odłowić racji.

- Rację będzie miał zawsze ten, komu nie zabraknie kruszcu - przeciął Garcia.

- Obaczmy - mruknął Quintarro. Milczeli długą chwilę.

- Byłbym zapomniiał - odezwał się wreszcie Garcia - Mendez przykazał, żebyście obaj stawili się przed nim. Z bronią, w pełnym rynsztunku. Pierwsza nocna wachta wam przypadnie. Macie jeszcze czas.

- Wczoraj łąziłem przez pół nocy - oburzył się Rollejo. - Nie ma już innych?

- Widać nie ma. Ludzie chowają się po kątach. Wszyscy gonią resztkami sił.

- A jaśnie wielmożni?

- Ich także admirał wziął do galopu. Ale cóż z tego? Zbyt wielu leży bez ducha na barłogach.

- Jak mus, to i święcona woda nie pomoże - rzekł Quintarro z rezygnacją. - Chwalić Boga, jeszcześmy zdrowi.

- Psu na buty takie zdrowie - stęknął Rollejo - kości wykręca, że i mistrz katowski nie potrafiłby lepiej... Mgła - westchnął po długiej pauzie, wskazując niedbałym ruchem głowy rzekę.

Spojrzeli w tamtym kierunku. Nad ciemnymi nurtami słały się mleczne tumany.

- Czas na nas - rzekł Quintarro.

SĄD NAD MERCANO

Ludzie rzeczywiście kryli się, gdzie kto mógł, gdy przyszło do wyznaczania straży. Ale Mendez wyciągał opornych z najdalszych zakątków obozu. Dotarł również do kasztelu.

- Aha, Mercano - przypomniał sobie. - Co tu robisz?

- Noga - stęknął. - Stanąc na niej nie mogę!

Mendez sprowadził Bernala.

- Zbadajcie, jako z nim jest.

- Zwodzi - orzekł bezapelacyjnie Bernal. - Sposobny do każdej pracy, choćby i najcięższej.

Mercano spocił się z przerażenia.

- Nie kłamie - jęczał - już trzy miesiące rwie i szarpie w kolanie, zbadajcie jeszcze raz, panie, na pewno się mylicie.

- W takim razie - rzekł Bernal z poważną miną - nie pozostaje nic innego, jak tylko odjąć nogę. Mam sposobną piłę. Ból nie będzie znów tak wielki, żebyś nie wytrzymał.

Mercano zbladł.

- Jeżeli trzeba, spróbuję skakać na jednej nodze... - wybąkał pokornie.

- Pójdiesz na nocny ront - zapowiedział Mendez. - Nie chcę już słyszeć o twojej chorobie. Zrozumiałeś?

Mercano przycichł. Był zupełnie zrezygnowany.

O zmierzchu sam zeszedł na ląd, nie czekając, aż Mendez po niego pośle. Lepiej nie drażnić licha. Długo przedtem rozważał: utykać czy zaniechać udawania? Dla wszelkiej pewności postanowił dalej grać komedię.

Mendez przyjrzał mu się badawczo.

- Oszczędź sobie trudu - powiedział. - I tak nikt nie da wiary.

Półpancerz, hełm, halabarda, arkebuz - ciężki rynsztunek krępował ruchy rozleniwionego Mercana. Przy pierwszym kroku potknął się i o mało nie runął twarzą w trawę. Kamraci ryknęli śmiechem. Słowa Bernala obiegły już całą załogę.

- Daj kulasa, oderżniemy go bez pomocy felczera. Ani poczujesz, że ci coś ubyło.

Mercano zacisnął zęby i milczał.

*

W grupce jaśnie wielmożnych wrzało. Rozkaz Kolumba, by pełnili straże na równi ze wszystkimi, wydał im się zamachem na szlachecką godność.

Mendez rozkładał ręce.

- Rozkaz admirała. Kimże jestem, bym miał go zmieniać?

- Admirał! - don Talavero parsknął gniewnie, nie powiedział jednak nic więcej. Dzwoniąc ostrogami, które nie wiedzieć po co założył, odszedł ku reszcie. Znalazłszy się w otoczeniu hidalgów, odzyskał werwę.

- Pilnować po nocy nędznych chat! - wywodził z oburzeniem. - Szlachta czuwająca nad spokojnym snem ciurów! Kolon oszalał, a my mu pozwalamy na wszystko!

Don Ximeno wzruszył ramionami.

- Na wojnie, jak na wojnie.

- Nie ma przecież żadnej wojny!

- Jest wojna. Cóż z tego, że w tej chwili nie toczy się walka? Krew już popłynęła i niewątpliwie będzie płynąć dalej. A w razie zaskoczenia nie będzie wam bezpieczniej w toldilli niż w słomianej chacie.

Z gromadki escuderos padały pod adresem szlachty zgryźliwe uwagi.

- Popatrzcie tylko na tych wielmożnych!

- Tryki ogniste.

- Ino czekać, jak zaczną bóść. Gruchnął ogromny śmiech.

*

Zapał mrok, nagle, bez przejść, jak zwykle w tych stronach. Rozjarzyły się czerwone kłody na ogniskach. W kilku miejscach pełgały nikłe światła latarni.

Noc. Mercano poczuł, jak zimny deszcz przebiega mu po plecach.

- Noc - mruknął don Ximeno sprawdzając, czy szpada wychodzi gładko z pochwy. - Czas, panowie, wyruszyć na ront.

- Noc - Quintarro raz po raz wyciągał z mieszka nowe liście. Żuł je niemal bez przerwy. - Idziemy.

Rollejo zebrał swoich ludzi. Byli wypoczęci, przymawiali sobie wesoło, parskali śmiechem. Gdy jednak weszli pomiędzy drzewa, gdzie nie docierał blask ognisk, wesołość zaczęła gasnąć, aż w końcu zamilkli zupełnie. Ręce mocniej zacisnęły się na broni.

Rollejo rozstawiał strażę w wyznaczonych przez Mendeza miejscach. Oddział topniał z każdą chwilą. Gdy przyszła kolej na Mercano, próbował protestować.

- Jakże tak, samowtór?

- On by chciał, żeby mu wznieść wieżę ochronną ze zwodzonym mostem - mruknął szydliwie Brevesco, który miał zostać z Mercano.

- Obejdzie się i bez wieży - powiedział Rollejo. Mercano łupał na wszystkie strony spłoszonym wzrokiem. „Śmierdzący tchórz” - pomyślał Rollejo. - Idziemy - rzekł. Ledwo dwie ampollety zdążyli wydzwonić na okrętach, gdy nocną ciszę przeszył krzyk. Krzyczał chyba Brevesco. Rollejo i Arana pędzili co tchu. Indiosi?

Zastali Brevesco przy życiu i zdrowiu, z palcem na cynglu arkebuza, wycelowanego gdzieś pomiędzy drzewa.

- Czegoś krzyczał? - Rollejo opuścił szpadę ostrzem ku ziemi. - Gdzie Mercano?

- Właśnie - warknął - gdzie?

- Mów, jak było.

- W zaroślach jakby się coś poruszało. Zwierz, człowiek, może zresztą i wiatr. Ano - myślę sobie - tak czy inaczej popatrzeć nie zaszkodzi. Mercano nie chciał postąpić ni kroku.

Jakby mu nogi wrosły w ziemię. Poszedłem, rozgarnąłem gęstwę - pusto. Dla wszelkiej pewności przejrzałem zarośla. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Wracam pod nasze drzewo i oczy przecieram. Co znów za omamienie? Mercana ni śladu. Więc podniosłem alarm.

- Słusznieś uczynił - Rollejo kręcił głową, bezskutecznie usiłując coś dojrzeć w ciemności. - Skocz do obozu po światło - zwrócił się do Arany - ino duchem! Przynies kilka pochodni. Tylko bacz, żeby były smoliste.

Arana wrócił niespodziewanie szybko. Widać gnał co tchu. Chybotliwe płomienie, trzask płonącego drzewa. Czerwone refleksy tańczyły po zbitej ścianie zieleni.

- Stał tu - Rollejo oświetlił zdeptaną trawę - i co dalej? ładnych śladów walki. Krwi na szczęście także. Nie wleczono go. Byłoby widać. Trawa bujna i wilgotna. Nie rozwiął się przecież w powietrzu?

Nadszedł pospiesznie Mendez.

- Co się tu dzieje?

- Mercano zniknął - powiedział Rollejo - diabli go gdzieś ponieśli.

Brevesco przeżegnał się.

- Lepiej nie wspominać imienia nieczystego w nocną godzinę. W ślad za Mendezem nadbiegli inni. Nowina rozeszła się po osadzie lotem błyskawicy.

- Indiosi czy nieczysta moc? - szeptano w podnieceniu. Mendez przyklęknął trzymając w ręku pochodnię.

- Szedł o własnych siłach - orzekł. Powstał i ruszył nisko nachylony. Ciągnęli za nim.

- Ot tu - zatrzymał się. Wśród trawy czerniała błotnista łysina. - Odciski podeszew. Więc nie Indiosi. - Znowu przyklęknął.

Jeszcze kilka kroków. Trop był coraz wyraźniejszy. Wreszcie Mendez oświetlił pochodnią kępkę gęstych krzaków. Podniecenie doszło do szczytu. Co tam znajdują? Przypomnieli sobie bezgłowy kadłub Santerra. Podeszli ku zarośłom. Trzasnęły łamane gałęzie, ktoś, wrzasnął z przerażenia. Odkoczyli do tyłu, podnieśli arkebuzy. Alarm był jednak zbyt cichy. Mercano stał przed nimi mrugając oślepiionymi oczyma.

- Diabeł - mrucał pobladłymi wargami - diabeł. Mendez zagwizdał przeciągle.

- Uciekłeś z posterunku? Wiesz, bratku, czym to pachnie? Mercano pobladł jeszcze bardziej.

- Ja... - bąknął z wysiłkiem - ja...

Widać było, że nie jest w stanie wydusić z siebie żadnego sensownego słowa.

Mendez złapał go twardo za ramię i potrząsnął.

- Co się stało? Gadaj!

- Smok! Piekielna stwora! Ogień buchał mu z pyska i ślepiów! Cuchnęło siarką!

- Bredzisz - zniecierpliwiał się Mendez. - Mów do rzeczy.

Czegoś się zestruchał?

- Dym z piekielnych czeluści! - bełkotał Mercano.

- Bzdura - sarknął ostro Mendez. - Byłeś kiedy w czeluści piekielnej?

- Ja? Co też wy...

- No, więc skąd możesz wiedzieć, jaki ten dym?

Ktoś parsknął kpiącym śmiechem. Mendez odetchnął z ulgą. Wśród zabobonnych żołnierzy byle słowo mogło wzniecić popłoch. Cóż dopiero tu, na Antypodach, które wielu uważało za siedlisko samego szatana.

Pchnął Mercana w kierunku zbrojnych i długo ocierał palce o pludry, jakby dotknął czegoś plugawego. - Wziąć go pod straż - rzekł. - Żelaza na ręce i nogi. Jutro przed admirała. Na sąd.

Reszta nocy minęła spokojnie. Nie było nowych alarmów. Nikomu nie zwidziało się nic niezwykłego.

Około południa następnego dnia odbył się sąd nad Mercano. Przywiedziono go przed admirała. Po obu bokach stali zbrojni w halabardy pachołkowie. Stół pokryto płachtą grubego sukna. Po prawicy Kolumba zasiadł królewski notariusz, po lewicy kapitan Tristan, jako że Mercano był wpisany do rejestru załogi „Kapitanów”. Na stole wielki kałamarz, w nim gęsie pióro. Arkusz żółtego pergaminu. Za plecami sędziów znowu kilku zbrojnych w pełnym rynsztunku. Nad nimi proporce z literami „F” i „I”. Spędzono całą załogę. Oskarżał Mendez.

- Takowa zbrodnia - kończył swe przemówienie - czasu wojny karana jest gardłem.

Kolumb uniósł powoli głowę.

- Jakiej więc kary żąda oskarżyciel?

- Żądam jego głowy.

Nie mówił tego serio. Tu, na Antypodach, każdy człowiek mógł się przydać, nawet najlichszy. Należało jednak ukazać załodze cały ciężar winy Mercana i ukarać go przykładnie.

Mercano runął na kolana.

- Łaski, wasza miłość! Stwora mi się zwidziała przerażająca i nad wszelkie pojęcie plugawa.

- Widziałeś ją zaiste? - Mendez wparł w niego świdrujący wzrok. - Prawdę masz mówić, inaczej pójdziesz na męki.

Mercano przymknął oczy. Rozumiał już, że Mendez zrobi wszystko, aby nikt z załogi nie uwierzył w jego bajkę o diable czatującym na straże w dżungli. Wiedział też, że admirał rad słucha Mendeza i, co więcej, że Mendez umie znaleźć tysiąc sposobów, aby pozbyć się niewygodnego człowieka. Bez względu na wyrok, jaki za chwilę zapadnie, Mercano nie powinien narażać się kontadorowi. Milczał więc chwilę. Zdarzenia tamtej nocy przemknęły w błyskawicznym skrócie przed jego oczyma. Coś zaszeleściło w gęstwinie. Brevesco pobiegł tam z gotowym do strzału arkebuzem. On, Mercano, pozostał sam, zagubiony w ciemnościach. Potem coś błysnęło zielonkawym ogniem, nie wiedział nawet, jak czmychnął i w jaki sposób znalazł się w kępie krzaków. To było wszystko.

- Dopraszam się łaski waszych miłości - uniósł rękę przy wtórze zgrzytliwego brzęku żelaznych ogniów łańcucha. - Słabowałem długo i żarła mnie gorączka. Mógł to być oman, w chorobie zwiduje się niejedno.

Wśród stojących półkolem widzów ktoś zaśmiał się krótko, ktoś inny westchnął z ulgą.

Kolumb popatrzył na Mendeza. Ten machnął ręką.

- Nie nastaję na jego gardło. Wyrzekł się kłamstwa. By jednak nie świecił złym przykładem w przyszłości...

- Nigdy! - Mercano walił łbem o pokład - nigdy! Klnę się na wszystkie świętości!

- ...proszę o wymierzenie mu kary stosownie surowej - zakończył Mendez.

Kolumb naradzał się ściszym głosem z asesorami. Kapitan Tristan milczał, notariusz miał plany co do osoby Mercana, Kolumb zaś nie myślał nawet o wyroku śmierci. Szybko więc doszli do porozumienia.

Kolumb wstał dla ogłoszenia wyroku.

Pachołkowie poderwali Mercana, który tarzał się twarzą w pył; obyczaj sądowy nakazywał, by oskarżony słuchał wyroku klęcząc.

- Wina twoja została udowodniona. Ciężka wina. Strażnik, który schodzi samowolnie z posterunku, winien dać gardło. Takie są prawa wojenne.

- Łaski - załkał Mercano - łaski!

- Przez swe tchórzostwo - ciągnął dalej Kolumb - naraziłeś kamratów. Naraziłeś nas wszystkich, naraziłeś całą armadę i pierwszą chrześcijańską osadę na tych ziemiach o świętym mianie Betleem... Ale - podjął po pauzie - ponieważ jesteśmy na Antypodach, ponieważ nam właśnie przypadł zaszczyt zatknięcia na tej ziemi świętego znaku krzyża, uznaliśmy za możliwe, słuszne i stosowne na ten raz złagodzić surowość praw. Darujemy ci życie, Mercano.

- Dzięki - ryknął - dzięki! Niech Wszechmocny wynagrodzi wam waszą łaskawość!

Wśród widzów rozległ się szmer stłumionych głosów.

- Skazuję cię na ciemnicę o chlebie i wodzie. Będziesz zawarty na dnie ładowni swego okrętu przez dni siedem.

Garcia wzruszył z dezaprobatą ramionami.

- Siedem dni? I to ma być niby stosowna kara za tchórzostwo? Ja bym huncwota obwiesił na suchej gałęzi.

SALWA Z ARKEBUZÓW

Indianie w dalszym ciągu nie dostarczali żywności. Przeprowadzane na własną rękę łowy nadal dawały mizerne wyniki. Mendez z głęboką troską myślał o przyszłości. W Betleem miało na stałe osiąść siedemdziesięciu ludzi. Nie mogli cierpieć głodu. Doprowadzeni do ostateczności, podniosą w końcu rokosz albo porwą się na jakiś inny, podyktowany rozpaczą czyn.

Rozpytywał przybywających Indian o ich wsie. Zdobyte w ten sposób urywkowe informacje zachowywał skrzętnie w pamięci.

- Musimy mieć żywność - oświadczył wchodząc do toldilli Kolumba - i to bez najmniejszej zwłoki. W przeciwnym razie grozi nam nieszczęście.

Kolumb oderwał wzrok od zaścielających stół map.

- Musimy - rzekł na pół przytomnie - ale w jaki sposób?

- W odległości kilku lig na wschód leży indiańska wioska. Plemię podległe jest Kibianowi, ale on mieszka w innej wiosce, znacznie dalej. Mniemam, że należałoby się tam wyprawić po żywność.

- Chcesz ją wziąć przemocą? - zmarszczył krzaczaste brwi Kolumb.

- Nie, po cóż zaraz przemocą. Wymienimy na grzechotki i inne cacka. Możemy być hojni. Towar niewiele wart.

- A jeśli nie zechcą?

- Gdy będziemy już na miejscu, chyba zechcą. Nie mam na myśli żadnych gwałtów, ale już sama nasza obecność stworzy odpowiedni klimat do... hm, próśb. Huk arkebuzów znakomicie łagodzi charakter tutejszych ludzi.

- Zamierzasz ich nastraszyć?

- Skądże - uśmiechnął się Mendez półgębkiem - oddamy honorową salwę.

Kolumb naradził się z bratem. Jemu właśnie zamierzał powierzyć nominalne dowództwo wyprawy. Naprawdę dowodzić będzie Mendez. Jako i zawsze.

- Przedni pomysł - orzekł bez wahania adelantado.

- Konieczność - sprostował skromnie Mendez. - Za żadną cenę nie wolno dopuścić, by ludzie pozostali bez jada. Głód to zły doradca.

Tym razem nie brakło chętnych. Po żywność! Na to hasło nawet najsłabsi zwlekali się z barłogów.

Mendez wybierał tylko najbardziej krzepkich. Powietrze rozprażone do białości, droga ciężka przez gąszcz i wertepy. Marsz w pełnym uzbrojeniu wymagał nie tyle jakiej siły.

Wyruszyli o wczesnym świtaniu. Pomiędzy drzewami czał się jeszcze mrok. Długo kołowali, nim wreszcie idący przodem zwiadowcy odkryli wydeptaną ścieżkę. Po trzech godzinach marszu ukazały się w dali słomiane dachy.

Na widok zbliżającego się oddziału we wsi wybuchła gwałtowna panika. Spomiędzy chat wymykać się poczęły ciemne sylwetki Indian, mknących co tchu w kierunku dżungli.

Adelantado przystanął niepewnie.

- Umykają...

Mendez błyskawicznym manewrem okrążył wieś.

- Nie wypuszczać nikogo pod żadnym pozorem - rozkazał. - Jeno bez gwałtów! Niech was ręka boska broni przed rozlewem krwi.

- A jeśli natrą wręcz? - zapytał któryś.

- Nie widać, by mieli ku temu zbyt ochotę. Zresztą czyż nie macie pięści?

Istotnie, nie zaszła potrzeba użycia broni. Indianie widząc, że droga ucieczki została odcięta, przysiedli na piętach u progu swych chat. Pełni rezygnacji czekali, co będzie dalej.

Na niepewnych nogach podszedł kacyk wsi. Twarz jego miała barwę popiołu.

- Czego żądają ludzie o białych twarzach? - przełożyli jego słowa tłumacze.

Mendez spojrział porozumiewawczo na Bartholomea. Już nie: „przybysze z niebios”, nie „bóstwa”, tylko zwyczajnie: „ludzie”. Zadziwiająco szybko topniał nimb, jakim tu początkowo otaczano chrześcijan.

- Dajcie dużo ryb, ptaków, patatów i ache - zażądał adelantado. - Obdarzymy was za to czarodziejskimi rzeczami.

Kazał otworzyć juki.

- Patrzcie! - potrząsnął pękiem grzechotek. - I to, i naszyjniki zza morza.

Kacyk padł na kolana.

- Nie ma ani ryb, ani ptaków - zawodził żałośnie - ani patatów, ani ache.

Mendez całym wysiłkiem woli poskromił gniew.

- Chcieliśmy również - powiedział słodko - pokazać wam moc naszego czarodziejskiego ognia.

Wśród Indian nastąpiło nagle poruszenie. Nie potrafili ukryć niepokoju. Mendez wskazał na drzewo nieznanego gatunku.

- Mierzcie tu - zakreślił palcem miejsce na korze - niech który tylko spróbuje spudłować! Wasza miłość zezwoli? - dopiero teraz przypomniał sobie o obecności adelantado.

- Tak - zgodził się Bartholomeo skwapliwie - oczywiście. Mendez ustawił ludzi w odległości kilkudziesięciu kroków od celu.

- Prochy suche? Sprawdźcie. Żeby ani jednemu nie spaliło na panewce!

Szczęknięły kurki. Wbito forkiety w ziemię, lufy arkebuzów wsparły się na stalowych widelkach. Indianie cofnęli się w głąb chat. Na twarzach przerażenie. Dwa palce sztywno wyprostowane miały odpędzić zły urok.

Mendez dał komendę. Huknęła salwa. Czarny, gryzący dym zasłonił wszystko dokoła. Podbiegł ku drzewu. Odetchnął z ulgą - ścięte jak toporem.

Indianie, stłoczeni za osłoną chat, trzymali się w bezpiecznej odległości.

- Powiedzcie, niech podejdą - rozkazał tłumaczom - nic im nie grozi.

Szli niechętnie, wciągając nieufnie przesiąknięte zapachem spalonego prochu powietrze. Widać było, że gotowi są do natychmiastowej ucieczki na pierwszy nieprzyjazny odruch Hiszpanów. Kacyk kroczył w dużej gromadzie wojowników, strzelając na wszystkie strony spłoszonymi spojrzeniami.

- Naładować broń.

Mendez, dostojnie wyprostowany, trwał w bezruchu.

Indianie obstąpili pień ściętego kulami drzewa. Kiwali w podziwie głowami. Brunatne palce ostrożnie dotykały sterczących drzazg. Czarne oczy rozszerzone były wyrazem zdumienia i trwogi. Początkowo cicho, potem coraz głośniej zaczęły rozbrzmiewać podniecone rozmowy.

- Powiedzcie, że nasz ogień spopiela wszystko, co napotyka na swej drodze - polecił Mendez tłumaczom. Wolał nie czekać, aż mieszkańcy wsi zdołają ochłonać z wrażenia. - Gdyby został skierowany przeciw chatom, nie pozostałoby z nich nic prócz zgliszcz. Ale nigdy nie razimy tych, co są nam życzliwi.

Adelantado poruszył się niespokojnie. - Mieliśmy ich nie straszyć, kontadorze - zniżył głos niemal do szeptu.

- Przecież ja ich uspokajam - odparł niewinnie Mendez.

- Jestem przekonany, że okażą nam jak najgorętszą życzliwość. Adelantado zacisnął wargi, by powstrzymać mimowolny uśmiech. Przybrał surowy wyraz twarzy i, wyprostowawszy się, wodził dokoła zimnym spojrzeniem.

Z głębi wioski nadszedł jeszcze jeden Indianin. Inkrustowana suto złotem maska kryła twarz, w rękach bębenek o półkolistym dnie - czarownik.

Długo stał przed ściętym drzewem, potem okrążył je w tanecznych podrygach, wreszcie rozpoczął śpiewną recytację, uderzając rytmicznie palcami w bębenek. Indianie słuchali go w głębokim skupieniu.

- Co on powiada? - adelantado nachylił się nad najbliższym tłumaczem.

- Że przed czarodziejskim ogniem białych istot nic nie zdoła uchronić - odrzekł - że to jest niedobry ogień.

- I co jeszcze?

Tłumacz aż przymknął oczy z wielkiego wysiłku.

- Że należy dać białym istotom wszystko, czego zażądata. Nie wolno wzniecać ich gniewu - nie zdając sobie z tego sprawy, wpadł w śpiewny ton czarownika - inaczej spalą na popiół chaty i pozbawią życia ich mieszkańców. Niech wezmą, czego im potrzeba, i odejdą, zabierając rzeczy tryskające ogniem.

- To nader rozsądne słowa - mruknął Méndez.

Teraz sytuacja uległa całkowitej zmianie. Znalazły się nagle ryby. Znalazło się kilka świeżo ubitych ptaków. Znalazły się całe sterty patatów i bulw ache. Jakby głos obrzędowego bębena wyczarował w mgnieniu oka wszystko spod ziemi.

Ale prawdziwym czarownikiem był tu Méndez, rolę zaś cudownej różdżki odegrało zwykle, jak najbardziej ludzkie uczucie: strach.

Naładowano po sam wierzch wszystkie wory. Kacyk polecił przynieść sieci, gęsto splecione z palmowego łyka; pomieściły resztę zapasów. Plon wyprawy był nie do wiary obfity.

Méndez wspaniałomyślnym gestem wytrząsnął na ziemię całą zawartość juku z podarkami. Zalśniła blacha grzechotek, szklane paciorki rozbłysły w słońcu.

- Jeżeli przyniesiecie nam żywność, otrzymacie wiele takich samych, a również i innych, znacznie wspanialszych rzeczy - oznajmił adelantado.

Kacyk wyznaczył tragarzy, Méndez sformował oddział. Uginających się pod ciężarem juków Indian umieszczono dla wszelkiej pewności w samym środku kolumny marszowej.

W Betleem powitano oddział pełnymi zachwytu okrzykami. Tyle świeżego jadła nie widziano tu od całych miesięcy. Obdarowani grzechotkami Indianie pobiegli co tchu z powrotem.

Kolumb śledził rozjarzonymi oczyma wnoszone do toldy trofea.

- Wspaniale - wykrzyknął - już nam głód nie zagrozi! Mendez jednak był odmiennego zdania.

- Na jeden raz sztuka, wasza miłość - rzekł posepnie.

- Skąd to mniemanie? - spytał Kolumb poważniejąc.

- Wolałbym się okazać fałszywym prorokiem. Ale jeśli mogliśmy zjednać sobie Indiosów, to już tę możliwość straciliśmy. Zbyt wielu ich zginęło. Teraz nam się powiodło, nie spodziewali się naszych odwiedzin, ale powtórna wyprawa nie przyniosłaby nic. Ręczę, że już w tej chwili ukrywają resztę swych zapasów, że obstawili całą okolicę zwiadowcami. Będą czuwać dzień i noc. Nie pozwolą się zaskoczyć.

- Jako żywo tak uczynią - potwierdził smętnie adelantado - nasze podarki nie zdołały ich obłaskawić.

W CHACIE NARAD

Dni biegły zwyczajnie. Kanoë rybaków wypływały i powracały z Wielkiej Słonej Wody, myśliwi wyruszali na łowy, zaostrzone końce wykonanych z twardych korzeni motyk rozgrzebywały ziemię, wydobywały bulwy patatów i ache.

Czarownik stawiał wieszczego koguta przed rozsypnym ziarnem, by się dowiedzieć, czy powietrze będzie łaskawe dla rybaków i czy myśliwi nie powrócą z łowów z pustymi rękami.

Zastępy wojowników trwały w pogotowiu, ale z Chaty Narad nie padał rozkaz wyruszenia w pochód, a na twarzy Kibiana wciąż jeszcze nie było barw wojny.

Od ostatniego starcia z wojownikami Auriry i Kobrawy minęło już wiele miesięcy. Wspomnienie tej walki rozplomieniało krew w żyłach. Gęsto padali wrogowie, gęsto padali również swoi. Ale głowy postradali tylko wojownicy Auriry i Kobrawy. Pierzchli z pola, pozostawiając zabitych i rannych. I rannym, i zabitym odjęto głowy. Przez oczyszczający dym przeszło ich tyle, ile palców posiadają u obu rąk trzy dziesiątki ludzi. Teraz dumne trofea zdobią ostrokół otaczający chaty na świętym wzgórzu.

Księżyc wiele razy przetoczył się po niebie, nadpłynęli ludzie o białych twarzach, w wioskach plemienia Kibiana życie płynęło tak, jakby w ogóle nie było wojny. A jednak...

O zmierzchu rozpoczynał się w Chacie Narad tajemniczy ruch. Niczym spod ziemi zjawiali się wojownicy. Potrafili stąpać ciszej niż cienie. Ich broń skąpana była we krwi,

niektórzy odwijali liście kryjące okrągłe przedmioty - martwe głowy wyszczerzały zęby w przedśmiertnym grymasie.

Czarownik nakładał maskę. Palce jego błędziły bez trwogi po twarzach, z których już uleciało życie.

- Śmiertelni są, jako i my - mówił. - Ciało ich takie samo i taka sama kość, i taka sama krew. Tylko skóra biała.

Dym oczyszczający wznosił się z ognia roznieconego na glinianej podłodze Domu Tajemnic. Białolice głowy wieszano wysoko wśród poszycia palmowego dachu. Jeszcze nie czas, by mogły je oglądać oczy wszystkich ludzi plemienia. Za wcześnie na ozdobienie nimi ostro zaciosanych kołów palisady. Białolicy byli śmiertelni i ostrze dzirytu, jeśli nie trafiło na twardą skorupę, otwierało im żyły. Ale czarodziejski ogień wciąż jeszcze budził lęk Kibiana i jego wojowników.

Jeżeli wielu Indian opadnie jednego białolicego, oddaje on głowę. Ale walka jednego przeciw jednemu kończyła się zawsze śmiercią czerwonoskórego. Nie pomagało wielkie serce, nie pomagała sprawność ramion ni celność oka.

Ludzie przybywający z mroku często przynosili wieść o tych, którzy nie powrócą już nigdy. Z niejednej chaty dobiegało przeciągłe zawodzenie żałobnych pień. Tak nakazywał obyczaj, choć śmierć poniesiona w walce jest śmiercią piękną, która opromienia imię poległego nieśmiertelną chwałą.

Kibian obliczał siły. Białolichych nie było więcej niż palców u rąk dziesięciu i jeszcze pięciu ludzi. Ale służył im ogień, co spopiela, i jeszcze ten, straszniejszy od innych, który drzemał na Wielkich Skrzydlatych Kanoë...

Wojownicy plemienia Kibiana mogli zwyciężyć w walce z wszystkimi ludźmi Auriry i Kobrawy, nie potrafiliby jednak zdławić w jednej chwili białolichych. W jednej chwili - to był warunek powodzenia. Jeśli obcy przybysze zdołają odeprzeć atak, wówczas, rozplomieni wściekłością, staną się jeszcze straszniejsi. Śmierć i zagłada rozleje się po wszystkich ziemiach Yeragui.

Lecz jeśli białolicy pozostaną, słońce zgaśnie, księżyc stanie się trupią czaszką, życie dla tych, którym go nie zabiorą, będzie męką. Człowiek przestanie być człowiekiem. Jak korzeń ache, będzie rósł i dojrzewał nie dla siebie samego i swoich, ale dla obcych, którzy zechcą po niego sięgnąć. To byłoby gorsze od śmierci.

- Życie musi ulecieć z ich piersi - powiedział Baonacri krzyżując ręce na piersiach. Oczy jego płonęły ogniem.

- Musi - potaknął Ku-ceiba-paity - albo niech odpłyną na swych skrzydlatych kanoe tam, skąd przyszedli.

- Nie powinni odpłynąć - odezwał się Patian. - Wojowników plemion Veragui jest wiele i jeszcze więcej, białolicych zaś mało i jeszcze mniej.

- Aby ugasić wielkie ognisko, nie starczy wielu kropeł - rzekł Kibian - trzeba, by spłynęła ulewa z chmur.

Ku-ceiba-paity patrzył na niego z uwagą.

- Wojowników Veragui jest zbyt mało, by zwyciężyć białolicych. Zbyt mało - stwierdził ponuro Kibian.

- Ooo, zbyt mało - zmartwili się członkowie rady. Baonacri podniósł się ruchem powolnym i pełnym dostojeństwa.

- Wódz wodzów rzekł: ludzie naszych ziem nie zdołają zwyciężyć białolicych. Cóż więc mamy począć, by na nasze ziemie nie spadła wieczna noc? Pragnęliśmy okazać przybyszom cześć należną bogom. Znosiliśmy im to, co rodzą pola, i to, co złowiły ręce myśliwych. Ale ludzie, którzy mieli na sobie świecący kamień, zniknęli. Najpierw Cha-ne-scoo, potem inni i jeszcze inni. Myśleliśmy, że połknęły ich Wielkie Skrzydlate Kanoe. Potem jednak znaleziono ich ciała przykryte ziemią i trawą. Zostali pozbawieni życia, choć nie uczynili białolicym nic złego. Choć przyszedli do nich z darami i pokłonem. Nasze żony i córki zawodzą w chatach białolicych. Jedną z nich zabito i schowano w płytkim dole, który odkryli nasi zwiadowcy. W końcu zostaną zabite wszystkie, a białolicy przyjdą, by zabrać inne. Zgładzą mężów, zgładzą ojców i braci. Chaty nasze spłoną od czarodziejskiego ognia. Czyż mamy oczekiwać z beczynnie założonymi rękami, aż się to stanie?

Usiadł.

Wtedy przemówił Kibian:

- Ku-ceiba-paity zawiódł białolicych na ziemie Auriry, ku skałom, które rodzą świecący kamień.

- Zawiodłem. Ale zebrali tyle, ile może unieść dziecko, i więcej tam nie powrócili.

- Dopytują jednak nadal każdego, gdzie się znajduje świecący kamień, i zabijają ludzi, którzy go mają na sobie.

- Tak czynią - potwierdzili wodzowie.

- Ku-ceiba-paity wskazał im drogę do krainy Maya, gdzie stoją wielkie kamienne chaty. Powiedział, że jest tam wiele kamienia, który świeci. Że mieszkańcy tamtych ziem noszą na ciele twarde skorupy i posiadają mnóstwo cudownych i wspaniałych rzeczy.

- Tak powiedziałem. Słowa moje ludzie z wysp przełożyli na mowę białoliczych. Pojęli je. Poznałem to po ich oczach.

- Pojęli, a przecież nie wyruszyli ku krainie, o którą nadal wypytują wszystkich. Nie chcą opuścić naszych ziem.

- Nie chcą - ciężko westchnęli wodzowie.

- Nie odejdą stąd nigdy z własnej woli! - wykrzyknął Baonacri.

- Trzeba zebrać wszystkich wojowników tych ziem - powiedział z namysłem wódz wodzów.

Na ścianach chaty drgał czerwony odblask płonących głowni aloesu.

- Co ma na myśli Ten, Który Wydaje Rozkazy? - zapytał Baonacri.

- Wszystkich - rzekł z mocą Kibian - i naszych, i tych, którzy w 4ej chwili kierują swój oręż przeciwko nam. Trzeba, żeby go zwrócili przeciw obcym.

- Włócznia wojny... - zaczął Baonacri, Kibian jednak przerwał mu w połowie zdania.

- Włócznia wojny została wykopana. Ale przecież można ją zakopać z powrotem. Zagłada grozi tak samo plemionom Auriry i Kobrawy, jak i nam. Muszą to pojąć. Być może, już pojęli. Oddziały ich nie nachodzą naszego kraju.

- Liżą rany - mruknął lekceważąco Baonacri.

- Nie - zaprzeczył Kibian twardo - wiem, że tak nie jest. Mają dość sił, by nas zaatakować. Wtedy przegrali walkę, ale nie zostali pokonani. A przecież nie czynią nic, by pomścić swą porażkę. Wojownicy czekają w swych chatach na rozkaz, który nie przychodzi.

- Tak jak u nas - Baonacri zamyślił się głęboko.

- Tak jak u nas. Oni czekają i my czekamy. Ale nie na walkę pomiędzy naszymi plemionami. Wielkie kanoe białoliczych zwinęły swe skrzydła u naszych brzegów. Musimy połączyć siły, by ocalić życie i wolność. Któraś ze stron winna uczynić pierwszy krok i przesłać słowa zachęty.

- Ale przecież nie my, którzy zwyciężyliśmy - zaperzył się Eonacri.

- Właśnie my i właśnie dlatego, że zwyciężyliśmy - odparł spokojnie Kibian. - Z ich strony byłaby to czołobitność pokonanego, z naszej szlachetność zwycięzcy.

Długo trwało milczenie. Wodzowie patrzyli w głąb swoich myśli. Pierwszy przerwał ciszę Baonacri.

- Niech się tak stanie - rzekł głośno.

- Niech się tak stanie - powtarzali inni.

Aloes zaczął przygasać. Nie dorzucano już nowych szczap do świętej czaszy. Narada była skończona.

Tej samej nocy posłańcy ruszyli w kierunku ziem Auriry i Kobrawy. Jeden z nich niósł włócznię o bogato inkrustowanym drzewcu z tkwiącym u nasady ostrza pęczkiem różnobarwnych piór. Była to włócznia Kibiana. Dowód, że słowa, które zostaną powtórzone wodzom obcych plemion, pochodzą z jego ust.

*

Z samego rana przybył do Chaty Narad kacyk wsi Karia. Głowy jego nie zdobił pióropusz, barwy starte były z twarzy, włosy posypane popiołem na znak smutku i rozpacz.

- Przyszli białolicy i odebrali nam żywność - oznajmił żałośnie. - Ludzie mojej wsi cierpią głód.

Kibian dowiedział się dużo wcześniej o tym, co zaszło. Miał zaufanych we wszystkich podległych mu wsiach. Wódz wodzów musi wiedzieć, co się dzieje na jego ziemi. Zapytał jednak: - Odebrali wam żywność przemocą?

- Przemocą - zawodził kacyk. - Skierowali na nas swój czarodziejski ogień.

Kibian zmarszczył brwi. We wsi Karia pozostało jeszcze sporo żywności, tylko dobrze ukrytej. Kacyk był nie tylko tchórzem, ale i kłamcą. Cóż, ludzie sami obierali kacyków swych wsi i tego wyboru nie mógł nikt zmienić. Ani Rada, ani nawet wódz wodzów. Tak było zawsze, od początku wszystkich dni.

- Białolicy skierowali więc czarodziejski ogień na mieszkańców wsi Karia? - zapytał Kibian, chcąc dać kacykowi możliwość powrócenia na ścieżkę prawdy.

- Tak.

Żrenice Kibiana zwęziły się.

- Ilu wojowników wsi Karia straciło życie od czarodziejskiego ognia białoliczych?

Kacyk zmieszał się, ale wciąż trwał przy kłamstwie.

- Nikt nie stracił życia. Wojownicy zdążyli uskoczyć za pnie drzew. Jedno z nich zostało ścięte czarodziejskim ogniem. Niech wódz wodzów wyda rozkaz, aby dano nam wiele i jeszcze więcej ryb, patatów i ache. Głód bowiem pozbawia moich ludzi resztek sił, a nie mają czym napęłnić pustych brzuchów.

- Wódz wodzów nie wyda takiego rozkazu - oznajmił chłodno Kibian. - Mieszkańcy wsi Karia mogą sami nałowić sobie ryb w Wielkiej Słonej Wodzie. Nie brak im ani kanoe, ani sieci. Sami również potrafią upolować zwierzynę.

- Ale pataty? Ale ache? - po twarzy kacyka spływały łzy. I łzy te były tak samo fałszywe, jak jego słowa.

- Czy wódz wodzów ma przybyć we własnej osobie do wsi Karia, by wskazać, gdzie są ukryte pataty i ache? - spytał twardo Kibian.

Kacyk cofnął się jak przed uderzeniem. Twarz jego zszarzała.

- Ponieważ jednak - ciągnął Kibian - uszy moje słyszały, że wojownicy wsi Karia nie mają czym napęlić swych pustych brzuchów i tracą resztki sił, niech przybędą tutaj, nim słońce zajdzie, wraz z bronią. Ma być ich nie mniej niż dziesięć razy po dziesięć. Zostaną nakarmieni.

- Czy kacyk wsi Karia ma przybyć na ich czele?

- Kacyk zostanie w swojej wsi, do której teraz powróci szybkim krokiem.

Odszedł, żegnany śmiechem i szyderczymi okrzykami. Baonacri splunął z odrazą.

- I taki człowiek ma poprowadzić wojowników przeciw białolicym? - spytał cicho.

- Taki człowiek nie poprowadzi wojowników przeciw nikomu - zaprzeczył Kibian. - Będzie pilnować niewiast i niedołączonych starców. Do niczego więcej nie jest sposobny.

- A zatem, nim słońce zajdzie, przybędą tu ludzie z najbliższych wsi. Kiedy więc wyruszymy?

- Gdy tylko nadejdą wieści od plemion Auriry i Kobrawy - odpowiedział Kibian.

OSTATNI ATUT

Kolumb wciąż jeszcze nie był zdrow. Medykamenty przepisane przez Bernala niewielką przynosiły mu ulgę. Łykał je jednak o przepisanej porze, odmierzając skrupulatnie krople. Musi wytrwać do chwili, gdy armada zarzuci kotwie u brzegów Kastylii.

Powie wówczas królowi: „Tylko ja jeden znam drogę do złotodajnej krainy Veragua. Ten, kto próbowałby doprowadzić tam armadę, musiałby po raz wtóry odkrywać te ziemie. I nie potrafiłby tego dokonać, chyba jeno przy pomocy proroczego natchnienia. Wasze królewskie wysokości staną się władcami tych ziem, tak jak są władcami ziem Xeresu czy Toledo. Nie śmiem twierdzić, że odkryłem prąródło złota. Ale nie powiadam wam wszystkiego co wiem. Nawet nie szóstą część całej prawdy. Chyba zrozumiałe jest, dlaczego tak postępuję. W każdym razie złota jest tam mnóstwo. A złoto to doskonałość. Ten, kto nim włada, może uczynić wszystko, co zechce. Choćby nawet wprowadzać dusze ludzkie do rajów”.

W ten sposób da do zrozumienia, że jeżeli król nadal zechce uprawiać wobec niego swą wiarołomną politykę, poradzi sobie równie dobrze i bez niego. Złoto Veragui stanowiło potężny atut. Nie zaszkodzi przy sposobności napomknąć o Genui i Wenecji. Wszystkim wiadomo, że każde z tych państw przyjęłoby chętnie protektorat nad nowo odkrytymi ładami. A przecież flota wojenna Republiki Genueńskiej należała do najpotężniejszych na świecie. Cóż znaczyła wobec niej hiszpańska armada, osłabiona na domiar działaniami wojennymi przeciw Francji?

Tak więc on będzie dyktował warunki. Nie biskup Fonseca, nie kanclerze, nie królewska para, tylko on sam. Nie pozwoli, aby po raz drugi odebrano mu owoce jego trudów i odkryć.

Spędzał długie godziny nad mapą. Eratostenes z Cyreny, rzecz jasna, nie mógł mieć racji przyjmując, iż długość stopnia południka wynosi 18,5 morskiej ligi. Najbliższy prawdy był Ptolomeusz. Stopień południka nie mógł liczyć więcej niż 14,5 ligi morskiej, dokładnie rzecz biorąc - $56 \frac{2}{3}$ włoskiej mili. Inaczej obliczenie odległości od Kastylii w stopniach nie zgadzałyby się z niczym i lądy, które Kolumb odkrył, zawisłyby w bezsensownej próżni. Od wieków wiadomo, że świat jest mały. Sześć siódmych jego obszaru zajmują lądy, a tylko jedną siódmą morza.

Wciąż jednak najwięcej trudności sprawiało mu obliczenie długości stopnia. Dziewięć lat temu, we wrześniu 1494 roku, podczas obserwacji zaćmienia księżyca u brzegów Hispanioli Kolumb obliczył, że różnica czasu między Hiszpanią a Kadyksem wynosi tylko pięć godzin i 23 minuty. Musiał popełnić jakiś błąd. Różnica powinna sięgać co najmniej dziewięciu godzin.

Upił trochę wina z kruży. Mozolnie rysował siatkę na mapie.

Gdy do toldilli wszedł Bartholomeo, Kolumb nie przerwał pracy.

- Notariusz przystąpił do rekonstruowania z pamięci swych notatek - rzucił po chwili.

Don Bartholomeo zaniepokoił się.

- Ale chyba nie tych... najważniejszych?

- Nie - uśmiech Kolumba był nader chłodny - nie tych, na podstawie których zdołałby wykreślić drogę do Veragui. W przeciwnym razie łatwo mogłoby się wydarzyć, że ponownie jakimś sposobem je utraci.

- Znasz dokładnie treść tego, co pisze notariusz? - spytał szeptem adelantado.

- Tak. Dostatecznie dokładnie.

Umilkli. Don Bartholomeo przeglądał opis Veragui sporządzony przez brata.

- Piszesz - podniósł głowę - że Indiosi noszą odzież z cienkiej bawełny. Nie mają przecież żadnej odzieży.

- Czyś sam nie słyszał, że na ziemiach położonych bliżej Kataju tkają nawet złotogłów?

Owszem, don Bartholomeo słyszał opowieści Indian o przetykanych złotem tkaninach, które noszą ludzie mieszkający za górami. Nie widział ich jednak ani on, ani nikt inny.

- Twierdzisz - podjął adelantado, nie odrywając wzroku od rękopisu - że tutejsi ludzie nie wyznają żadnej religii?

- Tak twierdę.

- Jednak... - zawahał się - czarownicy, obrzędowe maski, bębny. Ofiary składane duchom...

- Gusła - mruknął niechętnie Kolumb. Don Bartholomeo potrząsnął głową.

- Wróżby, wieszce koguty, owszem. Ale obrzędowe tańce? Dawnymi czasy w chrześcijańskich świątyniach też odprawiano tany. A maski, bębenki, posążki - czyż nie stanowią przedmiotów kultu? Pienia Indiosów są, być może, czymś w rodzaju litanii czy inwokacji do bóstw, w których istnienie wierzą. Werbel czarodziejskiego bębna zastępuje im grę organów. Wierzą w raj. „Po śmierci człowiek odchodzi tam - mówią - gdzie słońce wiecznie świeci, gdzie nie ma burz ni deszczów, gdzie jadlo samo wpada do gardła”. Nas przecież też początkowo uważali za przybyszów z niebios i oddawali hołd niczym bóstwom. Czczą swoich zmarłych. Wybacz - położył ostrożnie na stole plik arkuszy - ale moim zdaniem to wszystko razem jest jednak religią.

Kolumb długo nie odpowiadał. Przeszedł się kilka razy po toldilli i przystanął przed bratem, kładąc mu dłoń na ramieniu.

- Może i masz rację, Bartholomeo - rzekł - ale dla tych w Kastylii człowiek, który w nic nie wierzy, łatwiej staje się chrześcijaninem. Pojmujesz?

- Polityka? - skrzywił się adelantado.

- Polityka. Do czasu musimy politykować. Bartholomeo nie był przekonany.

- Nie rozumiem, co chcesz przez to osiągnąć - rzekł. - Przypłyną tutaj, zobaczą, że powiadałeś nieprawdę. Pamiętasz, jak było z Hispaniolą? I wtedy pisałeś: „Mężczyźni wspaniale odziani, kobiety w szarawarach z muślinu”. Zastali gromadę nagusów. Cóż dziwnego, że podniósł się krzyk na całą Hiszpanię?

- Gdy armada powróci ku tym lądom, ja będę tu panem - powiedział twardo Kolumb. - W moim ręku znajdą się złotodajne ziemie. Złoto potrafi zatkać gęby największym krzykaczom. Już nawet sam jego widok. Już nawet sama wieść, że się je posiada w niezmiernej ilości. Być może wtedy... - urwał.

Adelantado spojrzał nań pytająco.

- Być może - szepnął admirał - nie będę wtedy dbał o Hiszpanię, jej kanclerzy, biskupów i... królów.

Bartholomeo zdumiał się.

- Wysoko sięgasz - zniżył głos. Kolumb uderzył pięścią w notatki:

- Na Świętą Trójcę! - wykrzyknął - ja odkryłem te ziemie. Tylko ja i nikt więcej! Żaden z półtorasta ludzi załogi nie potrafiłby wskazać ku nim drogi. Nie pozwolę, żeby

odpędzano mnie od nich, jak odpędzono od brzegów Hispanioli. Żeby biskup Fonseca znowu wydał sporządzone moją ręką mapy różnym Ochedom, Pinsonom czy innym awanturnikom. Dość tego!

Korona wszystko ma za nic! Łamie swoje najuroczystsze zobowiązania! Najwyższy czas, aby na podstęp odpowiedzieć podstępem. Na siłę siłą!

Adelantado oddychał szybko.

- Dopóki jednak żyje królowa... - wyszeptał zmieszany.

- Nawet jej nie dowierzam. Nikomu już nie dowierzam - na policzki Kolumba wystąpiły ceglaste rumieńce - nikomu! Zresztą ponoć śmiertelnie chora. Lada chwila zamknie oczy, a wtedy?

Don Bartholomeo milczał.

KREW NA POKŁADZIE

Była noc. Na pokładzie „Kapitanów” panowała niezmacona cisza, nawet pełniący wachtę dispenser drzemał w zacisznym kącie.

Kristobal chrapał w najlepsze, gdy ktoś targnął jego ramieniem. Usiadł na barłogu.

- Kto? - bełkotał nieprzytomnie - kto?

- Wstawaj! - usłyszał przenikliwy szept - każda chwila jest droga.

Kristobal przetarł oczy, poznał Mercana.

- Czego budzisz ludzi po nocy?

- Każda chwila droga - powtórzył Mercano - nasze głowy w niebezpieczeństwie.

Ruszaj.

Kristobal w jednej chwili otrzeźwiał. - Zdobyłeś mapy i konotatki? - Pociągnął kamrata ku wyjściu.

- Mam wszystkie - szepnął Mercano. - Uważaj, obudzisz ludzi. Idziemy.

- Dokąd?

- Na „Santiago de Palos”.

Duszny mrok kasztelu, nasycony ciężkimi oddechami śpiących, pozostał za nimi. Ale Kristobal nie zdradzał ochoty do nocnej wycieczki.

- A skąd łódź? Rozumu się pozbyłeś? Po ciemku przez wodę? Nie umiem pływać!

- Ciszej - Mercano zacisnął twardo palce na jego ramieniu. - Gardłowa sprawa. Musisz mi pomóc. O łódź mech cię głowa nie boli.

Stanęli przy wykroju burty. Kristobal poczuł trwogę. Pobyt w ciemnicy nie nadwątlił energii sewilskiego złodzieja. W dzień po opuszczeniu ładowni ponowił próbę włamania do toldilli don Bartholomea. Po cóż mu jednak pomoc? Kristobal nie lubił narażać własnej skóry.

Ale oczy Mercana błyszczą tak ponurym ogniem, że uznał za bezpieczniejsze nie sprzeciwiać się dłużej. Co dla takiego pchnąć nożem...

Zeszli ostrożnie po sznurowej drabinie. Na wodzie kołysało się indiańskie kanoe. Mercano wyjął spod pachy zawiniątko i obwiązał łopaty wiosel szmatami. Resztę szmat rzucił na dno łodzi.

- Na co ci to? - Kristobal obserwował poczynania Mercana szeroko rozwartymi oczyma.

- Milcz. Głos na wodzie idzie daleko.

Wiosła zanurzyły się w falach rzeki. Płynęli ku stojącemu nieopodal „Santiago”. Zawieszane u podstawy wielkiego masztu latarnie kołysały się na wietrze. Łódź minęła bezszelestnie sznurową drabinę i zatrzymała się pod tylnym wygięciem kadłuba. Mercano szukał czegoś w ciemności, wreszcie namacał zwisającą u rufy linę. Przytrzymał ją oburącz.

- Włóż! - syknął.

Kristobal spojrział w górę i przeraził się. Okienka toldilli majaczyły, zdawało się, na niebosiężnej wysokości.

- Spadnę! - jęknął.

- Musisz! Prędejsz! - ponaglał Mercano. - Lina nie jest gładka, węzły jak szczeble.

Kristobal, polecivszy duszę Bogu, zaczął się wspinać. Spocił się jak mysz, nim ręce dotknęły balustrady otaczającej platformę toldy. Przelazł niemrawo przez poręcz i stanął chwiejnie na pokładzie. Dookoła pusto.

Lina naprężyła się. Teraz wspinał się Mercano. Czynił to zdumiewająco cicho, choć nikt nie przytrzymał drugiego końca liny. Skoczył lekko na pokład. Wyciągnął zza kaftana kłęb szmat. Ociekały wodą, musiał je tęgo wymoczyć. W jakim celu?

Mercano stał przez chwilę bez ruchu. Nasłuchiwał.

- Idziemy - szepnął.

Schodkami przedostali się na platformę toldilli. Pod Kristobalem skrzypnął drewniany stopień. Mercano złapał go za rękę, przytrzymując w miejscu. Stali nasłuchując. Cisza. Ruszyli dalej. Jeszcze chwila bezszelestnej wędrówki i Mercano znowu się zatrzymał.

- Tu.

Na pokładzie, w odległości niespełna dwóch kroków od drzwi toldilli, rozciągnięta nieruchomo sylwetka. Kristobal poczuł, jak skóra na nim cierpnie.

- Trup?

- Milcz - oddech Mercana oparzył mu ucho - nie przyszliśmy na pogwarki. Pomóż go odciągnąć.

Kristobal przełknął ślinę. Cóż było począć. Ujął za zimną rękę. Zwłoki wydawały się ciężkie jak kamień. Już nie krwawiły. Za to na deskach wielkie plamy zaskrzepłej krwi. Dopiero teraz zrozumiał przeznaczenie mokrych szmat. Zaciekle tarli drewno. Nie szło łatwo. Miejscami musieli skrobać nożem. W końcu przecież ślady krwi zostały usunięte. Mercano przyjrzał się krytycznie - ujdzie. Zakrwawione strzępki poleciały za burtę. Muliste nurty przetaczały się leniwie, ale przecież do świtu chyba zdążą unieść szmaty ku morzu.

- I co teraz? - Kristobal unikał patrzenia w kierunku nieruchomej postaci.

- Zabierzemy go na łódź.

- Nie lepiej wprost do wody?

- Nie, na tej płyciźnie od razu wymacają.

Zawiązali sznur pod pachami zabitego, przerzucili go za burtę. Ostrożnie opuścili ciało na dno łodzi, po czym zsunęli się sami. Mercano ściągnął linę. Odbili.

Owinięte szmatami łopaty wiosła rozgarniały bezgłośnie wodę. Łódź zbliżała się do brzegu.

- Straże - przypomniał Kristobal.

- Zbądź się obaw. Wiem, gdzie stoją.

- Co z nim zrobimy?

- Zaniesiemy w gęstwę.

- Mimo straży?

- Właśnie. Znajdą go w lesie, pomyślą, że Indiosi. Rozumiesz?

- A jeśli nas dostrzegą?

- Rzucamy ciało i w nogi. Zajmą się nim, a nie nami. Ujdziemy bez trudu.

- Czemuś go zadźgał?

- Nie było innego sposobu - Mercano ani na chwilę nie przestawał wiosłować - capnął mnie za kark, gdy wychodził z mapami za pazuchą.

- Nie mogłeś umknąć.

- Nie. Zresztą, co by to dało? Miał latarnię i zaświecił mi prosto w twarz. Potem zdmuchnąłem świecę.

- Twoje szczęście, że nie zdążył krzyknąć.

- Nie chciał krzyżeć. Mógłby przecież od razu zawołać ludzi. To mnie ocaliło. Widać miał zlecenie, by potajemnie baczyć na toldillę adelantado.

Kristobal poruszył się niespokojnie. Człowiek admirała? Tego tylko brakowało.

- Kto taki? - wykrztusił.

- Juan Bolio.

Milczeli chwilę zajęci niewesołymi myślami. Obaj wiedzieli co im grozi. Admirał nie miał zwyczaju pobbłażać swoim wrogom.

Dziób kanoe otarł się miękko o błotnisty brzeg. Wskoczyli, wyciągnęli łódź. Wydobyli ciało. Dźwignęli je i nieśli ostrożnie. Ciemno, nawet odbłasku strażniczych ognisk nie widać.

Już byli na skraju wsi.

- Straże! - Mercano wskazał ledwo widoczną w ciemności kępę drzew.

- Gdy odejdą w lewo, przeskoczmy.

Odgłos ciężkich kroków. Idą w prawo. Przystanęli. Ruszyli z powrotem.

- Teraz! - syknął nagląco Mercano. Pobiegli co tchu. Zatrzymali się w głębi lasu. Zrzucili ciało liśćmi, otarli ręce.

Po raz drugi minęli nie zauważeni Unię straży. Kanoe czekało na nich przy brzegu. Wkrótce leżeli na swoich barłogach. Łódź, puszczona wolno, spłynęła z nurtem ku morzu.

OBIE STRONY PONOSZĄ PORAŻKĘ

Pukanie do drzwi. Kolumb podniósł się niechętnie. Wszedł don Bartholomeo.

- Znów ktoś włamał się do mojej toldilli - zawołał.

- I do sepetu również?

- Tak.

Kolumb uśmiechnął się lekko.

- Zabrali te mapy i te konotatki?

Don Bartholomeo przytaknął. - Twój pomysł był wspaniały - dodał z niekłamanym zachwytem - myślą, że zdobyli i mapy, i opisy, i obliczenia, w rzeczywistości zaś nie mają nic.

- Mniej niż nic. Fałszywy drogowskaz często prowadzi prosto w przepaść. Gdyby próbowali na podstawie tych danych wykreślić kurs powrotny, dopłynęliby... na dno morza.

- Przejrzą jednak w końcu podstęp. Jeśli nawet nie kapitan Francesco, to don Diego. To chytra sztuka. Nie da się okpić.

- I cóż z tego? Karty przez toinie staną się prawdziwe. Nagle ściągnął brwi, zastanawiając się nad czymś.

- Kiedy dokonano kradzieży? - zapytał.

- Nie wiem. Może dziś, może wczoraj. Zatrzymałeś mnie na noc u siebie, nie brakło im sposobności ni czasu.

- Dziwne, że mi o niczym dotychczas nie doniesiono - rzekł w zamyśleniu Kolumb.

- Kazałeś pilnować mojej toldilli?

- Rzecz jasna, że tak. Coś w rodzaju nastawionej pułapki. I nie wierzę, by ten człowiek zaniedbał swych obowiązków. Nie widziałeś dziś Bolia?

- Juana?

- Tak.

- Nie. Więc to on? Że też sam nie odgadłem. Kolumb klasnął w dłoń.

- Pedro!

Rękodajny zjawił się tak szybko, jakby czekał na wezwanie tuż pod progiem.

- Co wasza miłość rozkaże?

- Weź łódź i sprowadź mi Juana Bolio z „Santiago de Palos”. Tylko duchem. Sprawa nie cierpiąca zwłoki.

- Już biegnę!

- Nie pojmuje, dlaczego sam nie przyszedł - szepnął Kolumb.

Siedział nieruchomo, patrząc na piasek przesypujący się powoli w klepsydrze. Z ledwo dostrzegalnym szelestem przeleciało ostatnie ziarnko. Odwrócił ampuły. I znowu złocisty strumyk zaczął spływać na dół. Kolumba zaczął ogarniać niepokój. Zerwał się, rozpoczynając nerwową wędrówkę po toldilli.

- Powinni już być tu dawno - znowu przekreślił ampóllete - obawiam się, czy nie zaszło coś złego.

Don Bartholomeo nawet nie podniósł głowy. Badał z uwagą siatkę wykreśloną przez brata na mapie.

- Co mogło zająć? - rzucił leniwie. Kolumb nie odpowiedział.

Wreszcie w drzwiach stanął Pedro. Sam.

- Juana Bolio nie ma na okręcie - zameldował przyciszonym głosem.

- Poleciałeś, żeby szukano go wszędzie?

- Tak jest.

- Wezwij Mendeza.

- Pewno Bolio zeszedł na ląd - powiedział don - Bartholomeo, gdy rękodajny opuścił toldillę.

Admirał potrząsnął głową.

- Gotów jestem przysiąc, że nie opuścił z własnej woli okrętu.

- Więc? - don Bartholomeo spojrzał na niego z ukosa. Niepokój brata zaczął mu się powoli udzielać.

- Musimy to zbadać.

Mendez użył niemal tych samych słów. Bynajmniej nie potraktował sprawy lekko.

- Dałbym głowę, że Juan nie zszedł z okrętu bez pozwolenia - rzekł. - To do niego niepodobne.

Wziął łódź, popłynął na „Santiago de Palos”, zaczął rozpytywać ludzi. Despensero Santez, który wydzwaniał ampolletas, jako że miał drugą nocną wachtę, spotkał Bolia o północy. Bolio miał ze sobą latarnię.

- Co robił? - spytał Mendez.

- Chyba nic specjalnego. Zresztą, czy ja wiem. Jakby czegoś szukał pod przednim masztem. Ale może i nie szukał, tylko tak sobie chodził.

- Potem go już nie widzieliście?

- Nie - Santez miał nader stropioną minę - sam zachodzę w głowę, gdzie by się mógł podziać. Łodzi nie mieliśmy, jako że zabrał ją adelantado. Stała uwiązana u waszej schodni. Więc co się z nim stało?

- Tego właśnie chciałbym się dowiedzieć. Czy latarnię wziął z toldy?

- Nie, miał własną.

- Poszukajmy więc choć latarni.

Znaleźli ją na platformie toldilli, ukrytą pod kolumienkami. Méndez odsunął szybę. Świeca wypalona była ledwo w czwartej części. Zamyślił się. Ktoś zabrał z sepetu adelantado mapy. Juan musiał go widzieć. Zatrzymał złodzieja. Wywiązała się walka zakończona śmiercią Juana. Ale w takim razie gdzie popełniono mord?

Mendez zaczął powoli obchodzić platformę toldilli. Nagle zatrzymał się.

- Kto wydał polecenie mycia tych desek? Despensero nachylił się.

- Zaiste, myte, i to całkiem niedawno.

- Całkiem niedawno - potwierdził sucho Mendez - najwyżej przed paroma godzinami.

Skrobano je także - wodził palcami po chropowatym drewnie.

Despensero pobladł gwałtownie.

- W nocy?

- W nocy.

Mendez przyklęknął i wyciągnawszy sztylet z pochwy, wydłubał końcem ostrza odrobinę rdzawego pyłu ze szczeliny pomiędzy deskami. Roztarł go w palcach, długo przyglądał mu się zmrużonymi oczyma, wreszcie powąchał.

- Krew. Też niezbyt dawno zakrzepła.

- Krew! - despensero patrzył nań z przerażeniem. Mendez otrzepał palce, wstał. Obszedł węgiel toldilli. Badał skrupulatnie poręcz. Nie szukał długo - Znalazł wąskie, delikatne otarcie. Końcami paznokci zdjął lewo widoczne włókno konopi. Potem drugie.

Rozwiązanie nasuwało się samo: lina! Nie przerzucono trupa przez burłę, tylko spuszczonego na sznurze. Dlaczego? Jedyna łódź armady przez całą noc uwiązana była u schodni „Kapitanów”. Pozostałe okręty nie posiadały ani szalup, ani tratwy. A więc zabójcą był ktoś z „Santiago de Palos” albo z flagowej karaweli.

Mendez zszedł do łodzi, zabierając ze sobą Quintarra i Rolleja.

Spływali wolno w dół rzeki, sondując tyką dno. Dopłynęli do ławicy zamykającej ujście, nie znajdując niczego. Wracali wzdłuż przeciwnego brzegu. Sondowali z podobnym skutkiem. A zatem ciała Juana Bolio szukać należało na brzegu.

Mendez dobrał jeszcze Garcię, Martineza i Rubro. Zaczęli od prawego brzegu. Ledwo uszli kilkanaście kroków, natknęli się na świeżo poruszoną ziemię. Rozkopali ją. Trup Indiosa. Mendez zaklął po cichu. Zasypano go z powrotem.

Jeszcze kilka takich mogił. Rollejo przeżegnał się.

- Ależ ich nabili. I to nieomal na oczach admirała!

Mendez milczał ponuro. Po krótkim namyśle postanowił zawrócić. Przeszli przez osadę poza linią straży. Rozrzuceni w tyralierę, przedzierali się przez coraz bardziej zbity gąszcz.

I nagle donośny wrzask Rolleja:

- Jest tu!

Mendez zastał go nad podłużnym pagórkiem zeschniętych liści. Rozgarnęli je gołymi rękami. Wychynęła woskowożółta twarz Bolia. Na parcianym kaftanie rdzawa plama zakrzepłej krwi. Zgrzebne portki, byle jakie kaptcie. Nie wybierał się więc na ląd. Takiej odzieży marineros używają wyłącznie na okrętach.

Zbiegli się ludzie. Wieść o tragicznym odkryciu rozeszła się już jakimś sposobem po całej osadzie.

- Indiosi! - krzyknął ktoś z wściekłością.

- Indiosi! - powtórzyli inni. Bolio był powszechnie lubiany. Z każdą chwilą rosło wzburzenie zebranych nad jego ciałem kamratów.

Mendez klęczał przy zwłokach i, odchyliwszy kaftan na skrwawionej piersi, badał ranę.

- To nie Indiosi - oznajmił donośnie - Bolio został pchnięty obosiecznym pugińalem.

Na próżno! Już go nie słyszeli. Ruszyli ławą w kierunku osady. Promienie słoneczne grały na obnażonych klingach.

- Na pohybel poganom! Mendez zerwał się na równe nogi.

- Stać! - huknął. Żaden się nie obejrzał. Wezwał strażę.

- Za wszelką cenę musimy powstrzymać tych szaleńców - zawołał, wyciągając szpadę z pochwy.

Pobiegli co sił.

- Są we wsi jakowś Indiosi? - zapytał Mendez. Sadził wielkimi susami.

- Są - sapnął pędzący obok strażnik - mała gromadka. Powiadają, że z plemienia Kibiana.

Mendez zacisnął zęby, przyspieszył kroku. Nie zdążył jednak. Gdy dopadli brzegu, było już po wszystkim. Na błotnistym nurcie kolebało się kilka indiańskich kanoe. Siedmiu ciemnoskórych leżało bez życia. Sprawcy zdążyli już pierzchnąć. Gdzie ich teraz szukać? Nikt się nie przyzna do winy. Mendez patrzył w ponurym milczeniu na ciała pomordowanych Indian. Pomsta za Bolia, z którego śmiercią ci nieszczęśnicy nie mieli nic wspólnego, mogła drogo kosztować.

Quintarro żuł słowa zbyt dosadne, by je wypowiedzieć na głos. W końcu mruknął:

- Rzeźnia. Ale nam sprawią jeszcze lepszą. Rollejo spojrzał nań z powątpiewaniem.

- Indiosi?

Skinął poważnie głową.

- I prawdę powiedziawszy trudno im się dziwić. Rollejo machnął lekceważąco ręką.

- Na Hispanioli... - zaczął.

- Tu nie Hispaniola - przerwał mu szorstko Quintarro. - Zresztą czas pokaże, czyja racja. Szkopuł jeno w tym, że nie mam ochoty płacić własnym karkiem za cudze winy.

Mendez polecił pogrześć zamordowanych Indiosów i popłynął na „Kapitanów”.

- Znowu przelanie krwi bez potrzeby - Kolumb ukrył twarz w dłoniach - jakże nam szukać zgody z Kibianem. Sprawców nie zdołaliście odkryć?

- Nie - odparł Mendez. - Lepiej nie dochodzić - dodał cicho.

- Dlaczego?

- Było ich kilkudziesięciu. Jakże więc? Zawrzcć połowę załogi w ciemnicy, a drugą postawić na straży? Mniemali, że biorą pomstę za śmierć Bolia. Miał dużo przyjaciół.

- Domyślcie się, kto go zabił?

- Ktoś, kto posiada obosieczny pugińał.

- To niewiele.

- Prawda. Wiem jeszcze, że Indiosi nie mogą mieć z tym morderstwem nic wspólnego. Że zostało popełnione dzisiejszej nocy przed progiem toldilli adelantadc Że sprawca nie należał do załogi „Santiago de Palos”. Że najprawdopodobniej przebywa na pokładzie „Kapitanów”.

Kolumb poruszył się niespokojnie.

- Tu?

- Tak. Rzecz jasna, nie, dam głowy, że tak jest w istocie. Ale wiele znaków na to właśnie zdaje się wskazywać.

Kolumb zgarnął wyłogi kaftana na piersiach, jakby go nagle przeniknął chłód.

- Niemiło wiedzieć, że morderca przebywa tuż obok - szepnął.

- Bezpieczniej jednak wiedzieć. W ten sposób zresztą łatwiej go będzie odnaleźć.

Zamiast stu podejrzanych zostaje tylko dwudziestu paru.

- Masz nadzieję wykryć sprawcę? Mendez rozłożył ręce.

- Nie zdążyłem obejrzeć dokładnie zwłok - powiedział. - Może dostarczy mi to jakichś dalszych wskazówek.

- Słusznie. Więc idź.

Przy zwłokach pełnili straż Quintarro i Garcia, odsuwając drzewcami halabard tych, którzy chcieli podejść zbyt blisko.

- Kontador nie zezwolił.

Mendez przyklęknął i począł ostrożnie rozginać palce prawicy Bolia. Coś jasnego spadło na trawę. Guzik. Zwykły drewniany guzik. Szybkim ruchem wsunął go do mieszka. Być może jest to ślad, który pozwoli ująć mordercę. Być może... Jeszcze przez chwilę badał zwłoki. Nie znalazł już jednak nic więcej.

Podniósł się. U jego stóp leżał bez życia Juan Bolio, człowiek, na którym można było polegać. Obnażył głowę. Reszta poszła za jego przykładem.

- Pogrzebiemy go jutro przed poranną modlitwą - rzekł tylko. - Cieśla przysposobi krzyż i tablicę.

Dopiero na pokładzie „Kapitanów” obejrzał zdobycz. Była cenniejsza, niż początkowo przypuszczał: oprócz guzika strzępki materii wyrwanej wraz z nim. Przyjrzał się jej uważnie. Zgrzebna, niezbyt gruba płótnianka, z której szyto koszule. Kto stracił ostatniej nocy guzik przy koszuli? Należało szukać świeżego rozerwania, łąty bądź cery.

Odwiedził kilku ludzi na okrętach i w chatach. Tych, którzy brali bezpośredni udział w tajemnej grze. Wyjaśnił, w czym rzecz, pokazał guzik.

- Szukajcie. Chodzi przecież i o wasze własne życie. Potem rozmawiał ze wszystkimi dispenseros po kolei. Zadawał im nieodmiennie pytanie:

- Wydawaliście dzisiaj guziki komukolwiek z załogi? Zaprzeczali. Zaprzeczył również Severo. Uczynił to z czystym sumieniem. Czyż mógł przypuszczać, że w czasie jego krótkiej drzemki, tuż przed świtaniem, ktoś obcy zakradł się do toldy? Nocny gość nawet nie spojrział

na skrzynię z prowiantem. Szukał czego innego. Gdy znalazł, zamknął starannie juki i wysliznął się bez szmeru.

Potem, pod osłoną ciemności, wyczyniał rzeczy, które mogłyby nasunąć podejrzenie, że zbył się rozumu. Strzępy pokrajanej nożem koszuli wyrzucił za burtę. Następnie czystą, nową koszulę tarzał w pyłe zalegającym pokład i deptał brudnymi podszewkami. Gdy włożył ją na siebie, przesunął palcami po guzikach. Czy aby który nie odpadł? Były wszystkie. Wyciągnięty na swym barłogu, uśmiechał się triumfująco. Mogą sobie teraz szukać do woli.

Ludzie Mendeza robili, co mogli, nic jednak nie potrafili wypatrzeć. Wiele koszul nie miało guzów, w wielu były dziury i rozdzarcia. Nikt jednak nie stracił guzika akurat ostatniej nocy. W każdym razie nie zdołano tego ustalić.

Mendez brał osobiście udział w poszukiwaniach. Spostrzegł, że Mercano ma na sobie koszulę niemal czarną od brudu i zmiętoszoną, jak ścierka do mycia pokładu, ale z guzikami w komplecie i bez śladu rozdzarcia. Koszula Kristobala w wielu miejscach była podarta, jednakże nie brakowało przy niej ani jednego guzika.

Wymyślił więc jakąś nie cierpiącą zwłoki sprawę, aby odwiedzić „Santiago”. Zamienił parę słów z Sancho i Negro, ludźmi Porrasów. Wszystko wprawdzie zdawało się przemawiać za tym, że morderca przybył z innego statku, ale mogło też być inaczej. Łódź mógł dostarczyć trzeci współnik. A jeśli użyto nie szalupy okrętowej, tylko indiańskiego kanoe? Ostatecznie nie tak trudno je zdobyć.

Badania nie dały nic. Mendez powrócił na „Kapitanów”. Zawezwał go Kolumb.

- I cóż, kontadorze, natrafiłeś na jakiś ślad?

- Niestety. Nawet to, co trzymałem w garści, przeciekło przez palce.

- Więc nic?

- Nic, wasza miłość.

- Nadal żywisz przeświadczenie, że morderca przebywa na pokładzie „Kapitanów”?

Mendez w milczeniu rozłożył ręce. Niczego już nie był pewien. Kolumb zmarszczył gniewnie brwi, nie powiedział jednak nic. Gorzkie, pełne wyrzutu słowa cisnęły mu się na usta, ale nauczył się już panować nad swoimi uczuciami. Miałby stracić tego człowieka? Człowieka, któremu mógł ufać bez zastrzeżeń? Nieraz już w niepoahamowanej gorącoce popełniał czyny, których później żałował. Gasił życzliwość, warzył przyjaźń, niekiedy zmieniał ją we wrogość. Przypomniawszy sobie biskupa Fonsekę. Jakże się dziwić, że biskup żywił dla niego nieprzyjazne uczucia? Kłujące uwagi wobec obcych i wobec niego samego. Wreszcie haniebna scena, do której pamięć powracała niechętnie: Oficjał biskupa rozciągnięty na deskach pokładu uderzeniem pięści. On, admirał i wtedy jeszcze wicekról

lądów, wysp i oceanów, kopie bez opamiętania leżącego, przy wtórze głośnych wrzasków opętańczej wściekłości. Tłumy ludzi na nadbrzeżu, obserwujące wytrzeszczonymi oczyma gorszące widowisko.

Podszedł do Mendeza i położył mu dłoń na ramieniu.

- Tym razem przegraliśmy starcie - rzekł łagodnie - trudno zaprzeczyć. Ale jeszcze nie doszło do ostatecznej rozgrywki. Wtedy zobaczymy, kto zwycięży. Głowa do góry, kontadorze!

Wyszedł z toldilli chwilę po Mendezie. Stał oparty o burtę, patrząc przed siebie. Promienie zachodzącego słońca zabarwiły brunatny nurt soczystą czerwienią. Jakby nagle woda buchnęła żywym płomieniem. Słomiane dachy chat gorzały w świetle zamierającego dnia niczym czerwone złoto espadina.

*

W toldilli kapitana Francesco de Porras światło płonęło długo w noc. Okno szczelnie zasłonięte oponą z grubego aksamitu, na stole mapy, obok gęsto zapisane arkusze.

Notariusz przysunął ku arkuszom niewielką kartkę papieru i wpatrywał się w nią z uwagą.

- Charakter pisma adelantado - orzekł wreszcie.

- Więc cóż z tego? - zaklął kapitan Francesco - notatki są autentyczne, ale ich treść... To samo z tą przekłętą mapą - uderzył pięścią w stół, aż cyrkiel podskoczył z głuchym stukotem.

- Zwiedli nas - notariusz mówił powoli, cyzelując każdą sylabę. Zawsze tak czynił, gdy czuł, że ponosi go gniew. Nie przy stało królewskiemu notarowi tracić miarę w okazywaniu swych uczuć. Nawet wobec rodzonego brata. Nawet wobec samego siebie.

- Piętnaście kastelianów, jak w wodę! - warknął kapitan.

- Ta przegrana kosztuje nas znacznie więcej.

- Jak to? - Francesco spojrział na niego stropiony.

- Podłożyli sfałszowane karty. Podłożyli sfałszowane opisy. To znaczy, że są ostrzeżeni. Że przejrzel nas plany.

- Dawno już byli ostrzeżeni.

- Zapewne, ale dotychczas były to tylko domysły, teraz mają pewność. Twierdziłeś, że twój człowiek nie pozostawił żadnych śladów podczas swej poprzedniej bytności w toldilli adelantado. Musiał jednak pozostawić. Przygotowali się godnie. Oto - wskazał na rozłożone papiery - zatruty ochłap dla lisa, który czyni szkodę. Gdybyśmy zaufali mapom nie sprawdzając obliczeń, dopłynęlibyśmy na dno któregoś z tutejszych mórz. - Zamyślił się. -

Mniemam - podjął - iż Kolon raczej przewidział, że nie zaufamy ślepo fałszywym mapom i opisom.

- Tak myślisz?

- Tak. Zna moją ostrożność. Kapitan Francesco skrzywił się.

- Tylko twoją?

- Tylko - potwierdził chłodno notariusz. - Ty często szedłbyś na hazard z zamkniętymi oczyma. Przecież nie wpadłeś nawet na myśl, aby zbadać wiarygodność tych danych. Triumfowałeś. Byłeś pewien sukcesu. Gdybym cię nie nakłonił do wymierzenia najdrobniejszej nawet kreski, gdybym nie nalegał na rozważenie każdego słowa...

- Więc cóż - mruknął Francesco niechętnie - któż był w stanie zwietrzyć podstęp?

- Pamiętaj, że mamy do czynienia z człowiekiem, który bądź co bądź dokonał niemałych rzeczy. Który niejednego potrafi zwieść. A więc - zwinął mapę w rulon i odłożył ją na bok - nie rozpamiętujemy już porażki. Traktujmy to jak rzucenie rękawicy. Musimy ją podjąć.

- Cóż innego nam pozostaje? - roześmiał się szorstko Francesco. -

WŁÓCZNIA WOJNY

Posłańcy nieśli słowa Kibiana. Słowa wielkie i ważne. Słowa, które wojnę zamieniają w pokój. Włócznia Kibiana wędrowała wraz z nimi przez ziemie Auriry i Kobrawy. Wędrowała także włócznia wodza wodzów plemienia Kobrawy. I wodza wodzów Auriry.

Ludzie biegli szybko, ale umysły długo musiały ważyć każdą myśl. W wielu chatach narad płonęły święte ogniska. Aż wreszcie nadszedł dzień.

Wojownicy Kibiana stanęli na skraju wioski. Ostrza włóczni skierowali ku górze. Witali gości i wraz z nimi weszli pomiędzy chaty. Posłowie skończyli już swą rolę. Teraz nadchodzili ci, do których były skierowane słowa wodza wodzów.

Jeden po drugim zatrzymywali się przed świętym słupem, znakiem rodowym i bóstwem opiekuńczym plemion Veragui, i oddawali mu hołd. Milcząc z godnością, minęli palisadę otaczającą wzgórze. Twarze ich były nieruchome i nie wyrażały żadnych uczuć. Nie odwracali oczu od głów tkwiących na ostrokołach. Były to głowy poległych w walce wojowników Auriry i Kobrawy. A przecież goście pochodzili z tych właśnie plemion.

Szli jednak spokojnie, równym, odmierzonym krokiem. Wreszcie ostatni kół i ostatnia głowa pozostała poza ich plecami. Jeśli nawet odczuli ulgę, nikt nie potrafiłby tego po nich poznać. Pięli się teraz biegnącą pod górę ścieżką. Weszli do chaty narad. W nieruchomym powietrzu unosił się wonny dym aloesu płonącego na świętej czarze. Zasiedli wokół niej.

Długo trwało milczenie. Głowica świętej fajki lśniła w odblaskach płomienia. Błękitnawe smugi dymu ulatywały ku pożółkłym liściom dachu. Fajka przechodziła z rąk do rąk. Kibian ujął ją ostatni. Jak nakazywał obyczaj, pociągnął trzykrotnie, po czym odłożył fajkę na bok.

- Witajcie, goście plemienia. Nasz dach jest waszym dachem, nasza woda jest waszą wodą, nasze jadro jest waszym jadem.

Odpowiedzieli powściągliwym skinieniem głów.

- Włóznia wojny pomiędzy naszymi plemionami - podjął po krótkiej pauzie - nie opłynie więcej krwią ni naszych wojowników, ni waszych.

- Oooo - potwierdzili członkowie Wielkiej Rady - nie opłynie.

- Niech zostanie zakopana na wszystkie słońca i wszystkie księżyce, które jeszcze nadejdą.

Obcy wodzowie długo nie odpowiadali. Tylko dzieci i niewiasty od razu ubierają w słowa swe myśli. Cechą mężów jest rozwaga.

- Niech zostanie zakopana - powiedział wreszcie Atalpa, na którego piersi połyskiwały trzy rzędy naszyjników.

- Niech zostanie zakopana - zawtórował Kiabriari, który również piastował najwyższą władzę w swoim plemieniu.

- Ooo, niech zostanie zakopana - zabrzmiał uroczysty chór członków rady.

Palce Kibiana dotknęły świętego znaku na piersiach. To, o czym miał mówić teraz, było najtrudniejsze.

- Jednakże - zaczął z namysłem - włóznia nie może pozostać w ziemi.

Twarze obcych wodzów były nieruchome jak maski. Ale z ich oczu wycierał maskowany strach. Wiedzieli, o czym myśli Kibian.

- Stopy ludzi o białych twarzach depcą roślinność naszych ziem. Biali ludzie zabierają nam ryby, które złowiliśmy własnymi rękoma w falach Wielkiej Słonej Wody. Zabierają nam wszystko. Kobiety naszych plemion szlochają w ich chatach. Mężczyźni giną z ich rąk.

Głos zabrał jeden z pomniejszych wodzów plemienia Auriry, Quabrian:

- Ludzie z wysp twierdzą - rzekł - że białolicy są przybyszami z niebios.

Kibian patrzył wyczekująco na wodzów najwyższych, ci jednak zachowywali pełne rezerwy milczenia.

- Ludzie z wysp - uśmiechnął się wzgardliwie Kibian - są jako papugi, które gadają jeno to, czego je nauczono.

Quabrian nie ustępował:

- Skąd wiadomo, że słowa ludzi z wysp są kłamliwe?
- W niebiosach świeci wieczne słońce - oświadczył Kibian.
- Wszystko, co pochodzi z niebios, jest dobre i sprawiedliwe. A ludzie o białej skórze przynieśli ze sobą zło, ból i łzy.

- Czyż bywają śmiertelni o białej skórze?
- Białolicy są śmiertelni - rzekł z powagą czarownik. - Dym z ogniska rozpalonego w domu tajemnic oczyścił ich głowy.

Znowu przeciągłe milczenie. Goście wiedzieli już o głowach zdjętych białolicym przez wojowników Kibiana.

- Mają wiele czarów - odezwał się wreszcie Atalpa.
- To są złe czary - stwierdził ponuro Kibian.
- Nie wszystkie - zaprzeczył Atalpa - tuk-tuk to dobry czar.
- Tuk-tuk? - Kibian roześmiał się cicho. Skinął znacząco na czarownika. Ten sięgnął za siebie i położył przed gośćmi tuk-tuk rozcięty na pół.

- Oto czar białoliczych - głos Kibiana tchnął szyderstwem
- dwa małe kawałki kamienia, który się topi w ogniu, i ten sam kamień spłaszczony na rzecz cienką jak liść drzewa. Kto w tym doszuka się czarów? Gdyby do wydrążonej tykwy włożyć dwa zwykłe kamyki, takie, jakich wszędzie jest dużo i jeszcze więcej” a potem potrząsnąć, też byłoby słyszeć tuk-tuk.

Goście nachylili się nad grzechotką, która przypominała wypatroszonego ptaka. Z trudem maskując nagłe zaciekawienie, końcami palców dotykali ostrożnie zepsutego cacka.

- W tym nie ma żadnych czarów - zapewnił Ten, Który Rozmawia z Duchami.
- Czary dla zabawienia dzieci, które jeszcze nie umieją mówić - roześmiał się Kibian.
Ale nie była to szczera wesołość. Widział, że przybysze wciąż są oporni, że wciąż odczuwają strach przed rzeczami nieznanymi.

Atalpa obejrzał na wszystkie strony grzechotkę i wyjął z niej dwie małe kulki. Ścisnął je w palcach. Były twarde i cięższe od zwykłego kamienia. Podniósł do nosa, powąchał. Nie miały jednak żadnego zapachu.

- Moje myśli nie widzą w tym czaru - podał je Kiabriari.
- Oooo! Nie ma w tym żadnego czaru - zawtórowali jednogłośnie członkowie rady.
Kiabriari powtórzył z powagą wszystkie badania dokonane przez Atalpę.
- To nie jest czar - potwierdził.
- Mają jednak inne czary - zauważył Atalpa.

Ten, Który Rozmawia z Duchami, podszedł do świętej czaszy, skłonił się przed nią głęboko i dorzucił naręcz drobno porąbanych szczap aloesu.

- Wiele czarów - ciągnął Atalpa - ogień z długich rzeczy, który spopiela wszystko...

- Nie wszystko - zaprzeczył Kibian. - Wiele ogni z wielu długich rzeczy ścięło tylko jedno drzewo we wsi Karia. I moje oczy, i oczy innych oglądały to drzewo.

- I nasze oczy widziały - rzekł Atalpa - pień grubości dwóch słusznych mężów ścięty czarodziejskim ogniem.

- Pień grubości niedorosłego młodzieńca - sprostował Kibian.

- Ogień białolicych... - zaczął Kiabriari, urwał jednak i zamyślił się.

Kibian skorzystał z pauzy, by zabrać głos:

- Jeden ogień białolicych może zabić jednego człowieka, jeśli w niego akurat trafi. Tak samo, jak zabija strzała o grocie sporządzonym z ości wielkiej ryby.

- Strzały naszych wojowników odpadają od twardych skorup chroniących ciała białolicych - wtrącił Quabrian.

- Odpadają również od zwykłych tarcz - odparował Kibian - tym bardziej, jeśli ich drewno wzmocnione jest kamieniami. Ale twarde skorupy nie chronią całego ciała białolicych. Pozostaje wiele miejsc, z których, gdy uderzy ostrze, tryska krew. I życie białolicych wypływa razem z tą krwią.

Atalpa skrzyżował ręce na piersiach. To samo uczynił Kiabriari. Potem za ich przykładem poszedł Quabrian. Milcząco wpatrywali się w żar pełgający na świętej czaszy. Kibian obserwował ich ukradkiem. Nie byli jeszcze przekonani.

- Wielki ogień z wielkich rzeczy, który samym swym hukiem powala ludzi na ziemię... - mruknął wreszcie Quabrian.

- Wielki ogień - powtórzył Atalpa, odrywając oczy od płomienia - większy i straszniejszy od tego, co spada z niebios.

- Ani większy, ani straszniejszy - zaprzeczył Kibian. - Ogień z niebios spopiela największe drzewa, pali lasy, chaty i ludzi. Niczyje oczy nie widziały, by ogień białolicych potrafił uczynić to samo.

- Wielki czy mały ogień - powiedział z mocą Baonacri - wielka czy mała śmierć... Śmierć idzie u boku wojownika. Idzie przed nim. Idzie za jego plecami. Ale wojownik nie pyta: „Gdzie jest śmierć?” Pyta: „Gdzie jest zwycięstwo i chwała?”

Oczy obcych wodzów rozjarzyły się. Quabrian wsadził do ust wielki zwitek liści, które orzeźwiają myśli, i zaczął je żuć.

- Cóż ma czynić mąż, gdy wróg naszedł jego ziemie? - ciągnął Baonacri - gdy porywa niewiasty jego krwi, gdy morduje jego braci, gdy odejmuje mu od ust stawę? Czy powinien rzucić się do ucieczki i szukać schronienia, pozostawiając wszystko wrogowi? Nie. Musi walczyć. Po to się urodził, by żyć i umrzeć, gdy tak postanowią nieśmiertelne duchy. Ale umrzeć w walce, a nie w upodleniu i strachu.

Tak mówił Baonacri. Mąż, wojownik i wódz. Człowiek, o którego czynach śpiewano przy ogniskach w najdalszych zakątkach tych ziem.

- Skrzydlate kanoe przybijały już dawniej do brzegów naszych ziem - rzekł Atalpa. - Tak samo wychodzili z nich ludzie w twardych skorupach. Mieli ze sobą rzeczy giętkie i ostre. Mieli rzeczy, z których tryska ogień. Te wielkie i te mniejsze.

Kiabriari nałożył do główicy swej fajki liści i podszedł do świętej czaszy, by je rozżarzyć.

- Uszy moje słyszały o tamtych kanoe - rzekł. - Słyszały o krwi przelanej wtedy przez białolicych. Ale ich skrzydlate kanoe odplynęły. Potem inne zwinęły swe skrzydła u naszych brzegów, ale także odeszły. I po raz trzeci zdarzyło się to samo.

- Odeszły - powtórzył szybko Quabrian - i nie ma ich. A rzeczy, które minęły, nie są ni dobre, ni złe. Może i te kanoe odplyną i nie powrócą więcej?

- Może odplyną? - Atalpa zamyślił się.

Kibian podniósł czujnie głowę. Oto nowe niebezpieczeństwo grożące jego planom!

- Tamci białolicy odplynęli i nie ma ich - rzekł - ale ci nie odplyną. Jeśli ich nie przepędzimy, pozostaną na naszych ziemiach do końca wszystkich dni.

- Dlaczego? - zapytał Atalpa.

- Tamci mieszkali na swoich kanoe. Ci budują chaty. Czyż ktoś, kto zamierza odejść, trudzi się wznoszeniem domu?

- Zbudowali chaty - Ku-ceiba-paity, który dotychczas trwał pogrążony w milczeniu ocknął się nagle - i pozostaną. Widzieli w skałach Kamień, Który Świeci. Nie odejdą nigdy z miejsca, gdzie się ten kamień rodzi. To ich najwyższe bóstwo, dla którego gotowi są uczynić wszystko.

Kiabriari popatrzył na niego z ukosa.

- Te skały leżą na ziemiach plemienia Auriry - powiedział ostro - i wiele oczu widziało, że białolicych prowadzili ku nim ludzie z plemienia Veragui. Uszy nasze słyszały, że był wśród nich również i jeden z wodzów.

Ale Ku-ceiba-paity bynajmniej się nie speszył.

- Ludzie z plemienia Veragui zaprowadzili białolicych tam, dokąd kazali się zaprowadzić - rzekł.

- Skąd mogli się dowiedzieć, że skały na naszych ziemiach rodzą Kamień, Który Świeci?

- Może powiedzieli im o tym ludzie z plemienia Auriry, którzy często chodzili ku chatom wzniesionym przez białolicych po tuk-tuk i naszyjniki przezroczyste jak krople wody? - odparł spokojnie Ku-ceiba-paity.

Kiabriari umilkł. Mogło być i tak, jak powiadał Ku-ceiba-paity. A jeśli nawet było inaczej, któż dojdzie do ładu z człowiekiem, którego chytrłość budziła podziw nawet wśród wrogów?

Narada przeciągała się. Kibian z trudem powściągał zniecierpliwienie. Wreszcie powiedział:

- Białolicy są naszymi wrogami. Nie można z nimi zawrzeć pokoju, gdyż sądzą, że cała moc jest po ich stronie. Jeżeli nas pokonają, zginiemy w walce; jeśli będziemy z bezczynnie założonymi rękoma czekali na nadejście przyszłych dni, zginiemy w hańbie i niewoli. Czy ludy Auriry i Kobrawy pragną stanąć do walki ramię w ramię z ludami Yeragui?

Wodzowie długo nie odpowiadali. Kibian czekał w milczeniu.

Na świętej czaszy traskał płonący aloes. Wokół ognia wirowało w powietrzu mnóstwo małych muszek. Wpadały w płomień, ginęły, lecz coraz to nowe zastępy zjawiały się nad czaszą.

„Tak będzie - pomyślał Kibian - gdy ludy Veragui, Kobrawy i Auriry zwrócą swój oręż przeciwko białolicym. Wielu spali czarodziejski ogień, ale zastępy wojowników nie stopnieją. Gdy serca ludzi, których jest tyle, ile gwiazd na niebie i ziarenek piasku na brzegu Wielkiej Słonej Wody, biją zgodnym rytmem, nie istnieje moc, która by była w stanie ich pokonać!”

Dłoń Atalpy przykryła święty znak na piersiach.

- Jeśli ludy Veragui zwrócą swe włócznie przeciw białolicym, plemiona Kobrawy uczynią to samo. Rzekłem.

- Ludy Auriry - rzekł Kiabriari - skierują ostrza swej broni przeciw ludziom o białych twarzach u boku wojowników Yeragui i Kobrawy. Rzekłem.

Kibian odetchnął z ulgą. Rozjaśniły się twarze Baonacriego i innych wodzów Veragui.

- Opiekuńcze duchy zapowiadają zwycięstwo - oznajmił radośnie czarownik.

Wysłuchano go z należyтым uszanowaniem, nikt jednak nie przydawał proroctwu zbyt wielkiego znaczenia. Każdy czarownik na jego miejscu powiedziałby to samo.

Aloes dogasał. Do chaty wpłynęła jasność nowego dnia.

*

Goście ułożyli się do snu na świeżo splecionych hamakach. Członkowie rady udali się do swych chat, by odpocząć.

Tylko Kibian nie myślał o śnie. Ludzie o chyżych nogach pobiegli ku chatom białolicych i wrócili. Przyniesione przez nich wieści nie budziły niepokoju. Zarówno na wielkich kanoe, jak i na brzegu życie biegło normalnym trybem.

Zwiadowcy otoczyli wieś Kibiana gęstym łańcuchem. Biali ludzie nie zapuszczali się wprawdzie daleko w głąb lasu, należało jednak zachować najdalej posuniętą ostrożność. Ściągały zastępy wojowników z innych wsi, młodzi wałęsali się pomiędzy chatami, zmieszali się jedni z drugimi, pogubili swoje oddziały. Już tylko po barwach można było poznać, kto jest z której wsi. Przed chatami rozpalano ogniska z mokrego drewna. Żywność oczyszczona przez ostry dym dłużej nadaje się do spożycia.

Jeszcze raz złożono ofiary opiekuńczym duchom i jeszcze raz zażądano wróżby. Wieszczy kogut przestępował sennie z nogi na nogę, palce Tego, Który Rozmawia z Duchami, zwinnie stukwały w bębenek. Ptak, jakby z zastanowieniem, zaczął dziobać ułożone w zawile zygzaki ziarno.

Na twarzy czarownika połyskiwała maska wojny, w świetle ogniska tańczyły po niej niesamowite, purpurowe refleksy.

- I księżyc jest pomyślny dla naszego plemienia - mówił śpiewnie czarownik - i gwiazdy, i duchy nocy. Serca wasze będą wielkie, ramiona pełne sił, myśli staną się jasne i szybkie. Ostrze ugodzi w pierś wroga. Ścieżka wyprostuje się pod waszymi stopami.

To było zrozumiałe i radosne. Ale dalsze słowa czarownika zabrzmiały głucho i ponuro:

- Zważajcie, aby wasze stopy nie zdeptały cienia Tego, Który Tworzy Zło. I żeby jego cień nie padł na waszą ścieżkę ani na wasze głowy. Mrok nocy jest siedliskiem istot potężnych i strasznych. Gdy duch zła zetrze się z duchem opiekuńczym, będzie jako w czas wielkiego huraganu, gdy uszy przestają słyszeć, a oczy ślepną.

Któż ze śmiertelnych może dojrzeć cień Ducha Zła i w porę go wyminąć? Wielu wojowników zwiesiło głowy i myśli ich wcale nie były jasne. Kibian patrzył na nich uważnie, potem utkwiał wzrok w masce skrywającej twarz Tego, Który Rozmawia z Duchami.

Czarownik rozumiał wodza wodzów, ale myślał także o sobie. Pamięć o wróżbie, która się spełniła, pozostaje wśród chat własnej wsi i prędko gaśnie. Wieść zaś o tym, że czarownik powiedział nieprawdę, biegnie daleko i żyje długo. Więc choć wzrok wodza

wodzów stawał się coraz ostrzejszy, czarownik w milczeniu rozważał raz jeszcze szanse czerwonoskórych w walce z białymi przybyszami. Wreszcie oznajmił:

- Wieszczce duchy powiedziały: Dobro zwycięży zło i dla naszych plemion nadejdą radosne dni chwały i szczęśliwości.

Wódz wodzów był zadowolony. Wróżba brzmiała pomyślnie i cieszyła serca. Powstał i dał znak, powtórzony przez innych wodzów i członków rady.

Z Chaty Narad wyniesiono wielkie bębny. W ich dźwięku utonął jazgot małego bębenka jak kwilenie niemowlęcia w odgłosach burzy. Ale przecież właśnie mały bębenek prowadził głos wielkich, bo tak nakazywał obyczaj.

- Taniec wojny! - szeptały kobiety - taniec wojny! Wśród wojowników zaczęły krążyć wydrażone tykwy, napełnione gęstym napojem o białej barwie. Napój ten nosił nazwę „giga”, a przyrządzano go z soku mays. Jeden łyk wzmagał siły, po drugim myśli stawały się lotne, a ciało prężne. Ale następne odbierały i rozum, i siły. Każdy z wojowników upijał więc jeden łyk, najwyżej dwa, i oddawał tykwę sąsiadowi.

Bębny huczały, wtórując dźwiękom wojennej pieśni. Mężczyźni siedzieli na piętach, kołysząc się rytmicznie, kobiety zbiły się w ciasną gromadkę, daleko poza kręgiem migotliwego światła ognisk.

Taniec rozpoczął Re-co-lin. Był młody i dopiero podczas zeszłej odmiany księżycą zdobył imię. Nie rozślawił go jeszcze żadnym bohaterskim czynem. A jednak, choć włócznie wodza wodzów nie dała znaku, choć zaszczyt ten należał się starszym i sławniejszym wojownikom, Re-co-lin pierwszy wyskoczył na środek polany. Nie myślał o niczym poza walką, która może mu przynieść sławę, nie słyszał niczego poza dźwiękiem bębnów i pieśni.

Patrzył wódz wodzów, patrzyli wodzowie, patrzyli członkowie rady. Nikt nie powstrzymał młodzieńca, niczyich ust nie skaził grymas niezadowolenia czy nagany. Gdy serca uderzają w takt wojennej pieśni, niknie różnica pomiędzy zwykłym wojownikiem a wodzem, pomiędzy młodzieńcem a mężem w sile wieku.

Ledwo upłynęła chwila, ku ognisku skoczył drugi wojownik. Za nim jeszcze inny. Potem cała gromada. Krążyli w ekstatycznym upojeniu, do wirującego kręgu dołączali się coraz to nowi tancerze. Pieśń przestała być pieśnią, zmieniła się w obłądny wrzask. Tylko werbel bębnów utrzymywał niezmienny swój rytm.

Płomienie ogniska strzelały wysoko, rój złocistych iskier wirował w ciemności.

Grube krople perlily się na czołach tancerzy. Pot ściekał po ich ramionach, twarze przybierały barwę wystygłego popiołu.

Zbudzone ptactwo odlatywało z łopotem skrzydeł w głąb lasu. Nocny zwierzę przemykał chyłkiem przez gęstwę, wyruszając na poszukiwanie bardziej spokojnych okolic.

Baonacri, gdy poczuł, że siły go opuszczają, przerwał taniec i odszedł na chwiejnych nogach, by przysiąść opodal. Wiele księżyców minęło od chwili, gdy po raz pierwszy wyruszał na wojenną wyprawę. Wtedy potrafił przetrzymać w tańcu najbardziej nawet wytrwałych. Tak jak teraz potrafił jeszcze niejednego przewyższyć w boju. Poszczerbione bliznami ciało dawało temu świadectwo. Ale nim opuścił tańczących, wielu znacznie młodszych leżało już bezwładnie.

Baonacri patrzył na tych, którzy tańczyli dalej. Było ich coraz mniej. Krąg wciąż wirował, tancerzom jednak zaczynało już braknąć sił. Padali w ostatecznym wyczerpaniu na miękką trawę. Szeroko rozwarte usta łapały spazmatycznie powietrze. Dźwigali się po dłuższej lub krótszej chwili, zasiadając wśród widzów. Kto raz upadł, tracił prawo do tańca.

Już tylko samotna postać okrążała ognisko w tanecznych podskokach. Spływające potem ciało połyskiwało w odblaskach ognia. Dookoła narastał głośny szept podziwu:

- Re-co-lin! Patrzcie! Przecież to on pierwszy rozpoczął taniec!

Re-co-lin wciąż tańczył. Już tylko dla niego huczały bębny. Już tylko dla niego płonęło ognisko. Myśli Baonacriego pobiegły w daleką przeszłość. Jakby widział siebie samego w czasach młodości...

- Wspaniale - mruknął Kibian. - Jeśli serce Re-co-lina dorówna wytrzymałości, wyrośnie z niego tęgi wojownik.

- Jeszcze! - szeptano - wciąż jeszcze!

Ruchy Re-co-lina stały się wolniejsze. Odtwarzał teraz walkę. Oto pchnął nieistniejącym dzirytem. Oto uchylił się przed ciosem. Oto zasłonił twarz tarczą. Teraz skoczył w pościg za pierzchającym wrogiem. Walczył z kimś niewidocznym, kto usiłował zastąpić mu drogę.

Zawirował, przeskoczył przez płomień i opadł lekko na pięty. Siedział sztywno wyprostowany. Jedyne przyspieszony oddech i wilgotna skóra świadczyły o dopiero co przebytych wysiłku.

Wkrótce potem w obozowisku rozpoczął się ruch. Padały ciche rozkazy. Przy wielkim ognisku połyskiwał grot włóczy wodza wodzów. Pierwszy nadszedł Atalpa. Potem Kiabriari. Pomniejsi wodzowie zbierali swoich ludzi. Kibian ujął włócznię. Padło hasło wymarszu. Zwiadowcy zanurzyli się w nieprzejrzyście mrok dżungli. Po nich ruszyły bojowe oddziały. Szły lekko i cicho, choć do siedziby wroga było jeszcze daleko. Ale każdy krok na ścieżce wojny mógł zadecydować o wyniku walki. Należało być czujnym. Zapadali w dżunglę jeden

za drugim niczym cienie pozbawione ciała. Nawet najbystrzejsze oczy nie zdołałyby wyśledzić, ile ludzi tamtędy przeszło.

SZALEŃCZA WYPRAWA

Mendez stał dłuższą chwilę na brzegu, potem przywołał Escobara.

Escobar podszedł bez pośpiechu. - W czym rzecz?

- Spójrzcie na tych Indiosów - powiedział Mendez. Escobar wzruszył ramionami.

- Przychodzą i odchodzą, jak zawsze. Pewno im jeszcze zanoszą grzechotki z rozkazu admirała.

- Zanoszą.

- No więc? Mendez pokręcił głową.

- Przychodzą i odchodzą, prawda. Ale dziś jest w tym coś dziwnego.

- Dlaczego tak uważacie?

- Przychodzą i odchodzą wciąż ci sami.

Escobar wytężył wzrok, przesłaniając oczy dłonią. Niewiele to zresztą pomogło. Blask słońca odbijał się od zwierciadła wody.

- Po czym ich poznajecie?

- Po twarzach.

- Macie widać jakiś specjalny dar. Dla mnie wszystkie twarze Indiosów są jak monety spod tego samego stempla. Ano, spierać się z wami nie będę. Ci sami - powtórzył - co z tego właściwie wynika?

- Niezmiernie pragnąłbym to sam wiedzieć. Przede wszystkim - skąd się biorą? Muszą obozować gdzieś niedaleko. I te barwy na ich ciałach...

- Barwy?

- Widywałem już podobne wkrótce po założeniu Betleem. Indiosi wyjaśnili, że tak się malują idąc na wojnę. Walczyły tu z sobą jakieś plemiona.

Escobar spoważniał. Mendez postąpił parę kroków i stanął tuż nad wodą, przyglądając się grupce nowo przybyłych.

- Niech mnie zetną, jeżeli oni także nie byli już tu dzisiaj - rzekł z przekonaniem. - Sporo ich się zebrało.

- Sporo, dobrych parę dziesiątków.

- Jeśli nie z górą setka. Setka uzbrojonych dzikusów tuż pod nosem! To nie jest bezpieczne.

- Czy przypadkiem nie przesadzacie? Przyjrzyjcie się tym łukom, tym grotom! - Escobar machnął lekceważąco ręką.

- Inaczej byście rzekli, gdyby taki grot utkwił wam w szyi albo w oku.

- Łaski! - Escobar parsknął śmiechem - wtedy bym nie powiedział już nic.

Ale jego wesołość była pozorna. - Wasza racja - rzekł po chwili. - Nie bronilibyśmy się długo, gdyby nas ni stąd, ni zowąd zaatakowali, choćby tylko używając dzirytów i włóczni. Gdybyśmy trwali w pełnym pogotowiu bojowym, wtedy rzecz inna. Ale tak?

- Pogotowie bojowe! - powiedział z goryczą Mendez. Zamilkli, myśląc o tym samym. Przy działach nie było ani jednego puszkarza. Straże niby to wałęsały się na skraju wsi, ale strażnicy przypominali raczej dziadów prośalnych niż żołnierzy z prawdziwego zdarzenia. Hełmy przekrzywione, półpancerze włożone byle jak, szpady w pochwach. Drzewcami halabard podpierali się niczym pątniczymi kosturami.

- Co zamierzacie? - odezwał się wreszcie Escobar.

- Zamelduję admirałowi, a wy tymczasem podkręćcie trochę strażników. Trzeba sprawdzić, jak tam z prochami na panewkach, niech wzwiódą jak należy kurki.

- Zobaczcie, co się dzieje - wskazał na przeciwległy brzeg - wciąż ich przybywa. Wybałuszają ślepia na nasze okręty, jakby je chcieli połknąć.

- Podchodzą coraz bliżej - zaniepokoił się Mendez.

- Strzała z luku doleciałaby snadnie. Tylko że groty niewiele zdziałają przeciw broni ognistej.

- To wcale nie takie pewne, czy rzeczywiście niewiele.

- Co macie na myśli?

- Widzieliście kiedy strzały ogniste? Okręty wyschnięte na wiór. W mgnieniu oka poszłyby z dymem. Ściągnijcie strażę. Odsuńcie Indiosów od brzegu. Idę do admirała.

U zbitego z nie heblowanych desek pomostu kołysała się łódź. Mendez odczepił szalupę i ujął wiosła.

Gdy schodził z linowej drabinki na pokład „Kapitanów”, natknął się na Ferdynanda. - Admirał u siebie w toldilli? - spytał.

- Tak. Nie nazbyt dziś mocny.

- A ty jak się czujesz?

- Och, cóż ja. Zdrowym przecież. Spoglądałem na tych Indiosów. Co ich się dziś tyle zeszło? Niczym na targowisko!

Mendez uśmiechnął się niewesoło.

Admirała zastał nad księgami. Przedstawił mu sytuację. Kolumb wysłuchał go z uwagą. Na spostrzegawczości Mendeza polegał bez zastrzeżeń.

- Wątpię, by gromadzili się bez powodu - kończył Mendez. - Nie przynieśli nic do wymiany. Zaciekawienie również nie wchodzi w rachubę, zdążyli się napatrzeć do syta. I na nas, i na chaty, i na okręty. Myszkują, liczą nasze siły.

- Przykaż puszkarzom narychtować działa.

- Stanie się według woli waszej wielmożności. To jednak nie wszystko.

Powtórzył swą rozmowę z Escobarem na temat ognistych strzał.

- Zaiste - Kolumb sposepniał - łącznie mogliby sprawić nam wszystkim auto da fe. Jenó że bez należytych ceremonii. Cóż więc robić? Przepędzić Indiosów?

- To nic nie da. Zalegną w gęstwie i tyle będziemy ich widzieć. Lepiej niech pozostaną na brzegu. Tu przynajmniej strażę mają ich na oku.

- W takim razie co proponujesz?

- Przede wszystkim trzeba stwierdzić, skąd przychodzą. Nie sądzę, by odważyli się na atak tak szczupłymi siłami. Myślę, że jest to straż przednia jakichś większych zastępów.

- Sformuj wtedy oddział. Musi być dostatecznie liczny i dobrze uzbrojony. To nie przelewki. Pójdiesz na rekonesans.

- Pójdę sam - rzekł Mendez.

Kolumb popatrzył na niego szeroko rozwartymi oczyma.

- Jakże to? - wyjąkał.

- Pójdę sam - powtórzył. - Jeżeli moje podejrzenia są słuszne, Indiosi stoją obozem niedaleko stąd. Wyruszenie większego oddziału mogłoby doprowadzić do natychmiastowej walki.

- Skoro jesteś pewien, że i tak napadną...

- Mogę się mylić. Być może przyszli jedynie na przespiegi. Gdyby jednak oddział natknął się na większe siły Indiosów, starcie byłoby nieuniknione. Nie dążymy przecież do tego, Wasza miłość?

- Rzecz jasna, że nie. Naszym zadaniem jest skłonić tych ludzi ku świętej wierze łaską, darami i dobrym słowem. Po prawdzie zresztą, na walkę nie stałoby nam sił.

- A zatem za wszelką cenę musimy unikać wszystkiego, co mogłoby doprowadzić do ostateczności.

- Zamordują cię, gdy tylko odejdiesz od obozu.

- Ufam, że tak się nie stanie. Główne siły Indiosów znajdują się gdzieś w pobliżu. Starczy strzelić z arkebuza, by zaalarmować armadę. Indiosi z pewnością zdają sobie z tego sprawę. Nie są głupi.

- A jeśli nie zdążysz wystrzelić?

- Trudno. I tak być może.

- Azar, na który chcesz się porwać, przekracza granice zdrowego rozsądku.

- Tak się tylko wydaje na pierwszy rzut oka. Gdybym wyruszył na czele zbrojnych, niebezpieczeństwo byłoby większe. Nie tylko dla mnie, ale dla całej armady. Nie mamy zbyt wiele ludzi.

Kolumb podszedł do Mendeza i zajrzał mu głęboko w oczy.

- Wierzysz, że ci się uda?

- Wierzę - rzekł z prostotą.

Kolumb milczał długą chwilę.

- Idź, synu, i niech cię Święta Trójca prowadzi - przycisnął do piersi głowę Mendeza.

Mendez długo przebierał wśród arkebuzów w zbrojowni, statku, nim wreszcie znalazł odpowiedni. Sprawdził kurek, krzemień, naoliwił sprężynę. Wsypał do lufy pełną miarkę prochu, potem ubił stemplem przybitkę, wreszcie wpuścił kulę. Zaciągnął sprzączki półpancerza, sprawdził, czy szpada łatwo wychodzi z pochwy. Do uczeponego u aguchetty mieszka włożył zapasowe ładunki prochu i pociski oraz kawał twardego niczym kamień suchara.

Wreszcie zeszedł do uwiązanej u schodni szalupy. Usiadł na ławie, otarł pot z czoła i, położywszy hełm przy nogach, zanurzył wiosła. Płynął na północ, wzdłuż brzegu. Stamtąd nadchodzili Indios, tam więc powinien znajdować się ich obóz. Wiosłował powoli, obserwując uważnie wybrzeże. Było puste i dzikie. Piasek, kępki pożółkłych od słońca zarośli, w oddali ciemna linia lasu.

Po godzinie zaczął go ogarniać niepokój. Czyżby jego przypuszczenia były fałszywe? Zamierzał już wrócić, by spróbować szczęścia płynąc w górę rzeki, gdy nagle...

- Są! - niemal krzyknął. Ostre ściągnięcie prawego wiosła skierowało dziób szalupy ku brzegowi. Uniósł się lekko na ławie, by lepiej widzieć.

Diesiątki małych ognisk. Setki strojnych w jaskrawe pióropusze głów. Płomień ledwo pełga, dym nikłymi obłoczkami snuje się nad ziemią.

Cisza wprost nie do wiary. Ani głośnych rozmów, ani krzyku, ani pieśni. Mimo woli Mendezowi przyszły na myśl zgiełkliwe obozowiska Hiszpanów czy nawet Maurów. Indianie zaś byli widoczni jedynie od strony morza. Poza tym nie można ich było ani zobaczyć, ani usłyszeć.

Wiosłował coraz wolniej, gorączkowo rozważając sytuację. Najprościej byłoby zawrócić i gnać co sił z meldunkiem do admirała. Tak, ale co dalej? Postawią na nogi całą załogę i będą trwać w stanie alarmu. Jak długo można trzymać zmęczonych ludzi w

gotowości? Zresztą największa nawet czujność nie zapobiegnie niebezpieczeństwu strzał ognistych. Na nic. Najprostsze wyjście nie było wcale najlepsze. Więc co czynić?

Już go zobaczyli. Żaden jednak nie drgnął. Gdyby w szalupie było wielu zbrojnych, wahanie nie trwałoby pewnie ani sekundy i na napastników runąłby grad strzał, dziury i kamieni. Niewiele pomogłyby arkebuzy, pancerze i hełmy ni toledańska stal. Jednakże widok samotnego wiosłarza wyraźnie zaskoczył i dezorientował Indian.

W tym momencie Mendez podjął decyzję, którą jeszcze przed kilkoma minutami uznałby za jawne szaleństwo. Mocniej zanurzył wiosła, pod dziobem szalupy zaszurał piasek. Wskoczył brnąc płytką wodą. Wyciągnął łódź, zarzucił arkebuz na ramię i ruszył w kierunku Indian. Zachowywał się jak na przechadzce po ulicach rodzinnego miasta. W pewnej chwili przystanął, poprawił coś przy bucie i szedł dalej, pogwizdując zawadiacko. Minął już kilka ognisk. W żrenicach czerwonych wojowników gorzały tłumione płomienie, ale gdy przeszedł, ani jedna głowa nie odwróciła się w ślad za nim.

Teraz dopiero Mendez poczuł strach. Ściągnął ramiona, zdawało mu się, że lada chwila usłyszy świst dziury, który ugodzi go w kark. Opanował się jednak. Szedł równym krokiem ku największemu ognisku. Siedziało tam kilku czerwonoskórych w szczególnie bogatych pióropuszcach. Byli to niewątpliwie wodzowie.

Sklonił się lekko i przysiadł obok nich na piętach. Milczał patrząc w płomienie. Z trudem zbierał w pamięci indiańskie słowa, które poznał rozmawiając z tłumaczami. A rozmawiał z nimi często od czasu, kiedy postanowiono, że wraz z adelantado pozostanie w Betleem. Nie przypuszczał jednak, że znajomość mowy Indian przyda mu się tak szybko. Skąpo tego było, ale od biedy powinno wystarczyć.

Wodzowie patrzyli przed siebie, nie obdarzając Mendeza ani jednym spojrzeniem.

- Tylu wojowników wielkiego wodza Kibiana! - rzekł wreszcie Mendez. - Tak blisko skrzydlatych kanoe. Tak blisko naszych domów. Broń, wojenne barwy. Dlaczego?

Dopomagał sobie gestami.

- Skąd człowiek o białej twarzy dowiedział się, że tu wypoczywają wojownicy wodza wodzów Kibiana? - zapytał wolno jeden z wodzów.

- Oczy białego człowieka widzą dużo broni - powtórzył Mendez - myśl białego człowieka widzi: wyprawa wojenna.

- Skąd biały człowiek dowiedział się, że czerwoni wojownicy tu obozują? - ponowił pytanie wódz.

Opodal niewielki ptak o jaskrawym upierzeniu dziobał coś w trawie, nie zwracając uwagi, na ludzi. Mendez musnął go przelotnym spojrzeniem. I wtedy właśnie zrodził się pomysł.

- Ptaki - rzekł - powiadają białolicym o wszystkim.
- Czyż ktoś potrafi zrozumieć mowę ptaków?
- Białolicy potrafią. I mowę ptaków, i mowę gwiazd, i mowę słońca.

Indianie spojrzeli w górę, potem znowu na ptaka. W ich oczach zjawił się błysk nagłego niepokoju. Pomimo powagi sytuacji Mendez ledwo zdołał stłumić w sobie odruch rozbawienia. „W Kastylii Trybunał Świętej Inkwizycji posłałby mnie za to na stos” - pomyślał.

- Wojownicy Kibiana idą przeciw plemionom Auriry i Kobrawy - oznajmił wódz w bogatym pióropuszu.

- Ta droga prowadzi ku skrzydlatym kanoe i chatom białoliczych, nie zaś ku ziemiom Auriry i Kobrawy.

- Ścieżki wojny nie zawsze są proste.
- Tak - potwierdził - ale słowa ludzkie powinny być proste.
- Słowa wodza Ku-ceiba-paity są proste.

- Kibian jest miły sercu białoliczych - Mendez nie wiedział, jak w mowie Indian nazywa się serce, zastąpił więc słowo wymownym przyłożeniem dłoni do lewej strony piersi - białolicy pomogą wam w walce.

Zastygli w bezruchu, tylko ich oczy płonęły.

- Czyż wodzowie nie zrozumieli słów człowieka o białej twarzy? - przerwał milczenie Mendez. - Broń białoliczych porazi wrogów Kibiana. Broń czarodziejska i śmiertelna.

Położył ostrożnie arkebuz na trawie i błyskawicznym ruchem dobył szpady. Kwinta, tercja, krzyżowa sztuka; klinga migotała w powietrzu jak płomień błyskawicy. Nie potrafili się powstrzymać od zmrużenia oczu.

- Taka jest broń białoliczych - włożył szpadę z powrotem do pochwy - tnie ciała, kość, tarcze i drzewca włóczni. Tnie wszystko. - Więcej w tej przemowie było gestów niż słów, nie odebrało mu to jednak swady. - Czarodziejski ogień białoliczych spali i zniszczy wrogów Kibiana. - Ujął szczyptę ziemi, rozgniół ją w palcach i rzucił do ognia.

Wódz skrzyżował ramiona na piersiach.

- Białolicy nie będą pomagać ludziom naszego plemienia w walce z wrogiem.
- Nie pragniecie naszej pomocy?

- Czyż czerwoni wojownicy są kujotami, by żerować na padlinie? Nasza broń nie jest czarodziejska, ale tkwi w rękach mężów. Sami uczynią to, co trzeba uczynić. Tak będzie. Rzekłem.

- Tak będzie - zawtórowali pozostali wodzowie.

Mendez siedział z kamienną twarzą. Ku-ceiba-paity dotknął końcem palca kolby arkebuza.

- Z tej długiej rzeczy wylatuje czarodziejski ogień?

- Tak. Ogień, który spala wszystko.

- Nawet i to? - wskazał na pień rosnącego opodal drzewa.

- Tak.

- Niech więc człowiek o białej twarzy spopieli drzewo swoim ogniem.

- Nie mogę go wyzwolić - rzekł spokojnie Mendez.

- Dlaczego?

- Gdyż jest to ogień potężniejszy od wszystkich innych. Blask jego oślepiłby wojowników Kibiana. Huk poraziłby ich uszy. Nie słyszeliby ani ludzkiej mowy, ani szumu wiatru, ani nawet trzasku niebieskiego ognia. I tak pozostałoby już do końca wszystkich dni.

Stwierdził z zadowoleniem, że znowu ogarnęło ich przerażenie. Ku-ceiba-paity wciągnął głośno powietrze.

- Ta rzecz - tym razem nawet nie wyciągnął ręki w kierunku arkebuza - zionie tak straszliwym ogniem?

Mendez skinął głową: - Najstraszliwszym ze wszystkich.

- Ale - wódz potrząsnął głową - gdy ogień już ją opuści, trzeba odprawiać długie czary, by wyleciał ponownie?

Mendez spojrzał na niego z ukosa. Ku-ceiba-paity nie był łatwym przeciwnikiem.

- Nic podobnego - zaprzeczył szybko - ogień tryska tyle razy, ile zażąda białolicy.

Wstał powolnym ruchem, zarzucając arkebuz na ramię. Nie chciał przedłużać kłopotliwej rozmowy.

- To dobrze, że wojownicy Kibiana są przyjaciółmi białolicych. Inaczej - ściągnął brwi - trzeba by się było nad nimi litować. Powtórzcie Kibianowi - rozmyślnie opuścił tytuł - że wielki biały wódz go miłuje. I że sposobi dla niego i ludzi jego plemienia podarki piękne i jeszcze piękniejsze.

Zbliżył się do ptaka, który siedział teraz na niewielkim krzaku. Gest ręki - i spłoszony ptak poderwał się z panicznym łopotem jaskrawo upierzonych skrzydeł. Uniósł się wysoko i - szczęśliwym trafem - poleciał w kierunku ujścia wielkiej rzeki.

Mendez odwrócił powoli głowę w kierunku ogniska.

- Skrzydlaty posłaniec niesie moje słowa wielkiemu białemu wodzowi. Odchodzę.

I ruszył spokojnym krokiem ku leżącej na piasku łodzi.

- Czary - mruknął Quabrian.

- Ptaki, które zanoszą ludzkie słowa - dorzucił drugi z wodzów.

Ku-ceiba-paity przymknął oczy.

- Słowa białolicego są fałszywe... - zaczął z namysłem.

- Moje oczy widziały - przerwał mu Quabrian - ptak przyleciał, gdy białolicy nadszedł. Teraz, gdy otrzymał znak, odleciał ku wielkim kanoe.

Ku-ceiba-paity milczał ponuro.

- Czy ptaki latają za ludźmi? - zapytał jeden z wodzów.

- Nie latają - musiał przyznać Ku-ceiba-paity.

- Czary! - To słowo brzmiało jak przeciągłe westchnienie. Ku-ceiba-paity poruszył się niespokojnie. Wkrótce nadciągnie Kibian z resztą wojowników. Cóż mu powie? Serca wodzów stały się małe i miękkie. Biały czarownik, który przyszedł tu sam jeden, wiedząc, że wspomagają go siły duchów powietrza i ziemi, przejrzał myśli utajone głęboko w głowie.

Odchrząknął.

- Słowa wodza wodzów mówią: białolicych jest niewielu, a wojowników trzech plemion tyle, ile gwiazd na niebie. Wojownicy otoczą skrzydlate kanoe i chaty białolicych. Skrzydlate kanoe nie mogą wypłynąć na Wielką Słoną Wodę, gdyż drogę zamyka im piasek. Białolicy nie będą mogli odejść od swych chat, gdyż wstrzymają ich włócznie w rękach wojowników. Wkrótce nadejdą wodzowie wodzów. Słowa ich nie zgasły.

- Wodzowie wodzów nie wiedzieli o wielkim czarowniku - rzekł z namysłem Quabrian.

- Białolicy wiedzą już, że nadciągamy - dodał ktoś inny.

- Ich ogień spali nas, zanim rozpocznie się walka.

- Czary białolicych obróca się przeciw nam. Ku-ceiba-paity potrząsnął z uporem głową.

- Gdy biały człowiek odpłynie ku swoim, wojownicy ruszą naprzód - rzekł.

Ale Mendez nie miał bynajmniej zamiaru odpływać. Zepchnąwszy szalupę na wodę, opadł z ulgą na ławę i w tym momencie postanowił pozostać. Nie sądził, by groziło mu teraz jakiegokolwiek niebezpieczeństwo. Chciał wykorzystać sytuację do ostatka. Obecność białego czarownika powinna ostudzić zapał bojowy Indian, a kto wie, czy nie skłoni ich do odejścia. „Czary to mocna rzecz - pomyślał wyciągając wygodnie nogi. - W Kastylji też nie braknie

ludzi wierzących w magię. Powiniennem tu pozostać. Gdy Indiosi zobaczą, że mam za nic ich przewagę, nabiorą tym wwiększego respektu”.

Mógł się oczywiście mylić. Gdyby czerwonoskórzy ruszyli w kierunku osady, musiałby ich wyprzedzić, zaalarmować armadę wystrzałem z arkebuz. Jakkolwiek będzie, powinien tu zostać i czuwać.

Dotknął końcem palca panewki. Wilgotna. Podsypał świeżego prochu, wzwiódł kurek. Oparł arkebuz o ławę i sprawdziwszy, czy się nie obsunie, położył na kolanach wyciągniętą z pochwy szpadę. Uczciwa, giętka stal roboty toledońskiego płatnerza.

Odwrócony bokiem do brzegu, obserwował leniwie morze. Ale przecież widział wszystko, co się działo w obozowisku. Trwał tam coraz bardziej ożywiony ruch. Brunatne sylwetki spiesźnie przemierzały drogę pomiędzy poszczególnymi grupami. Wodzowie znowu zasiedli przy ognisku narady. Kilku wojowników odeszło w głąb lądu. Zapewne posłańcy.

Dzień dogasał. Czerwona kula słońca staczała się powoli za ciemną linią lasu. Mendez ogarnął zatroskanym spojrzeniem niebo. Płynęły po nim leniwie lekkie, białe obłoczki. Noc nie będzie chyba zbyt ciemna.

Nagle drgnął wytyżając wzrok. Pomiedzy brzegiem a obozem leżała polana porośnięta wysoką trawą. I właśnie ta trawa zaczęła nieznacznie falować. Żdźbła kołysały się wąskim pasmem, jakby lekki powiew wiatru, przybiegłszy z głębi puszczy, przesuwiał się ku rosnącym blisko brzegu drzewom. Ale powietrze było nieruchome.

Ledwo dostrzegalne drgnięcie zarośli okalających drzewo. Mendez nie miał już wątpliwości: Indianie. Jeśli otrzymali rozkaz przesycia go strzałami, nie będą mieli zbyt trudnego zadania.

W pierwszym porywie ujął arkebuz, ale odłożył go niemal natychmiast. To nie zda się na nic. Strach przed czarami to jedyny atut, który dawał jakieś szanse. Wyciągnął ramiona ku słońcu.

- Oczy białego człowieka patrzą w dal Słonej Wody - zaczął donośnym głosem, nie odwracając głowy - ale jego myśli rozmawiają ze słońcem. Biały człowiek mówi: wojownicy Kibiana ukryli się w krzakach, które rosną na brzegu. Mają ze sobą broń o ostrych grotach. Czary widzą ich twarze, choć kryją je za listowiem. Widzą każdy ruch wojowników. Widzą ich myśli ukryte w głębi głowy. Widzą wszystko. Rzékłem.

Nagły szelest w zaroślach. Mendez spojrział kątem oka. Trawa znowu zaczęła falować. Tyle, że w odwrotnym kierunku. A więc odeszli. Wiara w czarodziejską moc białych jeszcze raz zadecydowała o wygranej.

Jakiś ptak przemknął nad piaskiem, krążył chwilę nad zaroślami i przysiadł na gałęzi. Nagle zerwał się z łopotem skrzydeł.

Czyżby któryś z Indian pozostał? Mendez znowu uniósł ramiona.

- Inni odeszli - grzmiał - jeden leży pod drzewem. Za chwilę ciało jego spłonie w czarodziejskim ogniu. Widzę, że oczy jego gasną. Widzę myśl, która się rodzi w jego głowie. To jest mądra myśl. Tylko chyżość nóg może go ocalić przed ogniem. Rzekłem.

Rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania. Najodważniejszy ze zwiadowców nie tracił czasu na czołganie się. Wypadł z krzaków przy wtórze trzasku gałęzi i pognął co tchu ku ogniskom. Mendez patrzył w ślad za nim z ogromną ulgą. Oto sady długimi susami, zgięty, głowa wtulona głęboko w ramiona. W garści pęk dziurków z wydłużonymi grotami.

Już dopadł swoich i coś w podnieceniu opowiada, wymachując ramionami. Siedzący przy ogniu zerwali się na równe nogi, otaczając go ciasnym kręgiem.

Noc spłynęła na świat niczym miętka opończa. Czas jakby zastygł w miejscu. Drobną falą kołysała łagodnie szalupą, chlupocąc o jej burty. Przy ogniskach siedzieli nieruchomo Indianie, nikt nie układał się do snu. Jakby na coś czekano. Na co? Tego już żadną miarą nie potrafił się Mendez domyślić.

Zaczęło go ogarniać zmęczenie. To był ciężki dzień. Co przyniesie najbliższa przyszłość? Chyba nikt już nie będzie go niepokoił. Kostkami palców przecierał podpuchnięte oczy. Nie wolno mu zasnąć. To byłaby klęska. Nabrał w dłonie wody i chlusnął sobie obficie w twarz. Potem zmoczył suchar i żuł go pracowicie. Hełm ugniał czoło, zdjął go, potem rozluźnił sprzączki pancerza.

Na brzegu migotały ogniska, niczym czerwone ślepia egzotycznych bestii. Gdzieś na horyzoncie rozjarzyły się nagle światła odległych błyskawic. Z morza wynurzyła się krwista tarcza księżyca, srebrzysta ścieżka zimnego blasku przekreśliła ciemną toń.

Ta noc wydała się Mendezowi najdłuższą, jaką przeżył.

O świcie obozowisko zawrzało nagłym ruchem. Wojownicy szykowali się do odmarszu. Mendez uniósł się w łodzi, napięty jak struna. W jakim kierunku wyruszą?

Zbierali broń, wygaszali dogorywające ogniska. Pióropusze wodzów kołysały się nad cizbą ciemnych głów. Pierwszy oddziałek ruszył truchtem w kierunku lasu. W ślad za nim udał się następny. Teraz wymaszerowywały jeden za drugim. Ciemnoskórzy wojownicy biegli gęsiego, zachowując zdumiewająco równe odstępy. Wkrótce rzędząca mgła pochłonęła sylwetkę ostatniego wojownika.

Mendez odwiązał sznur przytrzymujący szalupę, spuścił ostrożnie kurek arkebuza i włożył szpadę z powrotem do pochwy. Odeszli w głąb łądu. Nieprawdopodobne, a przecież prawdziwe.

W JASKINI LWA

- Zmusiłeś ich do odwrotu? Sam jeden?

- Wiedzieli, że mogę w każdej chwili zaalarmować armadę. Nadzieja zaskoczenia zniecka spełzła na niczym. Widać głównie na niej właśnie budowali swój plan.

Składając relację Mendez ani słowem nie wspominał o zaczarowanym ptaku i rozmowie ze słońcem. Admirał był niezmiernie surowy we wszystkim, co mogłoby się sprzeciwiać naukom ko - ściola.

- Nie do wiary! Nie do wiary! - powtarzał Kolumb - jeden przeciw setkom!

- Ci stąd również odeszli - zauważył Mendez.

- Tak. Jeszcze z wieczora. Przybiegli inni i pokazywali na niebo. Żaden się już nie pojawił. Ani wczoraj, ani dziś.

Mendez odwrócił głowę, by ukryć wyraz swej twarzy. „Czary” podziały - na jak długo jednak?

- Indiosi - powiedział z zastanowieniem - mogą w każdej chwili powrócić.

- Zastaną nas przygotowanych do odparcia ataku.

- W każdej chwili - powtórzył Mendez. - To znaczy dziś, to znaczy jutro, to znaczy za tydzień. Czyż załoga może trwać bez końca w pogotowiu? Zwłaszcza taka, jak nasza?

- Prawda - szepnął Kolumb - ludzie sterani do cna. Ale cóż nam innego pozostaje? Jesteśmy za słabi, aby wyruszyć przeciw Indiosom. Ani jednego konia! Jeźdźcy łącnie daliby sobie radę z dzikusami. Na Hiszpanioli... - Umilkł pochmurniejąc, natychmiast jednak zapanował nad sobą. - Nie mamy zwierząt pociągowych, by zabrać ze sobą działa - podjął zwykłym już głosem - nie mamy nawet ćwiczonych do walki psów! Te bodaj przydałyby się tu najbardziej. Jeden tęgi pies z Kanarów stanie przeciw dziesiątce Indiosów.

- Nie mamy koni ni psów - powtórzył jak echo Mendez - nie możemy atakować, możemy się tylko bronić. A i to jak się zdarzy.

Kolumb opadł ciężko na fotel.

- Więc?

- Musimy poznać ich zamiary. Może uda się udobruchać Kibiana.

- W jaki sposób?

- Zwyczajnie. Pójdę do jego wsi.

- Znowu sam?

- Nie. Tym razem wezmę ze sobą Escobara. We dwóch zawsze raźniej.

- Ledwo cudem ocalałeś, już chcesz znowu wkładać głowę pod topór?

Mendez lekko wzruszył ramionami.

- Jeśli komu śmierć pisana, to się przed nią nie ukryje. Ani w chacie, ani na okręcie, ani nigdzie. Wolę wyruszyć do wsi Kibiana niż siedzieć tu beczynnie i czekać nie wiadomo na co. Zezwólcie pójść.

- Zginiesz.

- Nie. Wierzę, że nie spotka mnie nic złego.

- Cóż wiara kruszy najpotężniejsze mury, ale to, co zamierzasz, jest czystym szaleństwem.

Mendez pomyślał, że wierzy również i we własną przemyślność, nie powiedział jednak tego.

- Pójdziemy jako posłowie. Posłów nie biją.

- Tu jednak inne mogą panować zwyczaje.

- Nie tylko tu - wpadł mu w słowo Mendez - iw chrześcijańskim świecie zdarza się nieraz, że posła ćwiartują albo wystawiają jego głowę na tyce przed miejską bramą. Będzie jak Bóg da. Postaram się zresztą nie rozdrażniać Indiosów. Niech wasza miłość ufa, że sposobnych pomysłów mi nie zbraknie.

- O tym nie musisz mnie zapewniać - roześmiał się cicho Kolumb.

- Myślę - odpowiedział śmiechem Mendez - że uncja przemyślności niekiedy przeważa całe kwintale męstwa. Rozdam podarki, zapewnię Indiosów o naszej życzliwości, oznajmię, że ci, którzy uczynili im krzywdę; zostaną przez waszą miłość przykładowo ukarani. Nie sprawdzą przecież.

Kolumb zamyślił się. Pomysł Mendeza wydał mu się nagle dorzeczny.

- Masz nadzieję, że dopuszczą was do samego Kibiana?

- Rzecz jasna, że tak. Ale jeśli nawet nie dojdzie do tej rozmowy, zdołamy się zorientować w sytuacji. Zobaczymy, czy nadal czynią przygotowania wojenne, czy gromadzą wojowników. Będziemy wiedzieli, czego się trzymać.

Kolumb jeszcze się wahał. Bał się, że wyrażenie zgody będzie równoznaczne z posłaniem najwierniejszego sługi na niechybną śmierć. Mendez jednak nie ustępował. W końcu admirał podniósł się z fotela.

- Chylę czoło przed twoją determinacją rycerską.

- Idę jako poseł, a nie jako rycerz - sprostował skromnie Mendez.

*

Escobar przechadzał się niecierpliwie po pokładzie.

- Dał zezwolenie? - przypadł ku Mendezowi, nim ten zdążył zamknąć za sobą drzwi toldilli.

- Dał, choć niełatwo to przyszło.

Wzięli się rażno do przygotowań. Wyczyszczone tartą cegłą półpancerze i hełmy połyskiwały niczym szczere złoto.

- Ale z nas galanty! - Escobar uklonił się z przesadną gracją - jakbyśmy szli w zaloty na książęcy dwór.

- Przecież idziemy na książęcy dwór - uśmiechnął się Mendez. Escobar wydał pogardliwie wargi:

- Książę nagusów. Sam pewno nie lepszy.

- Tym więcej będą nas podziwiać, żeśmy tacy strojni. A jak sypniemy hojnie podarkami, doda nam to blasku w dwójnasób.

- Niby racja - zgodził się Escobar. - Ponoć i duszę kardynała można kupić. Pogańskie winny być tańsze.

Przytroczywszy torby z cackami do aguchett, ruszyli wzdłuż morskiego wybrzeża. Odprowadzały ich zaciekawione spojrzenia mieszkańców Betleem. Nikt nie znał celu wyprawy.

Szli brzegiem morza, wzdłuż linii lasu. Drogę utrudniały wysokie łądygi splecionej trawy, dziwacznie powyginane ramiona najeżonych kolcami roślin i kamienie wyrastające raz po raz pod nogami. Słońce stało już wysoko. Rozgrzane półpancerze i hełmy ciążyły coraz bardziej.

Escobar ocierał czoło.

- Santa Madonna, skwar niby w piekle. I to ma być kwiecień? Mendez również zaczął odczuwać zmęczenie. Miał za sobą bezsenną noc, spędzoną w czóźnie.

- Morze... - Escobar wodził tęsknym wzrokiem po rozkołysanej toni, pełnej głębokich zielonych lśnień.

- Patrz, póki czas - uśmiechnął się Mendez - może cię to ochłodzi.

- Daleko jeszcze?

- Widzisz tę polanę w dżungli? Tam wczoraj obozowali Indiosi. Pójdziemy ich tropem. Ufajmy, że zaprowadzi nas do wioski Kibiana.

- Jeżeli wcześniej nie spotkamy przewodników.

- Niewielka nadzieja.

Mendez zatrzymał się nagle, przesłaniając oczy dłonią.

- Kanoe! - zawołał.

- Płyną w tym samym kierunku - dodał natychmiast Escobar.

Na falach morza kołysały się dwa wąskie i długie indiańskie czółna.

- Jest ich ośmiu - powiedział Mendez.

- Chyba nie wojownicy - dorzucił Escobar - broń mają lada jaką. Rybacy! Może po prostu podróżni. Hej tam! - wrzasnął na całe gardło. - Tutaj! - wymachiwał ramionami.

.Zapraszające gesty Escobara były tak wymowne, że kanoe zbliżyły się ku sobie, płynąc burta przy burcie, a wśród Indian zawrzała ożywiona narada. Jedni wskazywali rękoma stojących na brzegu, inni potrząsali przecząco głowami.

Mendez zdjął na chwilę hełm i otarł spotniałe czoło.

- Obawiają się. Nie dziwota zresztą. Sam wiesz, ilu ich zakopano na przedpolach Betleem.

Sięgnął do torby.

- Być może podarki ich zachęca.

- Prawda! - Escobar poszedł w jego ślady z takim pośpiechem, że o mało nie rozdarł żaglowego płótna. Zanim Mendez zdołał wyłuskać jedną grzechotkę, on już trzymał całą garść.

- Patrzcie - potrząsnął gwałtownie grzechotkami - tuk-tuk! Spór nagle ucichł. Indianie skierowali zaokrąglone dzioby kanoe do brzegu.

- Uff - odsapnął Escobar - myślałem już, że popłyną swoją drogą.

- Jeszcze się nie zgodzili! - ostudził jego zapał Mendez". Kanoe były tuż przy brzegu, Indianie jednak nie wysiadali, trzymając wiosła w pogotowiu. Nieufnie przyglądali się białym. Escobar wywracał oczyma, rozkładał ramiona, podrzucał w powietrzu grzechotki. Obserwowali go z uwagą, wciąż jednak byli niezdecydowani.

- Otrzymacie wiele czarodziejskich rzeczy - oznajmił Mendez.

Zaczęli powoli wychodzić na brzeg. Escobar wyciągnął ku pierwszemu grzechotkę. Indianin odskoczył z panicznym strachem i zaczepiwszy nogą o jakiś wystający korzeń o mało nie runął jak długi.

- Nie uczynimy wam nic złego - zawołał Mendez.

Ten, który stchórzył, podszedł teraz na niepewnych nogach, widać zawstydzony poprzednim odruchem trwogi. Dał sobie przyłożyć grzechotkę do ucha. Wciągnął głośno powietrze i przewracał oczami. Pozostali Indianie patrzyli nań z mieszaniną zazdrości i lęku. Chyba przybywali z jakichś dalszych okolic, gdzie zamorskie cacka nie zdążyły jeszcze spowszednieć.

- Tuk-tuk to dobry czar - Mendez wcisnął grzechotkę w garść Indianina, po czym wyciągnął kilka sznurów szklanych paciorków. - Dobry czar!

Oglądali podarki z dziecinnym rozradowaniem.

- Daj! - teraz już wszyscy wyciągali prosząco ręce. Ale Mendez uznał, że najwyższy czas przystąpić do rzeczy.

- Otrzymacie to wszystko i jeszcze więcej, ale w zamian musicie nas zawieźć do wsi Kibiana - oświadczył, dopomagając sobie gestami.

Twarze Indian znieruchomiały. Zaczęli się cofać ku swym kanoe.

- Co im się stało? - rozzłościł się Escobar.

- Czy nie pragniecie otrzymać dobrych czarów? - zapytał stropiony Mendez. Sam nie rozumiał zachowania się czerwonoskórych.

Barczysty Indianin, najprawdopodobniej przywódca obu załóg, skrzyżował ramiona na potężnie sklepionej piersi.

- Pragniemy otrzymać dobre czary, ale nie możemy zawieźć białolicych do wsi Kibiana - powiedział.

- Dlaczego?

- Czy białolicy sami o tym nie wiedzą? - spytał ze zdumieniem.

- Nie.

- Włócznia wojny została wykopana.

- Słyszeliśmy. Ale przeciw Aurirze i Kobrawie.

Potrząsnął głową.

- Tak było kiedyś. Teraz ostrze włóczni skierowane jest przeciw białolicym. Jesteście wrogami Kibiana.

- Nie jesteśmy wrogami - zaprzeczył Mendez - niesiemy słowa wielkiego białego wodza.

- Wódz wodzów powiedział: każdy białolicy jest wrogiem. Gdy zobaczą białoliczych w naszym kanoe, odejmą nam głowy.

Mendez włożył rękę do torby i wy dobył z niej nóż o żelaznym ostrzu. Ściął niedbałym ruchem kilka łodyg, słońce zalśniło na klindze.

- Wojownicy Kibiana nie uczynią wam nic złego - zwrócił się do Indianina - białolicy zaś podarują tę rzecz - wręczył mu nóż. - Nikt nie posiada podobnej.

Ciemne palce objęły ostrożnie trzonek. Nóż wędrował z rąk do rąk. Oglądali go ze wszystkich stron. Dotykali końcami palców ostrza. Ten i ów krajał trawę. Kiwali głowami, cmokali na znak podziwu. Przywódca rzucił kilka krótkich słów, których Mendez nie

zrozumiał. Odpowiedzieli mu wszyscy na raz. Jedni pokazywali na nóż, inni pociągali kantem dłoni po własnych gardłach. Wrzask potężniał z każdą chwilą. Potem nagle ucichł.

Indianin położył nóż u stóp Mendeza. - Człowiek, który nie żyje, nie potrzebuje żadnej rzeczy.

- Nie chcą? - Escobar aż pobladł ze złości.

- Nie.

Z kolei wyjrzał na światło dzienne toporek. Najcenniejszy towar ze wszystkich, jakie przywieźli zza oceanu dla wymiany. Ale i on wart był niewiele. Ciemne plamy znaczyły wtopiony w żelazo żużel.

- Tylko ostrożnie - mruknął Escobar.

Mendez odpowiedział porozumiewawczym zmrużeniem oka. Wiedział, jak niezmiernie liche było wszystko, za co płacił w imieniu korony Juan de Soria.

Opodał rosło mizerne drzewo o pniu nie grubszym od ludzkiego ramienia.

- Niech oczy wasze patrzą - zawołał. Uderzył parę razy z rozmachem. Drzewo z trzaskiem zważyło się na ziemię.

- Któż posiada równie wspaniałą rzecz? - Mendez podniósł topór gestem jarmarcznego kuglarza. - Darujemy wam ją.

Przywódca załogi wznosił topór nad pniem ściętego drzewa. Mendez patrzył na niego z napięciem. Co będzie, jeśli kruche ostrze rozprysnie się jak szkło? Indianin uderzył, ostrze wytrzymało. Mendez odetchnął z ulgą.

Znowu gwar, znowu spory.

Escobar uśmiechnął się kpiąco.

- Nie ustąpiłoby placu przekupkom z Kadyksu.

Narada trwała. Minęło kilka minut, zanim wreszcie Indianie doszli do porozumienia.

- Ludzie ze wsi Atapui - oznajmił przywódca - powiadają: białolicy popłyną na ich kanoe do wsi wodza wodzów Kibiana.

- Zgadzą się - szepnął Mendez. Escobar otarł pot z twarzy.

- Białolicy dadzą ludziom ze wsi Atapui - ciągnął Indianin - i mnie, i każdemu - wskazywał po kolei swych towarzyszy - po dwie - wyprostował sztywno dwa palce - rzeczy, które krają, po jednej z tych, które rąbią, i z tych, które śpiewają tuk-tuk.

- Oszalał - mruknął Mendez - szesnaście noży i osiem toporów. Skąd mu niby wezmę? Bodaj czy w obu torbach mamy tyle. A co dla Kibiana?

Zaczęły się przewlekłe targi. Mendez położył na trawie dwa noże i jeden topór. Dorzucił za to pęk grzechotek i kilka sznurów szklanych paciorków.

Nie zgadzali się. Podnieśli głośny protest. Już wsiadali do swych kanoe. Dodał jeszcze jeden topór i jeszcze jeden nóż. Oni potrząsali głowami, on również potrząsał. Gdy wrzeszczeli, sam także zdierał gardło, nie mając nadziei, że ich zdoła przekrzyknąć.

- Wspaniałe czary - wołał - więcej warte od waszych kanoe.

- Rzecz, która kraje! - domagali się stanowczo - rzecz, która rąbie!

W pewnym momencie Mendez zdecydowanym ruchem zgarnął noże i topory do torby.

- Idziemy - pociągnął Escobara za rękaw.

- Pieszko? - niemal jęknął Escobar.

Mendez spojrzał nań porozumiewawczo. Escobar zrozumiał. Wszystko odbywało się zupełnie tak samo, jak na którymś z targowisk w Kastylii.

Indianin pobiegł za nimi.

- Cztery - pokazywał na palcach - rzeczy, które rąbią. I dziesięć tych, co krają.

- Tyle nie mamy - oświadczył stanowczo Mendez. Z rozsupłanego na nowo worka wydobyl osiem noży, trzy topory i kilkanaście grzechotek. Rozłożył wszystko przed nimi.

- Jeżeli ludzie ze wsi Atapui pragną zdobyć to bogactwo, niech biorą. Jeśli nie, nie otrzymają nic - rzekł stanowczo.

Gdyby operował samymi tylko słowami, może trwaliby jeszcze w uporze. Jednakże widok błyskotek, po które wystarczyło sięgnąć ręką, przeważył ostatecznie.

- Nareszcie! - westchnął Escobar, rozciągając się wygodnie na dnie kanoe - głowa mi pęka od tego wrzasku.

- Ciesz się, że ją jeszcze masz na karku - Mendez słuchał uważnie Indianina, który wciąż jeszcze mówił, choć kanoe odbiły już od brzegu - ten handlarz właśnie powiada...

- Chce jeszcze coś wytargować?

- Nie. Prosi, żeby nie mieć do nich żalu, jeśli nasze głowy ozdobią palisadę we wsi Kibiana.

Escobar roześmiał się szczerze.

- Ba! - przewiesił ramię przez burtę, zanurzając dłoń w wodzie - żale ściętej głowy!

Zbliżało się południe, upał rósł.

*

Dopóki płynęli morzem, Indianie rozmawiali z ożywieniem, zajęci podziwianiem zamorskich skarbów. Gdy jednak kanoe skrzyły w muliste ujście rzeki Veragui, ucichli, wpatrując się trwożnie w zarośla szczelnie pokrywające brzegi. Tylko przywódca, wiosłując na dziobie, nucił półgłosem jakąś monotonna pieśń.

Mendez siedział nieruchomo, z przymkniętymi oczami. Oto wpływał w głąb nieznanego lądu, pozna jedną jeszcze z jego tajemnic. Nie odczuwał lęku. Do tego przecież dążył, tego właśnie szukał. Tęsknota do rzeczy nieznanych związała jego losy z Kolumbem, nie miraż zaszczytów i olśniewającej kariery, jakie rozaczał przed nim admirał.

Zaszczyty! Wargi Mendeza wykrzywił gorzki, pełen rezygnacji uśmiech. Obiecywał mu Kolumb stanowisko głównego alguasila Hispanioli. Dawało ono co najmniej cuenta rocznego dochodu. Ale Hispaniolą rządził kto inny. Wówczas oświadczył, że uczyni go kapitanem jednego z okrętów armady. Były to puste słowa.

Kontador nędznej wioszczyzny, zagubionej w bezkresie pogańskich ziem. Nie żałował jednak niczego. Kolumb obiecał, że da mu możność poznania tajemnic świata, i tej jednej obietnicy dotrzymał. Oto ziemie, których przedtem nie dotknęła stopa chrześcijanina. Oto krainy, których nikt przed nim nie oglądał. Dane mu było rozmawiać z ludźmi, o których istnieniu nie wiedziano nic przez całe wieki.

I może po upływie stuleci tyle choć pozostanie w pamięci ludzkiej, że on, Diego Mendez, wszedł na ten ląd jako jeden z pierwszych. Że bronił własną piersią pierwszej osady chrześcijan, która po latach rozrośnie się zapewne w wielkie, rojne miasto. Wiele pokoleń zejdzie z tego świata, a każdy z mieszkańców Betleem będzie wiedział, kim był Diego Mendez. To też miało swoją wartość. Może zresztą tylko to jedno...

Miarowo pluskały wiosła. Kanoa, pokonując nikły prąd wody, płynęły leniwie w górę rzeki. Wioślarze pracowali bez zapału. Widać nie spieszo im było do celu. Tuż nad wodą przeleciał maleńki, bogato upierzony ptak. „W Kastylji - pomyślał Mendez - nawet poniektóre, motyle są większe. Albo i nocne ćmy”.

Niepokój Indian wyraźnie zaczął wzrastać. Nie starali się go ukryć. Trwożne podniecenie tych ludzi było tak wielkie, że udzieliło się nawet Mendezowi. Szybko się jednak opanował.

Escobar uniósł z wolna powieki.

- Daleko jeszcze? - spytał spokojnie.

Ale nim Mendez zdołał odpowiedzieć, spoza drzew wyłoniły się słomiane dachy, w kilka zaś chwil później - ostrokół otaczający siedzibę Kibiana.

Monotonna pieśń przywódcy urwała się nagle. Zapanowało milczenie. Słysać było tylko plusk wody i szmer przyspieszonych oddechów. Twarze Indiosów zszarzały, przybierając barwę wystygłego popiołu.

Escobar przeciągnął się.

- Teraz widzę, że cena, jaką zapłacili za noże i toporki, nie była znów tak mała - rzucił lekko.

Puste dotychczas brzegi zaroily się w mgnieniu oka. Wrzaskliwe nawoływania, okrzyki zdumienia i wściekłości krzyżowały się w powietrzu. Tłum brunatnych postaci kłębił się nad wodą. Lśniły ostrza grotów. Niektórzy wojownicy podnosili niedwuznacznym ruchem łuki.

- Witają nas z całą paradą! - parsknął Escobar, niedbałym ruchem poprawiając sprzączkę u półpancerza. Mendez spojrział na niego z uznaniem. Escobar nie zawiódł jego nadziei, umiał zachować spokój w każdej sytuacji.

Na czole przywódcy wioślarzy zaperliły się grube krople potu. Rzucił kilka gardłowych słów. Głos jego dygotał i załamywał się piskliwie.

Pierwsza dobiła do brzegu łódź, w której siedzieli sami Indianie. Tak widać zarządził przywódca. Mendez pokiwał z aprobatą głową. To było rozsądne posunięcie. Wysiadających wioślarzy otoczyli mieszkańcy wsi. Gwar przybrał na sile. Wojownicy Kibiana groźnie potrząsali bronią. Łucznicy już sięgali po pierzaste strzały. Wioślarze, zgięci pokornie, tłumaczyli coś przy wtórze lękliwych gestów.

Escobar stanął wyprostowany na dnie łodzi, rozstawiwszy szeroko nogi.

Mendez dotknął ramienia przywódcy.

- Brzeg - wskazał - białolicy pragną postawić na nim swe stopy. - Starał się, by głos jego brzmiał jak najzwyczajniej.

- Odejmną głowy! - wybełkotał Indianin.

- Brzeg! - powtórzył kategorycznie. - Prędko i jeszcze prędzej!

Lada chwila w powietrzu zaświszczą grot. Mendez był gotów, w razie oporu, przemocą odebrać Indianinowi wiosło. Ten jednak, przymknąwszy powieki, usłuchał bezwolnie i dziób kanoe zarył się miękko w mulistą ziemię. Mendez jednym susem wyskoczył z łodzi, jakby nie widział skierowanych ku niemu dzirytów. W garści trzymał pęk grzechotek.

- Tuk-tuk - oznajmił donośnie - dla ludzi ze wsi Kibiana. Chwila wahania. Życie czy śmierć?

- Tuk-tuk? - Jedno z ostrzy uniosło się w górę, potem drugie. Chciwie wyciągnięte ręce. - Tuk-tuk to dobry czar.

- Złagodnieli - szepnął Escobar i wyciągnął sznury różnobarwnych paciorków.

Wkrótce torby białych zwiotczały. Ale droga do wsi stała przed nimi otworem. Indianie odłożyli broń i siedząc na piętach zabawiali się grzechotkami jak dzieci ucieszone nowymi podarkami.

Mendez podszedł do jednego z nich. Miał aż dwie grzechotki i nader zadowoloną minę.

- Wódz wodzów, Kibian?

Musiał dwukrotnie powtórzyć pytanie, nim Indianin zdecydował się oderwać zachwycony wzrok od cacek;

- Tam - wskazał na palisadę.

Mendez i Escobar weszli pomiędzy chaty. Tylko paru Indian pociągnęło w ślad za nimi. Nie zdradzali jednak żadnych wrogich zamiarów. Spoza słomianych ścian wyglądały dzieci i niewiasty. Mieszkańcy wsi nie byli nazbyt lękliwi.

Mendez rozdarował jeszcze parę grzechotek.

- Nasze myto cieszy ich jednak - stwierdził Escobar. - Nie mogę pojąć, z jakiego powodu przestali przynosić żywność na wymianę.

- Wykopali włócznie wojny - przypomniał Mendez - widać otrzymali stosowne rozkazy od swych wodzów.

- Prawda. A jednak trudno dać wiarę, że przebywamy wśród wrogów, którzy jeno to mają na myśli, by nas zgładzić - zatoczył ręką dookoła.

- Na pozór zaiste spokój i cisza. Ale tam... - Mendez wskazał oczyma gromady zbrojnych, siedzące wokół ognisk w głębi wsi.

- Hm... - odchrząknął Escobar - nie wyglądają sielankowo. - Sposepniał, nieco, natychmiast jednak rozchmurzył się, by nie zdradzać przed Indianami swych uczuć. - Szykują się do wojny. I jeśli Indiosi z naszych kanoe nie zełgali...

- Nie zełgali - stwierdził z przekonaniem Mendez. - Tę wojnę szykują przeciw nam. Oby się dało ułagodzić ich wodza!

Droga zaczęła bieć pod górę. Gęsta palisada otaczała niezbyt wysokie wzgórze, na którego płaskim wierzchołku stało kilka chat. Escobar odsunął nieco hełm ze spotniałego czoła.

- Niemal obronny zamek. - Podniósł wzrok: - Co oni tam powsadzali na ostrokoły?

Gdy podeszli bliżej, ujrzeli mnóstwo ludzkich głów.

- Uwędzili je w dymie - Mendez patrzył bez zmrużenia powiek - będzie chyba ze trzy setki.

- Niezgorszy zbiór. I w Kastylii można niekiedy spotkać przed murami miejskimi podobną wystawę. W tej materii niewiele będą się mogli od nas nauczyć.

- Te głowy - Indianin, który szedł najbliżej nich, wsparł się chępliwie pod boki - odjęliśmy naszym wrogom. Była jedna bitwa. Tylko jedna.

Zajrzał im w oczy. To samo uczynili inni. Mendez uśmiechnął się z przymusem.

- Chcą nas zastraszyć - szepnął.

- Tymczasem jakoś nie ma tu ani jednej głowy chrześcijańskiej - Escobar przesunął wzrokiem po palisadzie - czyżby nasze miały zrobić początek?

- To też swego rodzaju zaszczyt - odparł Mendez tym samym tonem. - Pomyśl jeno: pierwsze chrześcijańskie głowy na indiańskich kołkach. Pieśni o nas będą śpiewać jak długi i szeroki ten łąd.

Minąwszy wrota, weszli na obszerny plac.

- Oto chata wodza wodzów Kibiana - oznajmił Indianin.

U wejścia tkwiła gromadka kobiet i dzieci. Wszystkie głowy zwróciły się ku białym. W szeroko rozwartych oczach zjawiał się w pierwszej chwili wyraz zaskoczenia, potem gwałtowny przestrah. Kobiety pozrywały się na równe nogi. Dzieci tuliły się do nich z głośnym płaczem. Wybuchła panika. Tłumnie rzucono się ku wejściu. Zakotłowało się. Po krótkiej chwili przed chatą nie było nikogo.

- Czegóż się tak wystraszyły? - zdziwił się Escobar.

Mendez milczał. Nie podobało mu się to wszystko. Przeszedł jeszcze kilka kroków i przystanął. Nie wiedział, co począć dalej.

- Może wejdziemy? - zaproponował Escobar. - Powiadają, że to chata Kibiana.

- Chodźmy - zdecydował po krótkim wahaniu Mendez - nic tu nie wystoimy.

Zanim jednak zdołali przekroczyć próg, z chaty wypadł barczysty Indianin. Jego oczy płonęły dziko.

Mendez otworzył usta, chcąc wygłosić przemówienie powitalne, lecz Indianin schwycił go za ramię i gwałtownym pchnięciem odrzucił w tył. Gorąca fala „wściekłości przesłoniła oczy Mendeza. Odruchowo zacisnął dłoń na rękojeści szpady. W tym samym momencie przyszło opamiętanie.

- Spokój! - syknął do Escobara, który również począł wyciągać klingę z pochwy.

- Znieważył nas!

- Ich są tysiące. Nie potośmy tu przyszli, by przelewać krew. Pamiętaj o armadzie.

Escobar opuścił ręce.

Mendez podszedł do Indianina.

- Czy oczy nasze oglądają wodza wodzów Kibiana?

- To mój ojciec.

- Musimy się z nim zobaczyć.

- - Wódz wodzów nie pragnie oglądać białoliczych. - Indianin zasłonił sobą wejście do chaty. I on zdołał już nieco ochłonać.

Mendez wyprostował się dumnie.

- Jesteśmy wielkimi czarownikami wśród białoliczych. Przybyliśmy tu, aby przynieść Kibianowi słowa przyjaźni.

Indianin cofnął się odruchowo. Słyszał o ogniu białych ludzi, który spala wszystko. O płomieniu gorejącym za rzeczą przeźroczystą jak woda, która jednak nie jest wodą. O ptakach noszących słowa. Gniew opuścił go w jednej chwili, a z nim również i pewność siebie.

- Czarownicy o białych twarzach nie mogą ujrzyć wodza wodzów - powtórzył znacznie ciszej.

- Nie chce nas wpuścić do Kibiana? - domyślił się Escobar.

- Nie.

- Wygląda na to, że nie ustąpi. W takim razie może zaczniemy od niego?

- Ano, spróbujmy. Wydobył z torby podarki. Spotkał go jednak srogi zawód. Syn Kibiana powitał widok grzechotek pogardliwym grymasem. Nawet na noże i topory, w których Mendez pokładał największą nadzieję, ani chciał spojrzeć.

- Twarda bestia - mruknął Escobar - czym takiego wziąć? Mendezowi opadły ręce.

- Ba, żebym ja to wiedział.

Nagle, pomimo całej powagi sytuacji, omal nie parsknął śmiechem. Pomysł, na zdrowy rozum, był niedorzeczny. A jednak...

Skołtunione włosy na głowie syna Kibiana zwisały w niechlujnych strączkach. Mendez wydobył grzebień, nożyce i zwierciadło.

- Potrafisz utrefić włosy?

- Włosy? - Escobar spojrzał nań niepewnie - trefić? Zwariowałeś?

- Trefić. A przynajmniej obrównać nożycami i uczesać.

- Kto by nie potrafił! Myślisz o nim? - wskazał wzrokiem stojącego wciąż u wejścia do chaty Indianina. - Ani przystąpić ku sobie nie zezwoli.

- Zacznieś ode mnie.

- Aha, pojmuje, niech będzie. Siadaj - wskazał płaski kamień, leżący mniej więcej pośrodku placu. - Ani mi się śniło, że zostanę balwierzem w indiańskiej wsi.

Zaszczekały nożyce. Escobar wyczyniał nimi dziwne ruchy w powietrzu, nim dotknął włosów. Wymachiwał grzebieniem.

- Nie kręć tak głową - syknął - bo zrobią się „schodki”. Choć może im właśnie taki rodzaj fryzury przypadłby do smaku?

Syn wodza wodzów z trudem pokonał chęć rejterady do wnętrza chaty. Oto białolicy zaczęli odprawiać czary. Co z nich wyniknie? Ale po kilku chwilach ciekawość przeważyla obawy. Pozostał.

Na placyk zaczęli ściągać wojownicy. Widocznie wieść o tajemniczych czarach, odprawianych przez białolich przybyszów, rozeszła się szeroko po całej wsi. Widzowie otoczyli ciasnym kołem kamień, na którym siedział Mendez. Odprowadzali spojrzeniem każdy spadający na ziemię kosmyk włosów.

- Gotowe.

Ukłon Escobara był tak pełen gracji, że nie powstydzilby się go nawet nadworny balwierz. Mendez spojrzal w zwierciadło, demonstrując przesadny zachwyty. Widzowie byli nie mniej zachwyceni.

- Niech syn wodza wodzów usiądzie - Mendez wskazał na kamień, z którego dopiero co wstał - jego włosy staną się równie piękne i gładkie.

Jednakże syn Kibiana złapał za ramię jednego ze stojących obok wojowników i popchnął w kierunku kamienia. Czary nie przyniosły szkody białolicemu. Przeciwnie - upiękowały go. Widział to na własne oczy. Ale jak będzie, gdy miejsce białego zajmie człowiek o ciemnej skórze?

Escobar uśmiechnął się.

- Ostrożny!

Indianin szedł jak na ścięcie. Twarz miał szarą, oczy rozszerzone przerażeniem. Usiadł ociągając się, jakby zamiast kamienia miał pod sobą ognisko. Nie przestawał zezować na rękę Escobara.

- Nie bój się - głos Escobara był słodszy od miodu - łba ci nie odetnę; jeno kołtuny. Choć nie wiem, czy bez sierpa poradzę.

- To dobry czar - uspokajał Mendez.

Indianin przełknął głośno ślinę.

- Kai-pe nie uczynił białolicym nic złego - szepnął.

Gdy nożyce błysnęły tuż nad nim, przymknął powieki. Potem uspokoił się. Czary białolich nie sprawiały bólu. Mendez podsunął mu pod nos zwierciadło:

- Niech oczy Kai-pe patrzą.

Otworzył je z widocznym wysiłkiem. Zaczął stroić zabawne miny do swego odbicia. Widzowie podeszli bliżej. Syn Kibiana stał już w pierwszym szeregu.

Escobar podciął jeszcze w jednym miejscu włosy i przejechał po nich grzebieniem.

- Czar skończony - oznajmił Mendez. - Głowa Kai-pe jest piękna i jeszcze piękniejsza.

Indianin zresztą był tego samego zdania. Odszedł w podskokach.

Mendez znowu spojrzał na syna Kibiana i ponowił zapraszający gest. Tym razem podeszedł odważnie. I nawet nie zmrużył oczu, gdy Escobar przystąpił do porządkowania jego włosów. A potem nie był w stanie oderwać wzroku od swego odbicia. Sapał uszczęśliwiony.

- Słowa białoliczych były prawdziwe - oznajmił głośno - to dobry czar.

- Słowa białoliczych zawsze są prawdziwe - rzekł Mendez. - Niech ta rzecz - wskazał lusterko, którego Indianin nie wypuszczał z rąk - pozostanie na wszystkie dni u syna wodza wodzów. - Wręczył mu nożyce i grzebień - Te rzeczy również.

Syn Kibiana przypatrywał się podarkom, potem zaczął je obwąchiwać. Inni zaglądali mu przez ramię.

- Ten czar białoliczych - Mendez podniósł głos, by go słyszeli wszyscy - jest mały i dobry. Ale białolicy potrafią również czynić czary wielkie i straszne.

Indianie wciąż otaczali syna kacyka ciasnym wieńcem. Każdy chciał się przejrzeć w zwierciadle.

- Wspaniały czar - cmokali w zachwyceniu.

- W moim brzuchu nie ma gniewu przeciw białoliczym - oświadczył łaskawie obdarowany. Rzucił kilka gardłowych słów i wśród Indian powstał ruch.

- Co on powiedział? - spytał Escobar.

- Nie pojąłem.

Kilku Indiosów pobiegło w kierunku wsi. Escobar śledził ich podejrzliwym wzrokiem.

Przynieśli jadło ułożone na drewnianych ni to nieckach, ni to tacach. Ptaki pieczone na rożnie. Owoce wydłużone i wąskie, które po odarciu grubej skórki miały smak niepodobny do niczego innego. Ciemne placki kassabi. Parujące bulwy. Gliniane naczynia z ciemnobrunatnym napojem, pachnącym słodko i cierpko zarazem, tłustym i mile łechcącym podniebienie. Wreszcie pojawiły się wydrążone tykwy, zawierające biały, gęsty jak mleko, lekko musujący płyn.

- Giga! - syn Kibiana mlasnął zachęcająco językiem. Escobar pochłaniał zapasy z łapczywością człowieka, który ma za sobą długie tygodnie postu.

- Mleko? - wybełkotał pełnymi ustami. - Niby skąd? Nie mają przecież krów.

- To nie mleko - rzekł Mendez. Słyszał już o „gidze” i jej skutkach - Ostrożnie - syknął ostrzegawczo, gdy Escobar sięgnął po tykwę.

Ręka Escobara zawisła w powietrzu.

- Mniemasz, że zaprawione jadem?

- Indiańskie wino - wyjaśnił Mendez. - Idzie do głowy i w nogi. Bardziej krzepkie niż nasze.

- Wino? - spytał z niedowierzaniem Escobar.

- Pędzą je z ziarenek, które zwą „ma-iy-s”.

- Więc jakże, można pić, czy nie można? - z tłumioną zazdrością obserwował Indian.

Ci jednym haustem potrafili opróżnić połowę zawartości tykwy.

- Można. Jeno z umiarem. Musimy pamiętać, że nie jesteśmy wśród swoich.

- Jasne. Niech suka ich nazwie swoimi - Escobar zaczął popijać skąpymi łykami. -

Cóż - otarł wierzchem dłoni usta - złe to nie jest. I słodkie, i krew rozgrzewa. Aż grzech, że podobny specjał mają poganie.

Wyciągnął się swobodnie na ziemi, rozluźniając sprzączki półpancerza.

- Najadłeś się?

- Jeszcze jak! - sapnął.

Syn Kibiana wychylał tykwę po tykwie. Z każdą chwilą stawał się bardziej wylewny, usta mu się nie zamykały. Mendez, choć słuchał go uważnie, rozumiał niewiele.

- Plemiona Yeragui nie żywią złości do białoliczych? - zapytał w pewnym momencie.

Indianin spojrzał na niego z ukosa.

- W moim brzuchu nie ma złości. Dziś - wskazał na słońce - ale gdy dzień zgaśnie... - urwał.

Mendez kilkakrotnie próbował nawiązać rozmowę w tej kwestii, ale syn Kibiana kręcił tylko przecząco głową. Zbliżał się wieczór. Mendez wstał.

- Niech syn wodza wodzów powie swemu ojcu, że wielki biały wódz miłuje ludy Yeragui.

- Usta moje powtórzą słowa białoliczych - odparł Indianin.

- Niedobrze mu z oczu patrzy - zauważył Escobar.

- Niedobrze - mruknął Mendez.

Wyprawa nie przyniosła spodziewanego rezultatu. Było oczywiste, że Indianie przygotowywali się do wojny i nie mieli zamiaru z niej zrezygnować.

W czasie drogi powrotnej Mendez i Escobar ujrzeli - tym razem z bliska - liczne zastępy mężczyzn w wojennych barwach i leżące na trawie stosy broni. Mendez przyglądał

im się obojętnie, ale jego spokój był pozorny. Jak stawia czoło tysiącom Indian? Działa, arkebuzy nie zdadzą się na nic. Tym bardziej fortalicja ze słomy. Co począć? Ani wyjść w morze, ani pozostać na lądzie. Czyżby nie było ratunku?

Wciąż nowe ogniska, wciąż nowi wojownicy, wciąż nowe składy oręża. Syn wodza wodzów uśmiechał się drwiąco. Może umyślnie ich tędy prowadził, by zobaczyli na własne oczy potęgę Kibiana?

Dotarli do brzegu. Ludzie z kanoe wytrzeszczyli oczy, jakby stanęły przed nimi mary nie z tego świata. Żaden z nich nie spodziewał się zobaczyć białoliczych żywymi.

Wódz wodzów rzekł przecież: „Wszyscy białolicy są naszymi wrogami. Każdego należy pozbawić życia. Nie może ujść ni jeden”. A wojownicy na widok przybywających w kanoe białych ludzi krzyczeli: „Głowy ich ozdobią naszą wieś”. I spór był tylko o to, czy należy je odjąć zaraz, czy też dopiero wtedy, gdy biali wejdą pomiędzy chaty.

A teraz ci, którym miano odjąć głowy, idą cali i zdrowi. Nawet się uśmiechają. Groty włóczni w rękach wojowników wzniesione są ostrzami ku niebu. Syn wodza wodzów towarzyszy białolicym, jakby byli drogimi jego sercu gośćmi. - Syn Kibiana zatrzymał się.

- Białolicy odchodzą - rzekł. - Dzień gaśnie. Echa słów, które spłynęły z ust, już nie słychać.

- Białolicy powrócą, miłuję bowiem ludzi plemion Veragui - odparł Mendez z najpiękniejszym, na jaki się potrafił zdobyć, uśmiechem.

- Białolicy nie powrócą już nigdy - wycedził syn wodza. Stał jeszcze chwilę, potrząsnął zwierciadłem, które wciąż trzymał w dłoni, i obróciwszy się na pięcie odszedł w głąb wsi.

Za nim pociągnęła reszta Indian.

„Powrócimy - myślał Mendez patrząc w ślad za odchodzącymi. - Tam, gdzie raz stanęła stopa chrześcijanina, nie ma miejsca dla jego wrogów”. Potem zwrócił się do załogi kanoe:

- Ludzie ze wsi Tu-pej odwiożą białoliczych ku skrzydlatym kanoe.

- Ludzie ze wsi Tu-pej odwiożą białoliczych - powtórzył jak wierne echo przywódca załogi - ale białolicy dadzą im rzeczy, które rąbią. Jeszcze po jednej dla każdego.

Nie chciał słyszeć o niczym innym. Na widok paciorków wzruszył ramionami. Grzechotki również go już nie interesowały.

- Znow się targują? - domyślił się Escobar.

- Znow.

- Chcą gwiazdki z nieba?

- Gorzej. Ośmiu toporów.

- Nie mamy przecież.

- W tym właśnie sęk. Powiedzieli, że mniej nie wezmą. I obawiam się, że tym razem dotrzymają słowa.

Escobar zaklął. - Przyłożyć by tym pogańcom sztych do gardła, zaraz by zmiękli!

- Sam wiesz, że nie możemy tego zrobić.

- Rzecz jasna”, że nie możemy - westchnął Escobar.

- A gdyby dać im te topory? - zastanawiał się na głos Mendez.

- Ba, tylko skąd je wziąć?

- Z toldy. Damy, gdy nas odwiozą.

- Oby się tylko zgodzili. - Escobar myślał z rozpaczą o powrotnej drodze na własnych nogach.

- Cóż, spróbować nie zawadzi. - Mendez przystąpił do barczystego Indianina, który siedział już w łodzi, i przedstawił mu propozycję.

Ten zastanowił się.

- Jakże ludzie ze wsi Tu-pei mają wieść białoliczych, którzy nie dadzą im nic?

- Damy rzeczy, które rąbią - tłumaczył cierpliwie Mendez.

- Nie mamy ich ze sobą. Są na skrzydlatych kanoe. Indianin kręcił z powątpiewaniem głową.

- Myśli człowieka, który chce płynąć kanoe, są inne niż tego, który już wysiada po przebyciu drogi - rzekł.

Mendez udał oburzenie.

- Myśli białoliczych są zawsze takie same. I na początku drogi, i u jej kresu.

Pomiędzy chatami płonęły ogniska. W odległości kilkudziesięciu kroków od brzegu kłębiło się rojowisko zbrojnych, którzy zaprzysięgali śmierć chrześcijanom. Syn Kibiana odszedł i w razie napadu nikt nie powstrzyma wymierzonych w nich grotów. Sytuacja była poważna.

Tymczasem Indianie naradzali się gestykułując gwałtownie. W końcu ucichli.

Przywódca wsparł się na wiośle.

- Ludzie ze wsi Tu-pei wierzą białoliczym - rzekł. - Atalko

- wskazał na siebie - też wierzy.

CZTERY GAŚIORKI WINA

Admirał tkwił nieruchomo w fotelu, adelantado chodził nerwowym krokiem po toldilli. Zatrzymał się przed bratem.

- Zarzucają nam, że nie podejmujemy wyprawy przez góry do krainy Maya - rzekł.

- Notariusz?

- I on, i inni. Ich słowa znajdują coraz szerszy posłuch.

- Nie możemy rozdrabniać naszych sił. Do tego na niewiadomy okres czasu. Dziesięć dni marszu dla kogoś, kto zna drogę, to co najmniej w dwójnasób tyle dla człowieka, który jej nie zna. Policz teraz: marsz w obie strony, pobyt na miejscu... Bez dział, bez zapasów, przy stałym niebezpieczeństwie napadu! Wyprawa pochłonięłaby całe miesiące. Nam zaś nie wolno stracić ani jednego zbytecznego dnia. Pojmujesz?

- Masz na myśli stan okrętów? Kolumb zachnął się niecierpliwie.

- Okręty? Nie w tym rzecz. Złoto, perły! Być może wreszcie natrafiliśmy na „złote dno” świata. Na skarbnicę, z której można czerpać pełną garścią. Ale skarbnica dostępna dla wszystkich traci większą część swej wartości. Przed pięcioma laty nikt nie wiedział o istnieniu tego lądu. Ja go odkryłem. Ale teraz? Jedni już tu byli rabując perły, inni płyną, jeszcze inni sposobią okręty. Najważniejsza sprawa to zawarować sobie wyłączne prawo do tych ziem. I najpilniejsza. Dlatego musimy tkwić kamieniem w miejscu i czekać, aż przybór wód pozwoli na wyprowadzenie okrętów na morze. Potem jak najprędzej do Kastylji.

- A jeśli odmówią? - Don Bartholomeo dawno już stracił zaufanie do obietnic korony.

- Wtedy znajdę inne drogi. Lojalność? Polityka? Błaganie tam, gdzie przywileje skrzepione wielką pieczęcią królewską pozwalają żądać? - Uderzył pięścią o blat stołu: - Dość!

*

Tymczasem dwa kanoa zbliżały się do ujścia rzeki Iebro. Pierwsze popłynęło dalej, wzdłuż morskiego brzegu. Drugie skręciło ku stojącym na kotwicy okrętom. Wśród ciemnych sylwetek Indian połyskiwały dwa złociste pancerze.

Mendez zwrócił się do Escobara.

- Ja pójdę do admirała - szepnął - ty przypilnujesz, żeby wydano im topory. I postarasz się zatrzymać Indiosów do jutra.

Escobar nie potrafił ukryć zdumienia.

- Do jutra? Dlaczego?- Sądzę, że będą potrzebni - uciał Mendez.

- Jak ich do tego skłonić? Nie zechcą!

- Wino. Dwa gąsiorki, pół tuzina, ile będzie potrzeba. Wydam stosowne polecenie despensero.

- A jeśli pomimo wszystko nie zechcą?

- Muszą pozostać. W każdym razie do czasu mego powrotu od jego dostojności.

Escobar westchnął z rezygnacją.

- Dobrze. Skoro muszą, pozostaną.

- Zrób jednak wszystko, by uniknąć gwałtu.

- Szkoda, że nie znam ich mowy.

- Po trzecim gąsiorku dogadacie się bez trudu. Wskoczyli na brzeg.

- Ludzie ze wsi Tu-peí muszą opuścić kanoe, by otrzymać rzeczy, które rąbią - oświadczył Mendez.

Wychodzili ociągając się. Mieszkańcy Betleem zbiegli się ze wszystkich stron. Mendez ledwo zdołał się przecisnąć.

Escobar odprawił ciekawych i poprowadził wioślarzy do swej chaty. Nie odpowiadał na pytania towarzyszy, zasłaniając się rozkazem admirała.

„Zaczekacie tu!” - nakazał Indianom wymownym gestem. Pojęli.

Despensero był już uprzedzony.

- Tak kontador mi wspomniał. Topory i wino.

- Wino ma być krzepkie - zastrzegł Escobar.

Gdy wrócił, czerwonoskórzy jak na komendę wyciągali ręce. Wręczył każdemu po toporze. Od razu podbiegli do kłody leżącej opodal. Jeden z toporów już po trzecim uderzeniu rozleciał się w kawałki. I to akurat ten, który Escobar wręczył przywódcy.

Podczas gdy Indianin z wyrazem zawodu na twarzy pochylał się nad żelaznymi odłamkami, Escobar pobiegł, wściekły, do toldy i wraz z despensero wybrał topór, który wytrzymał wszystkie próby.

Zbliżała się najtrudniejsza część zadania. Escobar rozstawił na trawie gąsiorki. Oderwał woskową pieczęć. Złocista struga popłynęła do kubka, w nozdrza uderzała przyjemna woń.

- Atalko wypić - podsunął przywódcy kubek pod nos. - Dobrze - zamlaskał głośno, głaszcząc się z zachwyconą miną po brzuchu.

Atalko patrzył nieufnie. Escobar napełnił pozostałe kubki, sam wypił spory haust.

- Dobrze! - wywracał oczy. - Giga - powiedział wreszcie. Indianin potrząsnął głową. Giga? To nie było podobne do gigi.

Ale białolicy pił i oczy jego stały się świetliste. „Dobry czy zły czar?” - myślał Atalko. Dotknął ostrożnie powierzchni płynu końcem języka. Powąchał. Indianie patrzyli na przywódcę nieruchomym wzrokiem. Każdy obejmował naczynie sztywnymi palcami.

Escobar napełnił ponownie swój kubek i popijał wino skąpymi łykami.

Wreszcie Atalko przytknął krawędź cynowego naczynia do warg. Wysączył wino do ostatniej kropli i patrzył smętnie na dno kubka. Nieruchoma dotąd grupka w jednej chwili nabrała życia. Indianie pili, głośno siorbając. To było lepsze od gigi.

Atalko pierwszy wyciągnął swój kubek.

- Daj.

Escobar tylko na to czekał.

Pili bez umiaru. W połowie czwartego gąsiorka mieli już dosyć. Atalko chciał się podnieść, usiadł jednak z powrotem. Jego towarzysze patrzyli na siebie bezradnie, rozprawiając ochryplymi głosami.

- Pod tym dachem - Escobar wskazał pustą chatę - ludzie ze wsi Tu-pei spędzą noc. Jutro - podniósł rękę ku niebu - popłyną na swym kanoe dalej.

Indianie zrozumieli tylko dwa słowa: „Tu-pei” i „kanoe”. Resztę dopowiedziały dłonie białolicego.

- W tej chacie ludzie ze wsi Tu-pei spędzą noc - wybełkotał Atalko.

Wspierając się wzajemnie, przestąpili próg.

*

Don Bartholomeo opuścił admiralską toldillę. Potem przyszedł de Kadis, składając raport o stanie wody. Nic pocieszającego. Ani marzyć o wyprowadzeniu okrętów na morze.

Wreszcie Kolumb został sam. Piasek przesypywał się powoli w ampollecie. Admirał oparł głowę na rękach, przymknął oczy. Okręty. Całe mnóstwo okrętów... Wszystkie płyną ku Veragui. Ludzie o drapieżnych oczach. Uczni, żeglarze, jaśnie wielmożni z różnych krajów, z różnych stron świata. Każdy myśli o jednym: wyrzucić mu to, co odkrył. Zawładnąć lądem. Zrabować bogactwo, które rodzą skały i morza.

Płyną. Są coraz bliżej. Być może zbrojni w królewskie przywileje.

A on? Tkwi w tej przeklętej matni, o setki lig od chrześcijańskiego świata. Co czeka go po powrocie - jeśli uda mu się powrócić? Przed oczami stanął rok tysiąc pięćsetny.

Żelaza na rękach i nogach. Zbrojna straż. Na nabrzeżu portu gęste tłumy. Sprowadzają go z okrętu. Wiodą po ulicach. Brzęk kajdanów. Sucho stukają drzewca halabard o kamienny bruk. Zjadliwe śmiechy wśród szpalerów ciekawych. Wrogie okrzyki. Potem... To już nie miało znaczenia. Ani złoto ofiarowane mu przez koronę, ani przywrócenie do czci. Tej drogi wśród tłumu nie zapomni, choćby żył całe wieki. Ukrył twarz w dłoniach.

Drgnął. Stukanie do drzwi. Kto znów? Podniósł się ociężale z fotela, odsunął rygiel.

- Mendez - wykrzyknął z radością - wróciłeś! Chwała Panu na wysokościach! Przez cały czas gnębiła mnie troska o twój los!

- Wróciliśmy obydwaj. Zdrowi i cali. Admirał położył ręce na ramionach Mendeza.
- Opieka boska była nad wami.
- Prawdę mówiąc, w chwili, gdy wyruszaliśmy, więcej myślałem o śmierci niż o życiu.

- Poszliście mimo to...

Mendez usiadł. W zwięzłych słowach zdał sprawę z wyników swej misji. I tym razem nie wspomniał o „czarach” ni „czarowniku” - powiedział: „lekarz” i „lek”.

Kolumb słuchał go ściągawszy brwi.

- Więc nie zaniechali zamiaru napaści? - spytał wreszcie.
- Nie. Trwają w pełnym pogotowiu do wymarszu.
- Cóż, puszkarze przy działach, prochy pod ręką, kule również. Ludzie w osadzie otrzymali broń. Zostali uprzedzeni. Uczyniliśmy wszystko, co w naszej mocy. Reszta w rękę Boga.

- Może jednak... - zaczął Mendez.

Kolumb odwrócił się gwałtownie ku niemu. Temu człowiekowi nigdy nie brakło pomysłów.

- Sądysz, że można by było uczynić coś jeszcze?
- Sądzę, iż musimy uczynić coś więcej. Pogotowie bojowe bynajmniej nie rozwiązuje sytuacji. Indianie mogą zwlekać z atakiem przez całe niedziele.
- Co masz na myśli? - Kolumb patrzył nań z napięciem.
- Zamierzają nas zaskoczyć zniemacka - rzekł Mendez. - A gdyby odwrócić bieg rzeczy?

- To znaczy uderzyć na nich niespodziewanie? Sam powiadałeś przed chwilą, że uzbrojonych Indianów trzeba liczyć na tysiące. A my? Tym bardziej, że nie ma możliwości użycia dział...

- Nie myślałem o pokonaniu ich w otwartej walce. - Mendez wstał. - Wasza dostojność zechce mi wybaczyć. Zgłoszę się jutro z gotowym planem. Muszę go jeszcze rozważyć.

Kolumb wstał również.

- Wierzę, że wszystko ci się uda, synu. Masz szczęśliwą rękę. Teraz pewność bardzo zdrożony?

Był zaiste zdrożony. Miał za sobą bezsenną, pełną grozy noc. Miał za sobą odwiedziny we wsi Kibiana. Uważano go zawsze za człowieka o żelaznym zdrowiu, ale tym razem był u kresu sił. Pomimo to, wracając, wstąpił do Escobara.

Zastał go siedzącego na kłodzie, z przełożonym przez kolana arkebuzem. Powitał Mendeza porozumiewawczym zmrużeniem cka.

- Śpią - ruchem głowy wskazał wejście - jak susły.

- Łatwo ci poszło?

- Ba, cztery gąsiorki.

- Cztery? - uśmiechnął się Mendez.

- Ani kropelki mniej.

- To bywaj. Muszę się przespać, padam wprost z nóg. Wnętrze słomianej chaty wydawało się Mendezowi zaciszne, przytulne i wygodne. Zdjął półpancerz, zzuł ciżmy, rozluźnił kołnierz. Wyciągnął się na posłaniu z niewymowną ulgą.

Nad rzeką stała gęsta mgła. W powietrzu drgał metaliczny odgłos wydzwanianych na okrętach półgodzin. Ogniska strzelały wysokim płomieniem. Ich odbłask sączył się przez szpary w macie zasłaniającej wejście.

Ktoś, nie wiadomo kto, począł nucić. Z wolna przyłączały się doń inne głosy. Pieśń rosła, aż wreszcie popłynęła falą.

Mendez przymknął oczy.

Kastylia... Szmaragdowe plamy rozległych pól.. Bite gościńce. Złociste krzyże na strzelających ku niebu wieżycach kościołów. Miasta. Prawdziwe miasta z kamienia i cegieł. Bogate fasady pałaców. Wyniosłe mury. Wesoly gwar tętniących życiem ulic. Jeźdźcy na koniach, karoce, lektyki. Ruchliwy, barwny tłum przechodniów.

Nieustający gwar i zgiełk. Zalotny stukot kobiecych obcasów o kamienne flizy chodników. Grzechot kastanietów. Echo organów i basowe dudnienie rozkołysanych dzwonów. Nawoływanie ulicznych kramarzy. Nabożne pienia ciągnących ulicami procesji. Skamłanie żebraków. Powłóczyście spojrzenia czarnych jak agat oczu. Łagodny, orzeźwiający chłód kastylskich nocy, przepojonych słodkim zapachem kwiatów i dźwiękami serenad.

Usnął.

PLAN MENDEZA

Kapitan Francesco de Porras uchylił ostrożnie drzwi, wpuszczając kapitana Diego Tristana. Potem rozejrzał się, przesuwając nieufnym spojrzeniem po platformie toldilli. To nie była zwykła wizyta.

- Zamknij wreszcie! - zniecierpliwził się notariusz. Usłuchał. Szczęknął zasuwany rygiel. Tristan zrzucił kapuzę i rozparł się na zydlu.

- Jestem więc.

- Nikt was nie widział? - spytał notariusz.

- Noc! - roześmiał się szorstko - ciemnica, choć oko wykol. I jeszcze mgła. Gdyby nie wasze latarnie, minąłbym chyba „Santiago”, płynąc wprost w ramiona Indiosów. Dopiero byliby radzi! Francesco napełnił pucharki.

- W wasze ręce..

- I w wasze.

Notar obserwował nieznacznie swego gościa. Zdawałoby się, człowiek topiący swe myśli bez reszty w winie. A przecież kto wie, czy nie on właśnie zadecyduje o wyniku gry.

Ciszę mącił tylko szcęk pucharków. Kapitan Francesco de Porras dbał, aby ani przez chwilę nie były próżne.

- Rozważyliście naszą propozycję, kapitanie? - spytał notariusz, gdy uznał, że czas już przystąpić do sprawy.

- Tak.

- I jaką przynosicie odpowiedź?

- Zgadzam się.

Notar nie okazał rozradowania. Starał się nigdy nie zdradzać swych uczuć.

- Zdołacie doprowadzić armadę do brzegów Kastylii?

- Gdyby było inaczej, nie rozmawiałbym z wami. Nie mam zwyczaju rzucać słów na wiatr.

- Czego w zamian żądacie?

- Trzech tysięcy sztuk złota.

Kapitan Francesco podskoczył na swym zydłu. Twarz don Diego pozostała nieruchoma.

- Przeszło półtora cuento?

- Trzy tysiące sztuk złota.

- To więcej niż półtora miliona marawedów - stwierdził notariusz.

Tristan wzruszył ramionami.

- Gdyby przeliczyć na blanco, wypadłoby więcej niż trzy miliony. Ale kastelianów jest tylko trzy tysiące.

- To bardzo wielka suma.

- Rzecz też niemała. Beze mnie i bez admirała armada nie dopłynie do brzegów Hiszpanii.

Notariusz przymknął powieki.

- Dobrze więc - rzekł wolno. - Gdy okręty zarzucą kotwie w Kadyksie, otrzymacie całą sumę.

- Jakąż mogę mieć pewność?

Notariusz podniósł rękę.

- Musi wam wystarczyć słowo.

- Słowo? - kapitan Tristan sięgnął po pucharek. - Nie. Z chwilą gdy okręty podniosą kotwie, wychodząc pod moim dowództwem w morze, otrzymam połowę sumy.

- Chcecie otrzymać rewers? - zdumiał się notariusz.. - Chcę otrzymać złoto.

- Czyż przypuszczacie, że wozimy ze sobą septy pełne kastelianoów?

Tristan odął wargi.

- Mogą być espadiny, dukaty, nie zależy mi na stemplu. Byleby tylko trzymały wagę.

W ostateczności gotów jestem wziąć zaliczkę w sztabkach czy bryłkach.

Notariusz splótł nerwowo palce.

- Nie posiadamy takiej sumy.

- To już wasza rzecz.

Krótkie porozumiewawcze spojrzenie starczyło braciom za całą rozmowę.

- Gdybyście otrzymali tę sumę, kapitanie - podjął notariusz - wręczylibyście nam karty z wykreślonym kursem?

Tristan roześmiał się cicho.

- Karty? Nieraz mówiliście o ostrożności, którą musimy wszyscy zachować w tej grze.

Nie wręcę wam kart. Ni konotatek.

- Poprowadzicie armadę w kierunku przylądka Gracias a Dios? - wtrącił się kapitan Francesco.

- Nie. Po cóż bez potrzeby nadkładać drogi? Mniemam, że uda mi się wytknąć szlak znacznie krótszy.

- Któredy?

Czekali w napięciu odpowiedzi. Tristan podniósł oczy, oglądając z pozornym zainteresowaniem misterny deseń krat na szklach latarni.

- Minęło wiele bezsennych nocy, nim zdołałem ze szczątków ułożyć całość - powiedział cicho. - Mógłbym prowadzić armadę, nie obserwując nawet położenia ciał niebieskich. Ale chciałbym mieć pewność, że wyjdę żywy na brzeg Kastylii. Dowódcy okrętów będą otrzymywać o świcie każdego dnia wykres kursu na dany dzień i następną noc. To wszystko.

- Jak uważacie, kapitanie. - Notariusz z trudem poskromił narastającą w nim wściekłość.

Narada była skończona. Francesco odpieczętował nowy gąsiorek.

Gdy kapitan Tristan opuścił toldillę, bracia siedzieli przez chwilę w milczeniu.

- Ostrożny! - mruknął wreszcie notariusz.

- Trzy tysiące sztuk złota! - westchnął Francesco sapiąc gniewnie. Znów zamilkli.

- Kiedy chcesz... zacząć? - spytał Francesco. Notariusz uśmiechnął się nieznacznie.

- Spieszno ci? To zrozumiałe. A jednak musimy poczekać.

- Na co?

- Nie pojmujesz? Po pierwsze woda musi przybrać. Póki nie opuścimy Betleem, bezpieczeństwo armady pozostanie najwyższym prawem. Nie wolno rozdrabniać sił. Po drugie zaś, i to jest najważniejsze, czas pracuje dla nas. Kolumb ponosi porażkę za porażką. Nie podjął wyprawy za góry. Nie ujarzmił Indiosów. Jeszcze miesiąc, jeszcze dwa, i cała armada będzie przeciw niemu. Wtedy uderzymy.

Francesco trwał w zamyśleniu, marszcząc czoło.

- A jeżeli... - zaczął - jeżeli Kolumb ujarzmi Indiosów? Notariusz zaśmiał się krótko.

- To niemożliwe - rzekł.

- Niczego nie można przewidzieć. Co wtedy?

Notariusz rozłożył ręce. - Wtedy Kolumb odzyska mir wśród załogi. Będziemy bezsilni. Przegramy. - Ale widać było, że nie bierze tego poważnie.

*

Kapitan Tristan święcie wierzył, że nikt go nie dostrzegł w czasie nocnej wycieczki. A jednak od chwili, gdy przekroczył próg swej toldilli, czujne oczy śledziły każdy jego krok.

Bolio już nie żył, miejsce jego jednak nie pozostało próżne. Zastępował go inny człowiek, który objął swe funkcje natychmiast po śmierci poprzednika. Trwał teraz w pobliżu okienka toldilli na „Santiago de Palos”. Wśród miękkich bel, wśród skrzyń i beczek było mu ciasno, brakowało powietrza. Mimo to słuchał, napięty jak struna. Z tej rozmowy nie mógł uronić ani jednego słowa-

Spiskowcy doszli do porozumienia. Teraz będą popijać wino. Na stole zjawiał się pękaty gąsiorek. Następca Bolia opuścił posterunek. Prześliznął się błyskawicznie ku sznurowej drabinie. U jej stóp chybotąło kanoe, którym przyplłynął gość. Chyba zdąży wrócić, nim kapitan opuści toldillę de Porrassa.

Wiosłował ostrożnie i powoli. Dopłynął do burty statku. Łańcuch kotwiczny zastąpił mu drabinę.

Na pokładzie pusto i cisza. Podciągnąwszy się ze zręcznością jarmarcznego linoskoczka na rękach, przesadził poręcz i wylądował na deskach platformy przed toldillą kapitana.

*

Kolumb otulił się szczelniej podbitą futrem opończę.

Złocista struga piasku w ampollecie spływała powoli i jednostajnie. Poza grubym szkłem latarni pełgał nikły płomyk oliwnego kagańca.

Ferdynand spał niespokojnie, rzucając się na wąskim łożu. Wciąż nie mógł przyjść do siebie po słabości, na którą zapadł w czasie podróży. „Może jednak matka miała rację? - myślał Kolumb - może nie należało go zabierać na wyprawę? Któż jednak był w stanie przewidzieć, że te morza i oceany okażą się tym razem aż tak zdradliwe? Że burze szaleć na nich będą niemal bez przerwy przez całe trzy miesiące?”

Ciche stukanie do drzwi. Kolumb drgnął. Ukrywszy w rękawie wenecki sztylet o wąskim zatrutym ostrzu, zacisnął mocno dłoń na rękojeści. Potem dopiero odsunął rygiel. Z mroku wyłoniła się znajoma twarz: był to Juarez, zwerbowany przez Mendeza na miejsce Bolia. Miał polecenie śledzenia Porrasów.

Skoro przychodził wśród nocy, sprawa zapowiadała się poważnie. Kolumb wciągnął go do wnętrza. Zamknął drzwi.

- Mów!

Juarez powtórzył szeptem podsłuchaną rozmowę, a potem wręczył Kolumbowi mapę skradzioną z sepetu kapitana Tristana.

- Rad jestem z ciebie. - W mdłym świetle latarni błysnął złoty kasteliano. Za służbę w ciemnościach, za grozę skrytobójczej śmierci płacono złotem. To było regułą.

- Bacz dalej. - Nikt nie wie, żeś tu przyszedł?

- Nikt.

Po chwili Kolumb był już sam. Rozwinął rulon. Sprawdził pobieżnie obliczenia i namiary. Były przerażająco dokładne. Nie mniej wierne niż jego własne.

Długo wpatrywał się w papier. Nie przeceniał wagi swego sukcesu. Człowiek, który sporządził tę kartę, z pewnością potrafi ją odtworzyć.

Kolumb wstał ciężko. Zachrobetał sekretny zamek sepetu, dzieło rąk genueńskiego mistrza. Sepet był stary, poobtłukiwany i otarty. Kolumb nie rozstawał się z nim od lat wczesnej młodości. Wiózł go, gdy jako oficjalista Domu Paolo Negri i Lodovico Centurione odbywał handlowe rejsy ku wyspom greckim. Był z nim w Portugalii. Był w zamku gubernatora wyspy Porto-Santo. To sprzęt, który przetrwa wieki. Mocny, obity sztabami żelaza, niedostępny.

Oliwa w kaganku dopalała się. Mrok gęstniał po kątach. Tajemnica drogi powrotnej nie stanowiła już wyłącznej własności Kolumba. Pozostało tylko jedno: zapanować nad Veragua. Jeśli tego nie dokaże - przegra.

*

Wstawał nowy dzień. Zawartość dwóch czterogarncowych gąsiorków wina nastroiła Indian przyjaźnie. Mimo to minęła chyba godzina, zanim pojęli, o co chodzi Mendezowi.

Atalko kiwał głową.

- Podpłynąć do wsi Kibiana, wpaść do wody i narobić krzyku? - powtarzał.

- Czyż kanoe nie wywracają się nigdy? - pytał Mendez.

- Bywa, że płyną po wodzie do góry dnem. Ale dlaczego białolicy chcą, żeby tak płynęły kanoe wsi Tu-pei koło wsi Kibiana?

- Myśli białoliczych pozostaną w ich własnych głowach. Atalko otrzyma jeszcze dwie rzeczy, które rąbią. Każdy z jego ludzi po jednej. Nikt nie będzie tak bogaty i potężny, jak oni.

Zastanawiał się.

- Gdy słońce zgaśnie, księżyc nie wszędzie na niebo.

- Nie. Tym łatwiej wszyscy dadzą wiarę, że kanoe ludzi Tu-pei natrafiło na korzeń i popłynęło do góry dnem.

- Księżyc nie wszędzie. Będzie ciemno.

- Gwiazdy nie zgasną, tylko księżyc.

- Ciemno - powtórzył z uporem - w ciemnościach złe duchy nabierają mocy.

- Czary białoliczych osłonią ludzi ze wsi Tu-pei przed duchami zła.

- Czary białoliczych są dobre dla nich samych.

- Są dobre dla wszystkich.

- Atalko tego nie wie. Ani nikt ze wsi Tu-pei. Duchy nocy pożrą ich serca.

- W każdej rzeczy, która rąbie, jest dobry czar. On odpędzi ducha nocy.

Atalko podniósł z ziemi topór i dokładnie go obejrzał.

- W tym jest dobry czar?

- Dobry i mocniejszy ponad wszystko.

Escobar, który drzemał wsparty o słomianą ścianę chaty, ocknął się. Słowo „czar” często padało z ust Mendeza i często powtarzali je Indiosi. Przymrużył oko. - Czaruj dalej - mruknął.

Atalko zwrócił się ku swoim. Ale wino sprawiło, że narada nie trwała długo.

- Atalko otrzyma dwa razy po dwie rzeczy, które rąbią. Kerrioka, Kerrien i Shumbee - wskazywał kolejno palcem - chcą mieć po dwie.

- Dobrze - powiedział Mendez. Chodziło o zbyt doniosłą sprawę, by tracić czas na targi. - I Atalko, i jego ludzie otrzymają to, czego zażądali.

Atalko nie oczekiwał tak szybkiej zgody. Stropił się. Trzeba było zażądać więcej. Ale słowo jest słowem. Wstał, potem znowu przysiadł na piętach.

- Ludzie ze wsi Tu-pei wywrócą kanoe, wpadną do wody i gardła ich narobią głośnego krzyku - rzekł. - Wszystko to stanie się w czas nocy, gdy ziemna sówka krzyknie trzy razy iuuu... iuuuu... Ale - podrapał się w zakłopotaniu za uchem - ziemne sówki często krzyczą. Skąd ludzie ze wsi Tu-pei mają wiedzieć” że to będzie ta, na której głos oczekują?

- Zawoła tak - Mendez huknął trzykrotnie. Atalko skrzywił się.

- Prawdziwe ptaki krzyczą inaczej.

- Być może. Ale właśnie na ten dźwięk wasze kanoe wywróci się do góry dnem.

Skrzyżował ręce na piersiach.

- Tak się stanie.

- Tak się stanie, - powtórzył Kerrien, a za nimi, jak echo, Kerrioka i Shumbee.

Mendez dotknął ramienia Escobara, który znowu zapadł w drzemkę.

- Każ im wydać dziesięć toporów. Tylko niech desperserc wprzód każdy wypróbuje.

- Idę - ziewnął. - I co dalej?

- Wypijecie strzemienego i niech robią, co chcą.

- Mogą odpłynąć?

- Mogą.

Escobar nie ukrywał ulgi. Był bardzo zmęczony. - Nareszcie człowiek wyciągnie się na własnym posłaniu! - westchnął.

- Radziłbym z tym nie zwlekać. Sądzę, że dziś wieczorem żaden z nas nie ułoży się do snu.

*

W toldilli Kolumba czekano na Mendeza z niecierpliwością. Don Bartholomeo raz po raz wyglądał na zewnątrz. Wreszcie zjawił się.

- Obmyśliłeś już, synu, swój plan? - zapytał bez wstępów Kolumb.

- Tak.

- Na czym polega? - don Bartholomeo podszedł ku niemu - powiadajcie!

Mendez nie usiadł mimo zaproszenia admirała. Był zbyt podniecony.

- Prawdą jest, że nie starczy nam sił na rozbitcie Indiosów - powiedział. - Gdy natrą na Betleem i okręty, odeprzemy jeden atak, drugi, choćby nawet i dziesiąty. Ale jest ich tu niezliczone mnóstwo. Za którymś razem nie starczy nam prochów, omdlałe ramiona nie zdołają już wnieść broni do ciosu i wtedy...

- To wszystko już wiemy - mruknął adelantado. Kolumb obrzucił go strofującym spojrzeniem.

- Słuchamy cię dalej, synu - powiedział łagodnie.

- Gdybyśmy jednak dostali w swe ręce samego Kibiana... - ciągnął Mendez.

- Co? - oczy Kolumba rozszerzyło bezmierne zdumienie.

- Jak powiadacie? - adelantado szarpał Mendeza za rękaw - Kibiana?

- Tak. I Kibiana, i jego rodzinę, i co ważniejszych wodzów. Wtedy Indiosi nie odważą się występować przeciw nam. Oznajmimy, że zakładnicy dadzą gardła przy pierwszej próbie ataku.

- Porwać Kibiana! - Kolumb opadł ciężko na fotel - z jego własnej wsi! Spośród tysięcy zbrojnych!

- Zbrojni przebywali we wsi Kibiana wczoraj - ciągnął dalej Mendez. - Wątpię, by pozostali tam również i przez dzień dzisiejszy. Wszystko wskazuje na to, że Indiosi odłożyli napad na stosowniejszą porę. Wiedzą, że poznaliśmy ich zamiary, że trwamy w pogotowiu. Przypuszczam więc, że roztasują się w poszczególnych wsiach, gdzie łatwiej będzie o żywność.

Przystąpił do szczegółowego omówienia planu.

- Indiosi, którzy krzykami ściągną strażę na brzeg? - zawołał w pewnym momencie Kolumb. - Zaiste, wspaniały pomysł! Godny samego Cezara.

Mendez uśmiechnął się powściągliwie. Ta skłonność do wielkich słów. Czy wszyscy w Genui są tacy?

- Gdy większość mieszkańców zbiegnie nad rzekę, wówczas wpadniemy do wsi. Jal Escobar znamy drogę do chaty Kibiana. Wszystko zależy od szybkości uderzenia i odwrotu. Zanim zdołają ściągnąć posiłki, powinniśmy być już daleko. Rzecz jasna, razem z jeńcami.

Kolumb przesunął ręką po czole.

- Znajdziesz drogę w puszczy? Nie zbłądzisz? - pytał.

- Nie zbłądzę. Należy dojść do rzeki Veragua, przeprowić się przez nią i posuwać się brzegiem.

- Być może Kibian rozstawił czujki wokół wsi.

- Z całą pewnością tego nie zaniedbał. Ale Indiosi - machnął ręką - w swej własnej wsi niezbyt przestrzegają subordynacji. Niech wasza dostojność nie zapomina o strażach, które udało nam się przekupić grzechotkami. Nikt nas nie zatrzymał, gdyśmy szli do chaty Kibiana. Nie wiedzieli przecież, jakie żywimy zamiary. Gotów bym przysiąc, że usłyszawszy krzyki na rzece strażnicy pobiegną zobaczyć, co się stało. Ciekawi są nad podziw.

Narada trwała. Kolumb zdawał sobie sprawę, iż plan Mendeza, mimo że szaleńczy i ryzykancki, miał jedną podstawową zaletę: był jedyną szansą zawładnięcia ziemiami Veragui. A jednak admirał zwlekał z decyzją.

W wyprawie musiało wziąć udział co najmniej osiemdziesięciu zbrojnych. Gdyby tak okazał się oddział wpadł w zasadzkę, gdyby został rozbity, los reszty załogi należałoby uznać za przesądzony.

Zdarzają się jednak sytuacje, w których nie pozostaje nic innego, jak tylko postawić wszystko na jedną kartę. Właśnie w takiej sytuacji znaleźli się teraz. Kolumb odetchnął głęboko. - Niech się stanie według twoich myśli.

Omówiono jeszcze ostatnie szczegóły. Nominalnym dowódcą wyprawy został również i tym razem adelantado, zaś cała odpowiedzialność za jej powodzenie spadła, jak zawsze, na barki Mendeza. On wybierze ludzi, sprawdzi ich uzbrojenie, wreszcie poprowadzi oddział ku wsi Kibiana i zorganizuje atak.

Wyruszyć mieli po zapadnięciu zmroku.

Wkrótce potem do admirałkiej toldilli zaproszono wszystkich dowódców i notablów. Kolumb przedstawił im plan wyprawy.

Nie żałował kwiecistych słów. Wspomniał o raju ziemskim, który leży w jednej z pobliskich krain. O Katayu, Indiach, Eufracie, Gangesie i Tygrysie. O tym, że przynieśli na te ziemie światło chrześcijańskiej wiary i muszą uczynić wszystko, aby rozgorzało ono w pogańskich sercach. Potem nastąpiły cytaty z Marco Polo, z Pliniusza, wreszcie z Pisma Świętego.

Dopiero po długim wstępie przystąpił do sedna sprawy. Teraz dopiero słuchano go ze skupioną uwagą.

Gdy skończył, rozległy się pełne aprobaty okrzyki.

- Jedyna rozsądna rzecz, jaką możemy uczynić - wołano. - Uderzą w pokorę! Dadzą wszystko, czego zażądamy!

Notariusz milczał zaskoczony. Nie spodziewał się ze strony Kolumba tak zdecydowanej akcji. Mogła pokrzyżować wszystkie jego plany. Gdy gwar ucichł, wystąpił z nieoczekiwanym protestem:

- Nie wolno nam brać w pęta ni Kibiana, ni jego rodziny, ni innych wodzów - oznajmił stanowczo.

Zapadła cisza. Wszyscy patrzyli na niego.

- Dlaczego? - zapytał Kolumb. Notariusz wyprostował się z godnością.

- Instrukcja ich królewskich wysokości dana w Walencji de la Torre w dniu 14 marca, roku pańskiego tysiąc pięćset drugiego - oświadczył - mówi między innymi: „Nie powinniście brać niewolników chyba że któryś z Indiosów zechce wam towarzyszyć do Kastylii po dobrej woli, jako tłumacz, z tym, żeby potem wrócić”.

- Instrukcja przez was cytowana - rzekł sucho Kolumb - nie ma zastosowania do wyprawy, którą zamierzamy podjąć.

Notariusz utkwiał w jego twarzy nieruchomy wzrok.

- Jak to pojmujecie?

- Instrukcja powiada jeno o niewolnikach. Ci będą zakładnikami.

- Cóż to za różnica?

Ale notariusz już wiedział, że przegrał.

- Niewolnikiem staje się człowiek po wieczne czasy. Kibian i inni stracą wolność tylko przejściowo, na tak długo, jak tego będzie wymagało nasze bezpieczeństwo. Potem ich zwolnimy. Instrukcja ma na celu zapobieżenie przywożeniu Indiosów do Kastylii wbrew ich woli. Tych nie zamierzamy wieźć do Kastylii. Chyba - zakończył - że pobyt wśród chrześcijan tak przypadnie im do serca, iż zechcą popłynąć do Kastylii dobrowolnie. Jako tłumacze.

Notariusz królewski zacisnął wargi.

- To są rozważania scholastyczne.

Kolumb przyjrzał mu się z demonstracyjną uwagą.

- Czyżbyście, don Diego, byli przeciwni filozofii chrześcijańskiej?

Notariusz poruszył się niespokojnie, umilkł.

- Przekonaliście mnie, admirale - rzekł wreszcie - cofam swoje poprzednie zastrzeżenia. Wyprawa nie jest sprzeczna z instrukcją królewską, na którą się powoływałem.

Ale Kolumb dojrzał wyraz jego oczu, nim notariusz zdążył je przesłonić powiekami. Były niemal żółte, jak u rozwścieczonego kozła.

Wstał.

- A więc wszyscy senores akceptują wyprawę? Teraz zgodzili się już jednogłośnie.

*

W toldilli na „Santiago de Palos” bracia de Porras znowu gościli kapitana Tristana. Tristan w skupieniu kruszył zielony воск, zamykający otwór wysmukłej szyjki gąsiorka z winem.

Dopiero po spełnieniu trzeciej z rzędu kolejki notariusz rzucił od niechcenia:

- Idziecie na tę wyprawę? Tristan odjął na chwilę krużę od ust.

- Nie tylko ode mnie to zależy - powiedział - ale plan admirała podoba się wszystkim.

Porwać wodzów spośród własnych wojsk. Niezły koncept.

- Niezły - skrzywił się notariusz - wodzowie zostaną porwani, plemiona uderzą w pokorę. My zaś pozostaniemy w tym zgniłym kraju aż do samej śmierci.

- Dlaczego tak sądzicie?

- To przecież oczywiste. Nie słyszeliście nigdy o próbach spisku przeciw ich królewskim gościom? Korona nęci. Choćby przyszło panować tylko nad dzikusami.

Tristan zamyślił się. Swego czasu głośno było o wypadkach pięćsetnego roku na Hispanioli. I różnie osądzano rolę, jaką Kolumb w nich odegrał. Kto wie, jaki byłby dalszy bieg wydarzeń, gdyby nie przybycie sędziego-gubernatora Bobadilli, który działając z mocy królewskich pełnomocnictw odesłał Kolumba w żelazach do Kadyksu. Niektórzy twierdzili nawet, że Kolumb wspólnie ze swym bratem organizował wtedy wśród Indiosów wojsko, zamierzając go użyć do przeciwstawienia się potędze hiszpańskiej. Czyż teraz nie mogło się to powtórzyć?

- Tak sądzicie? - bąknął.

- Komu spieszno z hołdem, gdy wzrośnie w siłę na tyle, by samemu hołdów od innych żądać? - cedził powoli notariusz.

Tristan nalał sobie wina i wypił je duszkiem.

- Jeśli wyprawa osiągnie zamierzony skutek, nie oglądać żadnemu z nas Kastylie - podjął znowu notariusz.

- Jeśli dozna niepowodzenia, całej armadzie grozi rychła zagłada - Tristan podniósł głowę - czyż nie tak, gości notarzy?

- Być może. Nie życzę bynajmniej wyprawie klęski - zastrzegł się pospiesznie.

- Ale nie życzycie jej również sukcesu?

- Pragnę, by wszyscy wrócili zdrowo i cało.

- Nie przyprowadzając jednak wodzów?

- W każdym razie Kibiana. W naszym interesie leży, żeby Kolumb - po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy wymienił nazwisko admirała - nie miał go w swoich rękach.

- W czym interesie?

- Nas wszystkich. Tych, którzy pragną wrócić na ziemię ojczystą. I tego, kto ma doprowadzić do niej armadę.

Tristan nie odpowiedział. Sprawa przestała być jasna. Stało się to, czego obawiał się notariusz. Nadwątloną pozycję Kolumba umocnił już sam plan wyprawy. Cóż dopiero, jeśli uwieńczy ją powodzenie.

WSZYSTKO NA JEDNĄ KARTE

Mendez czynił gorączkowe przygotowania do wyprawy. Dobierał broń, kompletował oddział, omawiał z Escobarem trasę przemarszu. Najważniejsze było znalezienie brodu na Veragui. Mendez zapamiętał miejsce, gdzie bura ławica piasku wyłaniała się spod wody i gdzie Indianie prowadzili kanoe ze szczególną ostrożnością, badając wiosłami głębokość rzeki. Było to mniej więcej w połowie drogi między brzegiem morza a wsią Kibiana. Powoli ustalał się plan marszu. Począwszy od polany, na której przed dwoma dniami obozował oddział Ku-ceiba-paity, pójdą na przelaj w kierunku rzeki, a więc przypuszczalnym szlakiem Indian.

Mendez postanowił wrócić na statek, by dopilnować wydawania broni. Na brzegu spotkał Quintarra. Uśmiechnął się doń z sympatią.

- Gotujecie się do wyprawy? - spytał odwiązując czółno. Quintarro spuścił oczy.

- Wolałbym nie iść - powiedział cicho.

- Wy? - Mendez był niemile zdziwiony.. - Dlaczego? Wiem, że odwagi wam nie brak.

- Nie w tym rzecz, kontadorze. Oczywiście na rozkaz - pójdę. Ale szczerze mówiąc, nie po myśli mi to wszystko.

- Dlaczego? - powtórzył Mendez.

- Widzicie... Pragnę tu osiąść na stałe. Sprowadzić rodzinę. Indiosi będą nam sąsiadami o miedzę. Nie chciałbym z nimi walczyć, nachodzić ich wsi, pętać ich wodzów. Taka rzecz długo tkwi w pamięci.

- Nie będę was niewolić - rzekł krótko Mendez. - Zostańcie!

Długo jeszcze wspomnienie słów Quintarra nie dawało mu spokoju. Sąsiedzi? Nigdy nie myślał w ten sposób o Indiosach. Prawda, gdyby nie było mordów, grabieży, niewolenia kobiet, może nie powstałoby przeciw chrześcijanom. Gdyby! Żadna moc nie zdoła zmieniła tego, co się stało. Mendez przecie miał też pozostać w Betleem. Był jednak żołnierzem i spełniał swój obowiązek. Teraz, gdy wybuchła wojna, poddał się jej prawom.

Pod wieczór ustawił ludzi na skraju osiedla. Adelantado miał przybyć tuż przed wymarszem. Donowie i mossenos - również jeszcze nie nadeszli. Pewno gdzieś w zaciszu dopijali ostatnich kruż. Mendez przechadzał się wzdłuż szeregu, sprawdzając z całą

skrupulatnością broń i ekwipunek. Ten ostatni przegląd okazał się potrzebny. U jednego z żołnierzy kurek w arkebuzie nie chodził, innemu znów nie chciało się dźwigać forkietu. Torba przytroczona do aguchetty opasującej półpancerz Garcii wydała się Mendezowi dziwnie wiotka.

- Zabraliście prochy i kule?

- Jakże by nie.

Sprawdził. Garść prochu i ani kawałka ołowiu.

- Co to ma znaczyć? Powiadałem przecież wyraźnie: na pięć strzałów.

Garcia opuścił głowę i odszedł bez słowa ku zbrojowni.

„Łupy - Mendez patrzył w ślad za nim - oto co miał na myśli. I na pewno nie tylko on jeden”.

Wreszcie nadciągnął adelantado w otoczeniu hidalgos. Ich rozognione twarze świadczyły, że musieli tego lyknać na odchodnym. Zapadał zmrok. Odblask ognisk pełgał po słomianych ścianach. Nocne ronty odmaszerowały na swe posterunki.

Przy burcie „Kapitanów” ciemna sylwetka admirała. Światło latarni padało na złocisty krzyż w jego ręku. Przeżegnał nim oddział. Ten i ów obnażył głowę. Nie wszyscy jednak.

- Oddział gotów - zameldował Mendez, stojąc przed adelantado. Pozory musiały być zachowane. W oczach ludzi dowodził wyprawą don Bartholomeo. Tak zresztą być musiało. Mendez nie dałby sobie rady z gromadą niesfornej szlachty. Nie słuchaliby rozkazów człowieka niższej kondycji.

Adelantado dał znak. Oddział rozciągnął się w długą linię. Szli gęsiego, indiańskim obyczajem. Panowało milczenie. Głuchy tupot kroków wsiąkał w potężniejący huk morza. Z rzadka brzęknęła stal. Czasem rozległo się zdławione przekleństwo, gdy któryś z żołnierzy potknął się o wystający z ziemi korzeń.

Wkrótce znikły za drzewami łuny ognisk płonących w osadzie. Mendez i Escobar prowadzili oddział brzegiem morza, obserwując uważnie linię zarośli. Gdy uszli ze dwie ligi, w grupie szlachty idącej za adelantado dały się słyszeć coraz głośniejsze sarkania. Nie dbali już, by maszerować gęsiego. Nie dbali o zachowanie nakazanych odstępów. Skupili się w nieforemną gromadkę.

- Idziemy i idziemy, a końca nie widać - narzekał don Talavera - lichy wie dokąd? Może prosto diabłu na rogi?

Don Bartholomeo z trudem zaprowadził porządek.

Wreszcie czarna ściana zarośli cofnęła się w głąb lądu, odsłaniając szeroką polanę. Mendez rozpoznał drzewo, pod którym wtedy kryli się indiańscy zwiadowcy, trawa była zdeptana, widniały liczne ślady ognisk.

Teraz mieli do pokonania najtrudniejszy odcinek drogi. Mendez skierował się bez wahania ku ścieżce, którą przed dwoma dniami odeszli wojownicy Ku-ceiba-paity. Przedzierali się przez zarośla, w końcu dotarli do polany porośniętej wysoką trawą. Poruszali się z największą ostrożnością. Mogli tu napotkać wysunięte czujki Indian. Zerwał się wiatr. Był ich sprzymierzeńcem, głusząc szcęk broni i odgłos kroków. Po godzinie zamajaczyła przed nimi szeroka wstęga rzeki, jakby świecąca własnym blaskiem. Mendez odetchnął z ulgą. Nie zabłądzili.

Krótki odpoczynek i oddział ruszył w górę rzeki. Marsz utrudniały splątane krzewy oraz głębokie rozpadliny, których tu nie brakło. Wkrótce nad leniwym rozlewiskiem ujrzeli ciemną ławicę piasku. Zeszli po stromiznie. Stanęli nad wodą. Bród.

Mendez pobrnął pierwszy, wnosząc arkebuz wysoko nad głowę. Woda sięgała mu po kolana, po pas, potem prawie do piersi. Nogi grzęzły w mule pokrywającym grubą warstwą dno. Jeszcze kilka kroków. Wynurzył się nagle i stanął. Był już po drugiej stronie.

Teraz pociągnęli za nim inni. Szereg zbrojnych wił się w wodzie jak cielsko potwornego węża. Hełmy połyskiwały złociście niczym łuska na jego grzbiecie.

Po tej stronie brzeg leżał nisko i był płaski. Jedna po drugiej wyrastały na nim sylwetki żołnierzy. Mendez zarządził krótki postój. Wylewano wodę z butów, opatrywano broń. Wieś Kibiana leżała już gdzieś niedaleko. Zziębnięci i zmoczeni, nie przedłużali odpoczynku. Tylko marsz mógł ich rozgrzać. Weszli pomiędzy drzewa, przedzierając się przez zatopiony w mroku las. Escobar i Rollejo szli w przedniej straży. Oni pierwsi zatrzymali się na skraju zarośli, patrząc na uśpioną wieś Kibiana.

Mendez sprawdził, czy szpada gładko wychodzi z pochwy. Wydał szeptem ostatnie rozkazy. Teraz najmniejszy nawet szelest mógł ich zdradzić. Gzaty indiańskie musiały być blisko.

- Jak myślicie, kanoe już nadpłynęły? - spytał adelantado nachylając się do ucha Mendeza.

- Na pewno.

- Więc dajcie znak.;

Mendez przyłożył stulone dłonie do ust i huknął trzykrotnie, naśladując głos ziemnej sówki.

Na rzece rozległy się przeraźliwe wrzaski. Rybacy ze wsi Tu-pei wzywali pomocy. Wieś budziła się. Teraz krzyczało już bardzo wiele głosów. „Ludzie ze wsi Tu-pei toną!” „Włócznia za krótka!” „Gałąź!” „Dlaczego nie płyną do brzegu?”

W mroku przemknęła sylwetka indiańskiego wojownika. Za nią druga i trzecia. Zgodnie z przewidywaniami czaty ściągały na brzeg.

- Naprzód! - krzyknął Mendez.

- Naprzód! - wtórował mu adelantado.

Runęli ławą. Już zarys pierwszych chat. Znad rzeki dobiega rosnący gwar.

Nagle przed szeregiem białych zjawił się pierwszy Indianin. Otworzył usta do krzyku. Klinga ze świstem przecięła powietrze. Ale już biegnie następny. Za nim inni. Dopiero co wyrwani ze snu, nie rozumiejący, co się dzieje, nie wierzący własnym oczom.

Zanim zdolali wydać okrzyk trwogi, życie ich zgasło niczym płomień zdmuchniętej świecy.

Biali szli jak lawina, która miażdży wszystko na swej drodze. Stał spadała błyskawicą zimnego ognia.

Oto ostrokół patrzący widmowym rzędem trupich głów. Wreszcie plac przed chatą wodza wodzów. Szpada Mendeza zatoczyła koło.

- Obstawić! Nie wypuszczać nikogo!

Poprzez rzadko plecione ściany obszernego domostwa przenikał odblask czerwonego zarzewia.

- Brać żywcem! - krzyknął Mendez - nie zabijać pod karą gardła!

Już wpadli do wnętrza. Czerwoni wodzowie, spoczywający w Chacie Narad, zerwali się gwałtownie na nogi. Białolicy tu, w samym sercu wsi? Nie mieli żadnego oręża, mimo to próbowali się bronić. Ale ich opór zdławiono w mgnieniu oka, brutalnie i bezwzględnie. Poszły w ruch ciężkie główne szpad. Kilku czerwonoskórych leżało już bez zmysłów na ziemi. Pętano ich spieszenie.

Ku-ceiba-paity spał w ciemnym kącie. Nie zastanawiał się nad tym, skąd się wzięli białolicy. Nie rozmyślał o czarach. Wiedział, że różne bywają losy wojny.

Szybko rozdarł plecioną ze słomy ścianę. Widząc, że nad głową Baonacriego zawisła rzecz, w której śpi ogień, pociągnął go gwałtownie za ramię. Cios spadł w próżnię, białolicy stracił równowagę i runął twarzą na ubite z gliny klepisko. Wykorzystując krótką chwilę zamieszania, obaj wodzowie wyśliznęli się z chaty przez otwór w tylnej ścianie. Tylko przebiegłość mogła ich ocalić. Tu również byli ludzie w błyszczących skorupach. Biegli ku nim ze wszystkich stron. Wołali coś rozkazująco. Ku-ceiba-paity nie rozumiał ich słów. Nie

obchodziły go. Myślał tylko o jednym: być jak najdalej od rzeczy ostrych i giętkich. Jak najdalej od tych, które każdej chwili mogą plunąć czarodziejskim ogniem.

Pociągnął za sobą Baonacriego. - Ucieczka jest mądrością zwycięzonego. - Kluczyli pomiędzy chatami. Białolicy deptali im po piętach. Rzeczy ostre i świetliste przecinały powietrze tuż nad głowami wodzów.

Ale czy ślimak niosący na grzbiecie swój dom może dorównać chyżością juszczurce? Białolicy mieli na sobie i w rękach wiele ciężkich rzeczy. Ku-ceiba-paity i Baonacri nie mieli nic. Wyprzedziwszy białych, dopadli do ostrokołu. Było tam w jednym miejscu przejście zasłonięte rozłożystym krzakiem. Jeszcze jeden gwałtowny skręt. Udało się. Ku-ceiba-paity przyłgnął do ziemi obok Baonacriego. Słyszeli tupot ciężkich nóg po drugiej stronie ogrodzenia, gniewne nawoływania białych. Oto biegną wzdłuż palisady. Wracają. Nie dostrzegli ukrytego przejścia, nie znajdują ich.

Ledwo ucichły kroki białoliczych, Baonacri poderwał się.

- Niech Baonacri leży - szepnął Ku-ceiba-paity.

- Baonacri nie chce się ukrywać jak tchórzliwy kujot.

- Wódz musi myśleć o ostatecznym zwycięstwie. A białolicy osaczyli innych wodzów...

- Pozbawili ich życia!

- Nie uczynili tego.

- Oczy moje widziały wielu, którzy leżeli na ziemi.

- Ale tym, którzy leżeli, białolicy nakładali pęta. Nikt nie wiąże ludzi martwych.

- Zawiodą wodzów na swe skrzydlate kanoe, by tam zadać im śmierć wśród okrutnych męczarni.

- Droga jest długa i biegnie wśród gęstwy leśnej. Tam czarodziejski ogień nie jest straszny. Ktoś musi poprowadzić odsiecz. A i potem wojna nie wygaśnie. Przeciwnie, rozgorzeje z całą siłą. Dlatego Baonacri i Ku-ceiba-paity muszą się teraz ukrywać.

Baonacri zastanowił się. - Słowa Ku-ceiba-paity są mądre i prawdziwe - rzekł wreszcie.

*

Ktoś strącił czaszę, na której płonęło wonne drzewo. Żar główni zgasł, wduszony w ziemię ciężkimi podeszwami. W chacie zapadła ciemność.

- Pochodnie! - huknął wielkim głosem Mendez.

Wkrótce stało się niemal widno. Wszyscy czerwonoskórzy byli już spętani. Mendez przyskoczył do otworu w ścianie.

- Pouciekali tędy?

- Widziałem jednego - powiedział Escobar.

Więżniom zaczęła powracać przytomność. Stawiano ich na nogi kopniakami.

- Wodzowie pójdą na Wielkie Skrzydlate Kanoë - oznajmił Mendez.

Nie chcieli iść, nie trwożyły ich ostrza przykładane do piersi. Ale pętle zaciśnięte na szyi, twarde ciosy w plecy przełamały opór. Popychani i bici, szli jak pędzone zwierzęta.

Na placu przed Chatą Narad panował zgiełk i zamęt. Wrzask, łkanie, przejmujące okrzyki trwogi. Don Batholomeo zbliżył się do gromadki jeńców. Wzrok jego zatrzymał się na postaci Kibiana. Złote sznury naszyjników i jaskrawe barwy twarzy świadczyły o wysokiej godności. - Kibian? - spytał.

Wódz wodzów nie zaprzeczył. Milczał.

Adelantado stanął przed nim wzięwszy się pod boki. Oto człowiek, którego imię przez tyle nocy spędzało im sen z powiek!

- A więc spotkaliśmy się wreszcie, mości... - w ferworze o mało nie powiedział: „principe”, tyle dostojęstwa było w twarzy spętanego wodza, tyle dumy w jego postawie. Nie każdy z chrześcijańskich dostojników potrafiłby się zdobyć na taki spokój w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Kibian nie odpowiadał.

- W drogę! - zawołał adelantado.

Tymczasem w Chacie Narad trwał gorączkowy rabunek. Zdzierano inkrustowane złotem maski ze ścian, szczerozłotą czaszę rozbito na drobne kawałki, by ukryć ją przed okiem oficerów, szczególnie zaś Mendeza. Właśnie usłyszeli jego grzmiący głos:

- Wszyscy do mnie! Duchem! Kto nie usłucha, kula w łeb. Stłoczyli się przy wejściu. Wiedzieli, że nie rzuca gróźb na wiatr. Torby trzeszczały w szwach. Niejeden wyrzucał ukradkiem proch i kule, byle tylko unieść więcej łupu. W czerwonym świetle licznych pochodni zdobywcy zgromadzili się na placu. Otoczono jeńców.

Wyprawa powiodła się. Pojmano wodzów, których imiona wędrowały z ust do ust opromienione sławą, o których śpiewano pieśni przy niezliczonych ogniskach. Wielkich wodzów Veragui, Kobrawy, Auriry i Almaya. Ale oto ich sława zgasła jak płomień, na który spłynie woda z chmur. Spętani i bezwolni, znaleźli się w rękach wrogów. Tych właśnie, którym zaprzysięgli ostateczną zagładę.

Podano hasło wymarszu. Kolumna zbrojnych ruszyła drogą przez wieś.

W ciemnościach wrzało. Jakież cienie przemykały błyskawicznie pomiędzy chatami. Gardłowe okrzyki. Ale nie było w nich trwogi ani rozpacz. Indianie nawoływali się do walki.

- Czuj duch! - warknął Mendez.

I nagle zastąpił im drogę wrzeszczący dziko tłum. W powietrzu zagwizdały przeciągle strzały i dziryty. Odskakiwały od pancerzy i hełmów. Żaden chrześcijanin nie upadł, żaden nie jęknął. Nikt nie został raniony.

„Gdyby natarli z boku czy z tyłu - pomyślał Mendez - mielibyśmy się z pyszna. Ale od czoła?”

- Gotuj broń!

- Cel, pal! Huknęła salwa.

Gdy rozwiął się dym, pomiędzy chatami nie było nikogo. Tylko kilka nieruchomych postaci rozciągniętych na ziemi. Tylko ciała zwijające się w przedśmiertelnym konwulsjach. Zapadła nagle posępna cisza. Mąciły ją jedynie jęki umierających. Ci, których nie powalił ogień, rzucili się bez opamiętania w mrok, niczym liście zdmuchnięte gwałtownym uderzeniem huraganu. Chrześcijanie ruszyli naprzód, depcząc po ciałach poległych.

Jeńcy znowu zaczęli stawiać opór. Zdławiono go bezwzględnie. Nie szczędzono kobiet. Nie szczędzono dzieci. Wojna głuszy wszystko, co w człowieku jest ludzkie.

Mendez powiódł zatroskanym wzrokiem po szeregach.

- Wszyscy cali?

- Wszyscy - odkrzyknęli.

Wkrótce wieś została za nimi. Weszli w las. Przy zapalonych pochodniach wracali własnymi śladami.

Początkowo słyszeli tylko odgłos swoich kroków i poszum wiatru gdzieś wysoko ponad głowami. Później, coraz częściej, szelesty i szmery po bokach.

- Nic, jeno ciągną za nami - mruknął półgłosem czujny Rollejo.

- Gdzie? Kto? - drgnął wytrącony z głębokiej zadumy Garda. Przez cały czas obmacywał swą torbę. Myślał tylko o tym, jak ukryć łup po powrocie do Betleem.

- Duch święty - sarknął Rollejo. - Spik was ogarnął w marszu?

Garcia zamrugał oczyma.

- Mniemacie, że Indiosi depcą nam po piętach? - Dopiero teraz sens słów Rolleja dotarł do jego świadomości.

- Sami posłuchajcie.

Szli przez chwilę w milczeniu. Istotnie, poza chybottliwym kręgiem światła pochodni klębiły się jakieś odgłosy, jakby dookoła kolumny białych kroczyła potężna, choć niewidoczna eskorta.

- Jakiś nocny zwierz - powiedział niepewnie Garcia.

- Indiosi - uciął Rollejo.

- To i cóż? Nauczylismy ich raz moresu, nauczymy i drugi.

- W gęstwie, w ciemności? Sami w to nie wierzycie. Teraz oni mają przewagę.

Garcia znowu położył dłoń na swej torbie. Dać gardło teraz, gdy wreszcie fortuna raczyła się do niego uśmiechnąć? Ciężej umierać człowiekowi zamożnemu niż biedakowi. Gdy przywiezie to złoto do Kastylii, wszystkie drzwi staną przed nim otworem. Sąsiedzi, którzy go ledwo raczyli widzieć, będą się kłaniać w pas.. Jadła w bród, jedwabie, aksamity, kto wie, czy nie jakiś urząd? Don Garcia, nie jakiś tam oberwany łachmytek.

- Żeby wreszcie przebyć ten przekłety las - westchnął. - Może jeno tropią, dokąd prowadzimy wodzów? - dodał bez przekonania.

- Czyż nie znają drogi do okrętów i Betleem?

- Nie odważą się napaść - Garcia skrzyżował palce od uroku - obaczycie.

- Dałby Bóg.

Posuwano się niezmiernie opieszale. Jeńcy rozmyślnie opóźniali pochód. Ustawicznie musiano ich popychać, ciągnąć, nawet kłuć, by postawili następny krok. Niewiasty nie stawiały oporu, jednak bodaj czy nie było z nimi jeszcze więcej zachodu. Ciemnoskóry drobiazg kwilił jednym głosem. Matki lamentowały; niektóre tak osłabły, że przyszło je nieść za ręce i nogi, niby nieżywe.

Kibian nie czuł sznura na swej szyi. Nie czuł brutalnego popychania. Nie czuł ostrzy kłujących ciało. Nie czuł nic. Pragnął śmierci. Gdy duch nocy pożerał słońce, był jeszcze wodzem wodzów, najwyższym kacykiem wszystkich plemion Veragui. Zastępy zbrojnych wojowników czekały na skinienie jego ręki, liczne jak gwiazdy na niebiosach i ziarenka piasku na brzegu Wielkiej Słonej Wody.

Noc trwała jeszcze. Od chwili, gdy obcy wtargnęli do Chaty Narad, minęło niewiele czasu. A przecież zdawało mu się, że nad głowami jeńców przepłynęły niezliczone księżycy i niezliczone słońca. Nie był już wodzem wodzów. Śmierć we własnej chacie jest podlejsza niż ta, która spotyka wojownika na placu boju. Ale śmierć w niewoli jest najpodlejsza ze wszystkiego. Wódz wodzów, którego wygarnięto z wnętrza Chaty Narad, we własnej wsi, niczym nieopierzone pisklę z gniazda. Nie zdążył podnieść broni przeciw napastnikom. Nie zabił żadnego. Nie zranił. Sam, nawet nie draśnięty, poszedł w pęta. Hańba! - powtarzały

głucho kroki białolicych. Hańba! - szczykały w ich rękach rzeczy, które niosą śmierć. Hańba!
- szumiał wiatr w gałęziach drzew.

Idący posuwali się wolno naprzód.

- W ten sposób nie zajść nam ani do Sądnego Dnia - sarkał don Talavero - wlecziemy się jak pokutnicy.

- Ponoć pokuta i najlepszemu nie zawadzi - pocieszał go dobrodusznie don Ximeno.

- A bo i prawda, że pokutnicza procesja - wtrącił de Kadis - jeno włosiennic nam brak.

Cienko syknęła strzała. Don Talavero odskoczył ze zdławionym przekleństwem. Kościany grot uderzył w hełm tuż nad czołem. Gdyby o dwa palce niżej, ugrzązłby w oku. Jeszcze kilka strzał. W Mendeza uderzyły aż trzy. Dwie odpadły od półpancerza, jedna przebiła rękaw kaftana. Szczęśliwym trafem nikt nie został zraniony.

- Gotuj broń!

Już wbito forkiety w miękką murawę, już wsparto lufy arkebuzów na stalowych widelkach. Szczęknęły wzwodzone kurki. Arkebuźnicy czekali rozkazów. Nie padły jednak. Cisza. Znowu tylko szum potrącanych wiatrem gałęzi.

Don Talavero pienił się z wściekłości.

- Czemu nie przykażecie palić? - niemal krzyczał. - Czekacie, aż nas wszystkich wytluką? Ten przeklęty las aż się roi od pogańskich diabłów.

- Palić? - Mendez wzruszył ramionami. - Niby do kogo?

- Do tych pogańskich czartów - ryknął don Talavero.

- Wiecie może, gdzie oni są?

- Tam - don Talavero zatoczył dookoła ręką - tu. Wszędzie.

- Albo i nigdzie w pobliżu. Nie pora teraz na ogniste saluty. Zanim arkebuźnicy nabiją znowu broń...

- Prawda - wtrącił don Bartholomeo - przez ten czas bylibyśmy niemal bezbronni.

Don Talavero zdjął hełm i obejrzał go w świetle pochodni. Uderzenie strzały pozostawiło na metalu wgłębienie.

- Jak z angielskiego łuku albo kuszy - w jego głosie był mimowolny podziw.

- Oni również prażą drzewca swych łuków w ogniu - wyjaśnił Mendez. - Biją zaiste mocno.

Don Talavero, mrużąc coś pod nosem, spiesznie nałożył hełm.

- Ruszamy dalej?

- Ruszamy? - adelantado spojrział na Mendeza.

- Jasne. Spuścić kurki. Sprawdź, jeden z drugim, prochy na panewkach. Naprzód!

Znowu wrzaski, znowu zamieszanie, zanim zmuszono jeńców do dalszego marszu.

Don Talavero nasunął hełm głęboko na czoło. Teraz znów miał dla odmiany nie osłonięty kark. Z której strony nadleci pierzasty zwiastun śmierci.

- Santa Madonna, opiekunko rycerstwa! - szeptał. - Czarci i bramy piekielne! Jezusie Chryste! Caramba! Żeby to ogarnęło morowe powietrze! Trójco Wszechmocna! Przecież nie tu, na Antypodach, gdzie ani księdza, ani poświęconej ziemi, ani nawet najlichszego dzwonu. Tylko nie tu!

- Chyba nie uszliśmy nawet pół wielkiej ligi? - wykrzyknął po chwili ze złością.

Tym razem don Bartholomeo nie potrzebował pomocy Mendeza. Był na swoim gruncie.

- Więcej - oświadczył z przekonaniem - może i całą. A trzy ćwierci to już z całą pewnością.

Ciemność poczęła rzednąć. Gdzieś ponad splecionymi gałęziami drzew wstawał pierwszy brzask nowego dnia. Szli teraz różnie. Wkrótce przeprawili się przez rzekę. Niewolnice, nawet te, które dotychczas szły o własnych siłach, zaczęły padać na twarz. Tempo marszu osłabło jeszcze bardziej.

- Potrzebny jest postój - rzekł don Ximeno.

- Żadnych postojów - zaprotestował gniewnie don Talavero. - Jeszcze tego brakowało! Za tydzień nie dojdziemy do Betlelem.

Don Bartholomeo, nie mogąc sam zdecydować, szukał, zgodnie ze zwyczajem, rozstrzygnięcia u Mendeza.

- Postój w naszej sytuacji to rzecz wielce niewygodna - mruknął kontador - niestety jednak - konieczna. Gdyby jeszcze nie niewolnicy! Musimy dostarczyć ich żywych na okręty.

- Zarządźcie popas!

Mendez wydał stosowne rozkazy. Nie trzeba było ich powtarzać. Hasło do odpoczynku powitali wszyscy westchnieniem ulgi. Kobiety leżały na trawie jak bezduszne kłody. Tylko wodzowie wydawali się rześcy, jakby dopiero rozpoczęli marsz, choć w ich nieruchomych twarzach malowało się przygnębienie a wzrok zastygł w wyrazie głuchej rozpacz.

Adelantado przez chwilę patrzył na nich, gdy tak siedzieli na piętach, sztywni i bez ruchu.

- Twardy lud.

- Twardy jak krzemień - przyznał z powagą Mendez. - Tym gorzej dla nas. Nielatwo przyjdzie ich złamać.

- Gdyby nie oni, dawno bylibyśmy już w Betleem. Mendez rozłożył ręce.

- Cóż począć? Po nich przecieżeśmy wyruszyli.

- Prawda. Jeno że brata niechybnie zżera niepokój. Nie wie, co z nami.

Mendez również usiadł. Ale w jego postawie było coś, co przypominało sprężonego do skoku drapieżcę.

- Na to znalazłaby się rada - oznajmił po krótkim namyśle.

- Jaka? - ożywił się adelantado.

- Posłańcy.

- Posłańcy - potrząsnął głową - łatwo rzec. Kto jednak zgodzi się pójść w pojedynkę czy choćby samowtór? Kraj nieznan, a do tego jeszcze Indiosi czyhający gdzieś w pobliżu...

- Wyznaczyłbym dziesięciu ludzi. Słyszycie, jak huczy morze? Jesteśmy już blisko. Pójdą brzegiem. Takiego oddziału Indiosi chyba nie zaczepią.

Adelantado zastanowił się.

- Sądzicie, że będą bezpieczni? Dziesięciu - niewielka to siła.

- Dziesięć arkebuzów, dziesięć szpad. Przypuszczam, że dojdą do Betleem.

- Zgadzam się - powiedział adelantado.

Mendez podszedł do gromadki escuderos, wyjaśniając, w czym rzecz. - Kto na ochotnika?

Chwila wahania. Potem wstał Juan Scanzi.

- Pójdę.

- Dobrze. Kto jeszcze?

Z kolei podniósł się Rollejo. Po nim Garcia. Jego rozumowanie było proste. Indiosi pragną odbić swych wodzów. A zatem im dalej od niewolników, tym bezpieczniej.

Mendez przyjrzał się torbie obciążającej aguchettę Garcii.

- Jakoś wam mocno przybyło ładunków?

Garcia otworzył usta i zapomniał je zamknąć. Santa Madonna! Fortunę w mgnieniu oka diabli wezmą! Wszystko, aż do ostatniego okrucza, spocznie w sepecie kapitana de Porras.

Ale Mendez machnął ręką. Nie miał zamiaru popierać królewskiego notara.

- Kto następny?

Zgłosili się niemal wszyscy. Wybrał tych, którzy wydawali się najmniej zmęczeni.

- Jeśli zajdziecie przed południem, po dwieście marawędów na głowę - oświadczył adelantado.

Opatrzyli broń i ruszyli wyciągniętym kłusem.

NIE BĘDZIE SPOKOJU W BETLEEM

W pierwszej chwili pojawienie się ich na skraju osady wywołało istną panikę. Wypadli z gęstwy goniąc co tchu. Twarze umęczone i zapadnięte. Oczy błędne. Odzież w strzępach. Wymachiwali rękoma, łykając spazmatycznie powietrze szeroko rozwartymi ustami.

- Już po nas! - pobiegło z ust do ust.

- Indiosi wymordowali cały oddział! I adelantado zginął, i Mendez, i hidalgos! Wróciły żałosne niedobitki! Jeno dziesięciu.

Biegli ku nim ze wszystkich stron.

- Pojaliśmy samego Kibiana i wszystkich co ważniejszych wodzów - posłańcy wreszcie odzyskali głos - oddział ciągnie za nami! Adelantado posłał nas do admirała!

Panika przemieniła się w radość. Wiwatowano, huknęły wystrzały, posłańcy, ściskani i poklepywani, nie mogli postąpić ni kroku.

- Płyniemy na „Kapitanów” - zawołał Rollejo. - Puście nas teraz.

Popłynęli. Nagabywano ich przez całą drogę, każdy był ciekaw szczegółów. Opędzali się.

- Później!

Kolumb, usłyszawszy hałas, wybiegł ze swej toldilli. Czekał na posłańców przy burcie.

- Co przynosicie?

Powiedzieli. Admirał uniósł ramiona. - - Chwała Świętej Trójcy! Rzucił im sztukę złota.

- Za dobrą nowinę. Do podziału!

*

W toldilli na „Santiago de Palos” bracia de Porras rozważali sytuację.

- Kibian, wszyscy ważniejsi wodzowie! Ich rodziny! A więc i ludy tych ziem w jego rękach!

Kapitan Francesco ukrył twarz w dłoniach.

- W jego rękach - powtórzył jak echo. Don Diego trwał w bezruchu.

- On teraz panem - zawołał Francesco. - On! Nasze starania poszły na marne! Zakonotuje je sobie dobrze w pamięci!

- Zakonotuje. I jeśli to będzie w jego mocy, odpłaci - rzekł ponuro notariusz.

- Jeśli będzie w jego mocy? - zdumiał się Francesco.

- Cóż, ten człowiek dogasa - mówił w zamyśleniu notariusz.

- To widać od pierwszego wejrzenia. Jeszcze jakiś rok, dwa... Potem, niezależnie od tego, w jaki sposób potoczą się zdarzenia, tu, czy gdzie indziej - przeminie. Królestwo zaś Hiszpanii, - pozostanie na wieki.

*

Quintarro opuścił plecioną matę, zasłaniającą drzwi. Pragnął być sam. Sam ze swymi myślami. Nie były to wesołe myśli. Rollejo i Garcia opowiedzieli mu wszystko. A więc znowu krew, znowu gwałt i przemoc. Śmierć w tym kraju szła w trop za oddziałami chrześcijan. Zabijano od samego początku. Dla kawałka kruszcu, dla zdobycia kobiety, dla wygody posiadania własnego kanoe. Ale były to morderstwa popełniane wbrew surowym zakazom. Teraz zaś? Brat admirała, kontador, hidalgos, żołnierze. Salwa w tłum.

A przecież nie Indiosi pierwsi podnieśli broń, choć mieliby do tego prawo. Nie wystąpili przeciw załodze armady, byli serdeczni i przyjaźni - do chwili, w której przebrała się miara ich cierpliwości. Słowa admirała, czyny Mendeza - jakież miały znaczenie wobec faktu, że wojna zapanowała na ziemiach Veragui, że jedynym prawem, jakie przynieśli ze sobą biali, było prawo miecza i przemocy?

Wyciągnął się na barłogu, wpatrzony w palczaste liście, zwisające z dachu. Z dachu jego własnej chaty. Dawniej w marzeniach widział w niej żonę, dzieci, najbliższych. Nie można jednak budować domu dla siebie i przyszłych pokoleń na ziemi przesiąkniętej krwią gospodarzy. Nie można żyć wśród nienawiści.

Nie zamieszka na Antypodach. Nie sprowadzi żony i dzieci. Zamiast spokoju i dostatku, czekałaby ich tutaj męczeńska śmierć. Lepsza już nędza w starym kraju. Lepszy już wywar ze słomianej sieczki.

Przybył, by znaleźć tu nową, bardziej szczerą ojczyznę. Nie znalazł jej.

Dla Indian symbolem zdrady i gwałtu będzie od dziś dnia jaśniejsza barwa skóry. Być może, znak krzyża na piersiach. Być może, wizerunek Świętej Madonny. Bo właśnie taką barwę skóry, takie znaki mieli mordercy i krzywdziciele.

Wszedł Rollejo.

- Słyszałeś? Ponoć notariusz królewski i jego poplecznicy spuścili nosy na kwintę. Nie w smak im zwycięstwo admirała. Wszyscy czekają na adelantado i Mendeza. Powinni już nadciągnąć. Chyba nie wypuścili jeńców z rąk. Wreszcie spokój zapanuje w Betleem.

Quintarro usiadł na posłaniu.

- Co tam notar i jego poplecznicy - rzekł ponuro. - Nie dbam o zwycięstwo, o admirała i adelantado. Za jedno mi, czy doprowadzą jeńców do Betleem, czy też wypuszczą ich gdzieś po drodze. Mylisz się. Nie będzie spokoju w Betleem. Żaden z nas nie zamieszka na tej ziemi,

by w zgodzie z sąsiadami korzystać z jej bogactw. Przez długie lata wojna niszczyć będzie zasiewy. Strawi wsie i osiedla, zatruje umysły ludzi. Tylko to jest ważne, Rollejo.

*

Zła wieść biegła po ziemiach Veragui, od plemienia do plemienia, od wsi do wsi, od ogniska do ogniska.

- Gdy duch nocy pożarł słońce, do wsi Kibiana przybyli białolicy, których było wiele i jeszcze więcej. Zabrali z Chaty Narad Kibiana, zabrali wodzów, zabrali ich rodziny.

- Z własnej wsi? - pytano ze zdumieniem.

- Z własnej wsi. Z samego jej serca. Ze świętego wzgórza wodzów i duchów.

- I dzieci?

- I dzieci. Nawet te najmniejsze, dla których całym światem była pierś matki. Białolicy zacisnęli pętle na szyjach wodzów. Popędzili ich w mrok nocy. Być może na okrutną śmierć.

Złe wieści początkowo budziły bezmierny lęk.

- Progi chat obmyła rzeka krwi - biadali posłańcy. - Poszarpane czarodziejskim ogniem ciała leżały pomiędzy domami” na placach, wszędzie.

Wtedy trwoga zmieniała się w rozpacz, a rozpacz w gniew i zapamiętanie. Skoro śmierć, którą niosą ze sobą biali ludzie, przekracza progi chat, skoro nie można przed nią umknąć - należy wyjść jej naprzeciw. Białolicy muszą zginąć. I oni, i ich złe czary.

Powstały plemiona Veragui i Kobrawy. Powstały plemiona Auriry i Almaya. Wszędzie, od wielkich gór aż po daleki las, za który sływa słońce przy końcu każdego dnia, chwymano za broń.

Nadciągnął czas wojny i zemsty.

K o n i e c

POSŁOWIE

Czwarta wyprawa Krzysztofa Kolumba, której fragment opisał Tadeusz Kosteki w „Veragui”, najmniej jest znana, przyćmiły ją sławą trzy poprzednie podróże: pierwsza (1492-1493), która pozwoliła umieścić na mapie świata nieznane dotąd wyspy w zachodniej części Oceanu Atlantyckiego (Wyspy Bahamskie, Kuba, Haiti, nazwana przez Kolumba Hispaniolą), zapoczątkowując największe z odkryć geograficznych naszych czasów - odkrycie Nowego Lądu - Ameryki; druga (1493-1496), podczas której Kolumb dotarł do brzegów Małych Antyli, Porto Rico i Jamajki, rozpoczynając równocześnie planową i na szeroką skalę pomyślaną kolonizację nowych ziem (Haiti); wreszcie trzecia (1498 do 1500), kiedy Hiszpanie

po raz pierwszy ujrzeli ląd stały - kontynent południowo-amerykański u ujścia rzeki Orinoko. Wtedy to, po powrocie na Haiti, Kolumb wraz z braćmi Bartholomeo i Diego został zakuty w kajdany i odesłany do Hiszpanii, Mimo, że para królewska uwolniła admirała, zakończył się wówczas ostatecznie okres jego osobistych sukcesów; nigdy już nie miał powrócić do łask królewskich ani odzyskać bogactw na Haiti, zagwarantowanych mu królewskimi przywilejami. Nowi namiestnicy, nowi odkrywcy zajęli jego miejsce.

W tym czasie z całym okrucieństwem tępono ludność tubylczą podbitych krajów, czemu, nie ulega wątpliwości, dał początek sam Kolumb, traktując tubylców jak niewolników. Nazywano ich Indianami, bowiem w przekonaniu Kolumba i wielu jego współczesnych dotarł on do wschodnich wybrzeży Indii. Stąd w książce mowa o Kataju (Chinach), o Tygrysie, Eufracie i Gangesie. Trzeba zresztą dodać, że kwestia, jaki cel przyświecał wyprawom Kolumba i czy istotnie szukał on drogi do Indii, budziła i budzi jeszcze liczne kontrowersje.

W każdym razie pragnął doprowadzić do pomyślnego końca swój spór z koroną hiszpańską, rzucić na szalę nowe odkrycia i nowe bogactwa, które były głównym motorem poczynań jego mocodawców, a także nieobojętnym celem zabiegów admirała.

Nie zdawał sobie sprawy, że od chwili, w której osadnicy hiszpańscy na Hispanioli podnieśli przeciw niemu bunt, a wysłannik królewski Bobadilla kazał go uwięzić, zagarniając majątek wicekróla nowo odkrytych ziem - stał się on dla królewskiej pary tylko uciążliwym petentem, że nie był już jej potrzebny. Toteż gdy otrzymał niewielką flotyllę, pewien był, że tym razem uda mu się zdobyć wiadomości i bogactwa, które zmuszą władców Hiszpanii do przywrócenia mu utraconych godności.

Flotylla, na czele której wyruszył na czwartą wyprawę (dnia 9 maja 1502 r. z Kadyksu), składała się z czterech statków typu „karawela” (3-4-masztowy żaglowiec o mieszanym, tj. rejowym i łacińskim, ożaglowaniu). Były to:

- 1. Flagowy okręt flotylli „Kapitanowie”, którym dowodził kapitan Diego Tristan.*
- 2. „Santiago de Palos” - kapitan Francesco de Porras (w momentach krytycznych zastępował go w dowodzeniu statkiem brat Krzysztofa Kolumba, don Bartholomeo).*
- 3. „Galiegi” - kapitan Pedro de Torreros.*
- 4. „Wiskajny” - kapitan Bartholomeo Fresco vel Fieshi. Głównym pilotem (nawigatorem) flotylli został Juan Sanchez de Kadis (Cadix).*

Okręty były niewielkie (około 50-70 ton wyporności, długość 16-25 m, szerokość 6-8 m), mocno sfatygowane, osprzęt, nawet jak na ówczesne warunki, pozostawiał wiele do życzenia (żagle lichego gatunku, zawodzące pompy, brak dostatecznej ilości szalup ratowniczych itp.). W najgorszym stanie znajdowała się karawela „Santiago de Palos”.

Na rufie jednopokładowych statków wznosiły się dwie kondygnacje nadbudówek. Dolna kondygnacja, zwana „toldą”, była przeznaczona na skład osprzętu, zapasów żywności itp. Dach jej stanowił jednocześnie platformę górnej nadbudówki, „toldilli”, to której kwaterowali kapitanowie, wyżsi dowódcy i co znaczniejsi szlachcice (hidalgos), załoga natomiast mieściła się w nadbudówce skonstruowanej pomiędzy przednim masztem (fok) a dziobem. Ludzie spali tam na siennikach, na zwojach żaglowego płótna bądź na gołych deskach.

Okręty uzbrojone były w spiżowe działa lekkiego i średniego kalibru, stąd właśnie nazwa „armada” (hiszp.: „zbrojna flota”).

Dwór królewski sądził, że w czasie swej trzeciej wyprawy Kolumb ukrył znaczną ilość pereł zdobytych u brzegów wyspy „Margarita”. Z tego, a może również i z innych powodów dodano Kolumbowi królewskiego kontrolera, notariusza don Diego de Porras.

Na podstawie instrukcji królewskiej z dnia 14 III 1502 roku wszystkie wartościowe towary (złoto, srebro, drogocenne kamienie, a nawet... przyprawy korzenne), uzyskane w czasie czwartej wyprawy, przechowywać miał kapitan Francesco de Porras (brat don Diega) pod nadzorem notariusza. Od obowiązku, składania na przechowanie nie był wyłączony również i sam admirał armady, Krzysztof Kolumb. Instrukcja zakazywała członkom załogi kupowania cennych towarów od ludności nowo odkrytych lądów i wysp. Kolumb mógł zresztą zezwolić na tego rodzaju handel, z tym jednak zastrzeżeniem, że notariusz miał wciągać do ksiąg osobę nabywcy i opisywać nabyty towar.

Zachodzi uzasadnione domniemanie, że oprócz wspomnianej jawnej instrukcji bracia de Porras otrzymali również inna, której treść nie była znana Kolumbowi.

Dalsze postępowanie dworu królewskiego wyraźnie wskazuje, że nie pragnął on w ogóle powrotu Kolumba do Hiszpanii.

Wbrew instrukcjom królewskim, które nakazywały mu omijać Hiszpanię, w końcu czerwca Kolumb zbliżył się do portu San Domingo, pragnąc ukryć się przed burzą i wymienić jeden z okrętów. Następca Bobadilli, namiestnik królewski Ovando, nie zezwolił jednak Kolumbowi na wejście do portu. Flotylla ruszyła więc w podróż na zachód, wzdłuż południowych brzegów Hiszpanii i Jamajki. 30 lipca natrafili żeglarze na wysepkę Guanaha, za nią zaś ujrzeli góry na lądzie stałym. Zbliżyli się doń w połowie sierpnia (koło przylądka Honduras) i zawrócili na południowy wschód, wzdłuż brzegów Ameryki Środkowej. Nękały ich burze i przeciwnie wiatry. Koło przylądka nazwanego Gracias á Dios

(Dzięki Bogu) skręcili na południe, płynęli wzdłuż wybrzeża Moskito, zatrzymując się parokrotnie dla uzupełnienia zapasów żywności i słodkiej wody i dla naprawy okrętów (Costa Rica, Puerto Bello i in.). Wreszcie dotarli do zatoki Darian, gdzie przed Kolumbem dotarł już od wschodu w 1501 r. inny żeglarz, Bastidas. Kolumb dał hasło do powrotu.

Płynęli wzdłuż wybrzeża zwanego Veragua (dziś republika Costa Rica i zachodnia część Panamy). Ponownie znaleźli się w strefie burz...

Dalsze losy wyprawy - do momentu pojmania wodzów plemion Veragui, Auriry, Kobrawy i Almaya - opisał w zbeletryzowanej formie Kostecki.

Kolumb przegrał walkę o utrzymanie swej kolonii na ziemiach Veragui, choć pokonał notariusza i jego stronnictwo. Zdecydowali o tym gospodarze Veragui, Indianie. Część jeńców zbiegła w drodze, część uciekła ze statków. Pozostali popełnili zbiorowe samobójstwo. Przybór wody w rzece umożliwił Kolumbowi wyprowadzenie okrętów na pełne morze, jednakże Betleem znalazło się w bardzo trudnym położeniu. Indianie otoczyli osadę, wielokrotnie atakowali kolonistów, zniszczyli oddział wysłany po słodką wodę. Wreszcie, na indiańskich pirogach, udało się kolonistom przedostać na pokłady flotylli. Betleem przestało istnieć.

Kolumb ruszył w drogę powrotną. Tracił ludzi i statki. Wreszcie, 24 czerwca 1503 roku, dotarł do północnych brzegów Jamajki i nieużyteczne już okręty osadził na mieliźnie. Sytuacja niedobitków armady była tragiczna. Wówczas Méndez na indiańskich pirogach, z grupą tubylców, ruszył w podróż na Hiszpanię po pomoc. Wiózł gorzki list Kolumba do pary królewskiej.

Jednakże namiestnik Ovando i tym razem odmówił pomocy. Przybyła ona dopiero po roku, dzięki energicznym zabiegom Mendeza. W tym czasie Kolumb opanował bunt części załogi i zapewnił sobie pomoc miejscowych plemion.

28 czerwca 1504 roku Kolumb opuścił Jamajkę. W listopadzie był już w Hiszpanii. Zanim jednak zdołał uzyskać posłuchanie na dworze królewskim, królowa Izabela umarła. Mimo ustawicznych zabiegów i targów Kolumb nie odzyskał już w pełni utraconych przywilejów. Zmarł 20 maja 1506 roku.